Autor światowego bestsellera
Niełatwy dzień

MARK OWEN
KEVIN MAURER

ZWYKŁY BOHATER

JAK TRENUJĄ I WALCZĄ NAVY SEALS

ZWYKŁY BOHATER

Jak trenują i walczą Navy SEALs

Mark Owen
współpraca Kevin Maurer

Przełożył
Bartosz Szołucha

WYDAWNICTWO LITERACKIE

Spis treści

Karta redakcyjna

Nota wydawcy amerykańskiego

PROLOG. Czterdzieści nazwisk

I. Prawo do noszenia koszulki.
Cel

II. Jak przepłynąć 50 metrów pod wodą i nie umrzeć.
Pewność

III. Twój mały świat.
Strach

IV. Z workiem na głowie.
Stres

V. Bezpieczny powrót wątpliwy.
Nastawienie

VI. Zasadzka.
Zaufanie

VII. Odprawa.
Komunikacja

VIII. Strzelanie – manewr – komunikacja.
Relacje międzyludzkie

IX. Idź za kumplem.
Odpowiedzialność za czyny

X. Wygoda bez wygód.
Dyskomfort

XI. Zawsze patrz na buty.
Ewolucja

XII. Zabijanie.
Szufladkowanie

EPILOG. Ostatni przystanek pędzącego pociągu

O autorach

Fotografie

Przypisy

Tytuł oryginału: NO HERO

Opieka redakcyjna: PAWEŁ CIEMNIEWSKI
Redakcja: WERONIKA KOSIŃSKA
Korekta: ANETA TKACZYK, MAŁGORZATA WÓJCIK
Fotografie zamieszczone w książce pochodzą z archiwum autora
Projekt okładki: FRANCESCO BOTTI
Komputerowe opracowanie okładki na podstawie oryginału: ROBERT KLEEMANN
Zdjęcia wykorzystane na okładce
© Tom Weber MILpictures/Getty Images
© Stephen Mulcahey/Arcangel Images
Redakcja techniczna: BOŻENA KORBUT
Skład i łamanie: Infomarket

Copyright © 2014 by Mark Owen
© Copyright for the Polish translation by Wydawnictwo Literackie, 2015

Wszelkie prawa zastrzeżone, w tym prawo do reprodukowania w całości lub w części
w jakiejkolwiek formie. Niniejsze wydanie opublikowano w porozumieniu z wydawnictwem Dutton,
oddziałem Penguin Group (USA) LLC., spółki koncernu Random House

Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-08-05739-1

Wydawnictwo Literackie Sp. z o.o.
ul. Długa 131-147 Kraków
tel. (+48 12) 619 27 70
fax. (+48 12) 430 00 96
bezpłatna linia telefoniczna: 800 42 10 40
e-mail: ksiegarnia@wydawnictwoliterackie.pl
Księgarnia internetowa: www.wydawnictwoliterackie.pl

Konwersja: eLitera s.c.

Nota wydawcy amerykańskiego

Autor przedstawił maszynopis niniejszej książki do wglądu Biura Publikacji i Bezpieczeństwa amerykańskiego Departamentu Obrony. Niektóre fragmenty, nie uznane za niezbędne dla książki, zostały usunięte lub przeredagowane w trakcie tego procesu. Autor nie osiągnął porozumienia z Biurem we wszystkich kwestiach i kolejne fragmenty zostały ocenzurowane, co zaznaczono w tekście. Nazwiska osób występujących w książce zostały zmienione ze względów bezpieczeństwa.

Opinie wyrażone przez autora nie muszą pokrywać się z oficjalnym stanowiskiem Departamentu Obrony lub rządu amerykańskiego.

PROLOG

Czterdzieści nazwisk

Siedziałem w domu w Virginia Beach, czekając na sygnał do kolejnej roboty, kiedy nagle zaczęły przychodzić esemesy.

Był sierpień 2011 roku, a miasto było wręcz wypełnione turystami – bez przerwy mijałem ludzi, którzy przyjechali tu na wakacje i spędzali całe dnie na plaży nad Oceanem Atlantyckim. Trzymałem się z dala od Oceanfront, gdzie równolegle do plaż znajdowały się sklepy z koszulkami, pola do minigolfa i inne atrakcje dla spalonych słońcem urlopowiczów. Wszyscy turyści myśleli wyłącznie o swoich wakacjach, ja natomiast nie mogłem myśleć o niczym innym, jak tylko o Afganistanie i zbliżającej się kolejnej zmianie operacyjnej.

Cyrk obliczony pod publiczkę i polityków wreszcie się zakończył. Perspektywa ponownego wyjazdu za granicę powodowała, że czułem się jak pies szarpiący się na smyczy. Ale trzeba było jeszcze przetrwać dłużące się oczekiwanie na naszą kolej.

Najgorsze było właśnie to czekanie.

Niekończące się narady wojenne. Co tydzień otrzymywaliśmy podsumowanie wywiadowcze z aktualnej sytuacji w punktach zapalnych na całym świecie, co jeszcze bardziej pogarszało nasze samopoczucie. Wszyscy rwaliśmy się do roboty i chcieliśmy brać udział w prawdziwych zadaniach, tyle że będąc w gotowości bojowej, mogliśmy jedynie planować operacje, do których pewnie i tak nigdy nie dojdzie. W trakcie tury bojowej zazwyczaj otrzymywaliśmy zadanie, przygotowywaliśmy plan i parę godzin później go realizowaliśmy. Teraz byliśmy zajęci głównie sporządzaniem scenariuszy rozwiązania sytuacji, które zaistniały gdzieś w świecie, wyłącznie po to, żeby za chwilę całkowicie o nich zapomnieć. Zbieraliśmy się, planowaliśmy i za chwilę robiliśmy już coś zupełnie innego, ponieważ Waszyngton decydował się na inne rozwiązanie albo problem zwyczajnie się dezaktualizował. Co gorsza, mieszkaliśmy w domach, ale czasu, który moglibyśmy spędzić z rodzinami, mieliśmy niewiele. Zmuszeni byliśmy trzymać nasze rodziny na dystans, ponieważ nigdy nie było wiadomo, kiedy dostaniemy sygnał i będziemy musieli zniknąć bez pożegnania. Trzymałem

myśli o najbliższych w tym samym zakamarku mojego umysłu, w którym trzymam je podczas wyjazdów. Gdy chowałem się za tym niewidzialnym murem, w pewnym sensie miałem wrażenie, że po prostu mnie nie ma – nawet podczas rozmowy telefonicznej z rodzicami.

Wiedziałem, że reszta mojej ekipy czuje się dokładnie tak samo – wszyscy chcieliśmy być znowu w akcji.

Było już wczesne popołudnie i akurat skończyłem jeść obiad. W trakcie służby w stanie podwyższonej gotowości nie mogliśmy spożywać alkoholu ani imprezować – ostatnią rzeczą, jaką którykolwiek z nas chciałby zrobić, było pojawienie się w robocie na bani albo na kacu. Szykowałem się więc na kolejny nudny wieczór przed telewizorem, kiedy przyszła seria esemesów z informacją o katastrofie śmigłowca. Wszystkie brzmiały identycznie:

„Spadł CH-47 w Afganistanie. Nasi?”.

Nazywaliśmy to RUMINT[1]– mieszanką plotek i prawdziwych informacji, które często ostatecznie okazywały się kompletnymi bzdurami. Niestety tym razem miało być inaczej – wszystko okazało się prawdą.

Wystarczyła ta jedna wiadomość, żebym natychmiast wskoczył na wyższe obroty. Jeśli była prawdziwa, to zupełnie nie liczyło się to, czy na pokładzie byli SEALs, Delta czy Siły Specjalne Wojsk Lądowych. Wszyscy graliśmy w jednej drużynie. Zadzwoniłem do kumpla z zespołu bojowego[2] pełniącego aktualnie służbę w Afganistanie – wrócił do domu, ponieważ musiał zaopiekować się chorą matką. Pomyślałem, że powinien wiedzieć coś więcej.

Nie odebrał.

Zacząłem przewijać listę kontaktów w telefonie, próbując dodzwonić się do kogoś, kto może mieć jakieś wieści. I wtedy przyszło potwierdzenie: „To byli nasi”.

Wiadomość uderzyła mnie jak grom z jasnego nieba. Przed oczyma stanęły mi twarze wszystkich kumpli służących w tamtym zespole

bojowym. Telefon zaczął wibrować od odebranych wiadomości. Ta sama informacja przychodziła ze wszystkich stron.

„To byli nasi”.

Poczułem ucisk w żołądku. Nie mogłem usiedzieć w miejscu, więc ruszyłem do kuchni, wciąż wpatrując się w ekran telefonu. Czekałem na kolejne wieści, ale byłem przerażony każdym szczątkiem informacji. Wiedziałem, że moi koledzy setki razy zgłaszali się na ochotnika tylko po to, aby być w konkretnym miejscu i wykonywać konkretną robotę. Równie dobrze to ja mogłem siedzieć w tym śmigłowcu. Cholera, przecież ledwie parę miesięcy temu właśnie w jednym się rozbiłem! Bezczynne czekanie w domu na sygnał to koszmarne uczucie, aż za dobrze znane naszym żonom i dziewczynom.

Po chwili już wiedziałem, że nie mogę być teraz sam. Wyciągnąłem dwunastopak piwa z lodówki i poszedłem do domu znajomego SEALsa. Akurat dziś będziemy potrzebować paru browarów…

Słońce już zachodziło, a ulice wydawały się opuszczone. Kiedy szedłem tych kilka przecznic do kumpla, rozejrzałem się po okolicy. Nowe budownictwo, kilka drzewek. Duże murowane domy, przed nimi wypielęgnowane trawniki. W weekendy przyglądałem się sąsiadom, którzy dbali o swoje skrawki zieleni i starannie strzygli rosnące na nich krzaczki i żywopłoty. Ulice wyglądały niezwykle spokojnie.

Większość moich sąsiadów zupełnie nie zdawała sobie sprawy z tego, w jaki sposób ja i odwiedzający mnie koledzy zarabiamy na chleb. Kiedy mijałem ich domy, byłem niemal pewny, że ich myśli zaprzątnięte były planami urlopowymi, opłacaniem rachunków albo tym, który mecz baseballu obejrzą dziś wieczorem. Przepaść, wręcz otchłań, między tym, co dzieje się w Afganistanie, a sytuacją w kraju, była ogromna. Wiedziałem, że sąsiedzi popierają walczących żołnierzy, ale nie mają bladego pojęcia o tym, jak tam jest i jak często kumple ryzykują życie. W większości domów wojna była tematem nieobecnym na co dzień, może poza tymi rodzinami, które oczekiwały na powrót swoich żołnierzy lub marynarzy.

Nigdy nie pojmą tego, jak wiele codziennego poświęcenia wymaga służba wojskowa. Nic nie mogło tego zmienić, a dziś tak naprawdę nie miało to żadnego znaczenia. Danina krwi została złożona. Od nas teraz zależało, żeby nie została zapomniana. Przepaść między tymi, którzy

przelewają krew za ojczyznę, a resztą obywateli nigdy nie była dla mnie tak wyraźnie widoczna jak w tamtą cichą noc.

Kiedy dotarłem do domu kumpla, ten otworzył mi drzwi z takim samym wyrazem bólu na twarzy, jaki widniał na mojej. Kiwnął tylko głową i zaprosił mnie do środka. W milczeniu podszedłem do jego lodówki i wrzuciłem do niej piwo. Wziąłem tylko dwie butelki i wyszliśmy na balkon, zostawiając jego rodzinę w salonie.

Otworzyłem swoje piwo i upiłem duży łyk. Było właściwie bez smaku, czekałem jedynie na efekt jego działania. Kumpel w ciszy opróżniał butelkę i przewijał wiadomości w telefonie. Siedzieliśmy tak przez dłuższą chwilę – żaden z nas się nie odezwał. W zestrzelonym śmigłowcu było mnóstwo naszych kolegów, a teraz wszyscy już nie żyli. Chcieliśmy działać, ale nie mogliśmy nic zrobić – uczucie niemocy było paraliżujące.

Słońce zaszło całkowicie, a balkon spowiły ciemności. Ledwie widziałem twarz kolegi. Nie miał zamiaru włączać światła. Myślę, że obaj cieszyliśmy się, że zapadł mrok – ciemność sprzyjała żałobie.

Przez wiele miesięcy po operacji zlikwidowania Osamy bin Ladena politycy i media zachwycali się oddziałami SEAL. Nie mam pojęcia, ile razy słyszałem słowo „bohater”, rzucane na lewo i prawo. Używanie określenia „bohater” nie przychodzi nam łatwo, a na dodatek jego znaczenie w naszej społeczności uległo obecnie zatarciu. Teraz każdy jest bohaterem.

Początkowo rozmiary strat nie wydawały się aż tak ogromne, do czasu kiedy na ekranie mojego iPhone’a zaczęły wyświetlać się nazwiska poległych.

Piliśmy jedno piwo za drugim, wspominając wydarzenia związane z chłopakami z zestrzelonego śmigłowca. Obaj opowiadaliśmy najlepsze, najśmieszniejsze historie o każdym z nich. A było ich mnóstwo. Śmiech pozwalał nam przejść przez te najcięższe i najbardziej stresujące chwile. Sięgaliśmy w głąb pamięci, aby przypomnieć sobie wszystko, co mogłoby wywołać nasz uśmiech. Kumpel skoczył do środka po kilka kolejnych piw, a w tym samym czasie na moim telefonie pokazało się kolejne nazwisko.

Ray.

Poczułem się, jakby ktoś uderzył mnie pięścią w brzuch. Położyłem telefon na stole i zacząłem chodzić po drewnianym balkonie.

Po raz pierwszy spotkałem Raya w 1999 roku na plaży w San Diego, gdzie obaj zaczynaliśmy szkolenie BUD/S[3]. Wcześniej był w college'u w Luizjanie, ale po pierwszym roku zdecydował, że chce zostać SEALsem. Mnie udało się skończyć szkołę, zanim poczułem to samo powołanie, co on. Pamiętam, jak razem z Rayem staliśmy na plaży, patrząc na fale i słuchając wydzierających się na nas instruktorów. Wyglądał na zdeterminowanego i skupionego, a krzyki i ogólny chaos zdawały się nie robić na nim żadnego wrażenia.

Z początku, zanim się go dobrze poznało, Ray wydawał się bardzo cichą osobą. W przeciwieństwie do mnie był urodzonym sportowcem – w liceum grał w piłkę nożną, czemu zawdzięczał smukłą sylwetkę. Wkrótce zauważyłem, że doskonale radzi sobie z wszystkim zadaniami, które stawiali przed nami instruktorzy. Był niezwykle konsekwentny – zawsze kończył to, co zaczął, niezależnie od tego, czy było to pływanie, bieg po plaży czy tor z przeszkodami. Zawsze w czołówce, niezależnie od warunków.

Obaj skończyliśmy kurs BUD/S w grudniu 1999 roku. Ray dostał przydział do SEAL Team 3, ja natomiast trafiłem do SEAL Team 5. Ponieważ obaj stacjonowaliśmy w San Diego, widywaliśmy się tak często, jak było to możliwe. Niestety ze względu na natłok pracy zazwyczaj przebywaliśmy po różnych stronach planety.

Ray miał dziewięć kocich żyć.

Część jego historyjek z rodzaju „o mały włos" przeszła do legendy. Kilka miesięcy przed Selekcją, zwaną też S&T[4], został postrzelony w szyję. Z oddziałem SEAL Team 3 stacjonował właśnie w ramach półrocznej zmiany na Guam, kiedy wraz z kilkoma kolegami postanowili wybrać się do miejscowego baru na święta Bożego Narodzenia. Po małych nieporozumieniach z miejscowymi Ray z kumplem zdecydowali się obrać kurs na dom i zakończyć wieczór. Wezwali taksówkę i skierowali się do bazy, kiedy jeden z gości z baru wychylił się z okna innego samochodu i zaczął do nich strzelać.

Wystrzelone pociski rozbiły okna taryfy, a jeden z nich trafił Raya w szyję; na szczęście gładko przeszedł przez skórę, nie powodując poważnych obrażeń. Larry, drugi SEAL, dostał w ucho – pocisk wyszedł nosem. Taksówkarz zawiózł ich szybko do szpitala – Ray zatamował krwotok własną koszulą i poszedł na ostry dyżur w poszukiwaniu pomocy.

Kilka miesięcy później pokazał się na Selekcji – trafił na moją ośkę i razem przez nią przeszliśmy. Ale podobnie jak po BUD/S trafiliśmy do różnych zespołów bojowych.

Teraz Ray był martwy. Nie mogłem w to uwierzyć.

Kumpel wrócił z następną kolejką browarów, więc na chwilę wróciłem do rzeczywistości. Siedzieliśmy w ciszy przez parę kolejnych minut, z wyciągniętymi telefonami, wciąż przewijając listę wiadomości. Ale moje myśli uporczywie krążyły wokół Raya.

– Widziałeś to, co Ray nagrał w Afganistanie? – zapytałem.

Kumpel chrząknięciem dał do zrozumienia, że tak.

– Gdybym to był ja, na pewno byłbym już trupem – odpowiedział.

Niemal każdego ranka, tuż po przyjściu do roboty i sprawdzeniu maili, czekał na nas raport AAR[5] z ostatniej operacji, opracowany przez wszystkich biorących w niej udział. Często zawierał również materiały wideo nagrane przez bezzałogowe drony. Wszyscy, od załóg śmigłowców, poprzez analityków wywiadu, na SEALsach kończąc, mogli przedyskutować poszczególne elementy zadania – co poszło dobrze, a co źle. Raporty były rozsyłane wewnątrz całego środowiska sił specjalnych, niezależnie od tego, czy ktoś brał udział w danej operacji, czy też nie, tak aby można było wyciągnąć wnioski z tego, co opracowali inni. Jeden z takich raportów, dotyczący tej szczególnie interesującej misji, był również tematem wielu rozmów.

Akcję z udziałem Raya po prostu trzeba było zobaczyć. Jego zespół bojowy był w Afganistanie – grupa bojowa miała szturmować zabudowania znajdujące się za glinianym murem. Jako snajper poruszający się przed całym ugrupowaniem musiał wdrapać się na jeden z budynków górujących nad okolicznymi zabudowaniami, gdzie ukrywał się jeden z dowódców talibów. Z dachu miał zapewnić osłonę kolegom przeprowadzającym szturm.

Na nagraniu mogłem zauważyć szturmowców w ciszy zbliżających się do celu. Sam robiłem to milion razy, więc dokładnie wiedziałem, co teraz czują ci goście, ale nawet tylko patrząc, byłem mocno podekscytowany. Ich zmysły były maksymalnie wyostrzone, gdy nasłuchiwali odgłosów uchylających się drzwi lub kroków odzianych w trampki talibów na kamienistym podłożu. Przyłapałem się na tym, że skanowałem wzrokiem ściany budynków, wypatrując jakiegokolwiek ruchu.

Kiedy Ray odłączył się od reszty, aby zająć pozycję zapewniającą mu możliwość osłony szturmu, ostrożnie stawiał kroki. Jestem pewien, że zatrzymywał się przy każdym pęknięciu cienkiej gliny pokrywającej dach, doskonale wiedząc, że wystarczy jeden niewłaściwy ruch, aby zdradzić swoją pozycję ludziom śpiącym w środku budynku.

Gdy oddział szturmowy zbliżał się do celu, drzwi znajdujące się dokładnie pod pozycją Raya gwałtownie się otworzyły. Zaraz po tym dało się zauważyć charakterystyczny kształt ręcznego granatnika przeciwpancernego RPG – długa, wąska rura zakończona stożkowatym pociskiem. Nagle wszystko się zatrzymało. Domyślam się, że ktoś wewnątrz budynku usłyszał Raya na dachu albo zbliżający się oddział. Talib prawdopodobnie próbował dostrzec w mroku nadchodzących komandosów. Ułamek sekundy później wystrzelił pocisk, który przeleciał dosłownie przed SEALsami i wybuchł gdzieś daleko.

Fala uderzeniowa wygenerowana przez odpalony pocisk RPG był tak silna, że spowodowała zawalenie się glinianego dachu, który otworzył się niczym gigantyczne usta i wchłonął Raya, zrzucając go prosto do środka budynku.

Spadł na stos gliny i drewnianych belek – w chmurze podniesionego kurzu niemal natychmiast dostrzegł pięciu talibów, uzbrojonych w karabinki AK i mających na sobie kamizelki z zapasowymi magazynkami. Kilku leżało na ziemi, wciąż jeszcze ogłuszonych falą podmuchu RPG.

Ray miał zaledwie kilka sekund na podjęcie decyzji: zostać w środku i zastrzelić wszystkich pięciu gości albo wydostać się, zanim jego koledzy – którzy mogli nie wiedzieć, że znalazł się teraz w środku – otworzą ogień w stronę budynku.

Zdecydował się uciec. Wyskoczył przez okno, rozbijając je. Na nagraniu widać, jak ląduje zaraz pod otaczającym zabudowania murem, po czym krzyczy w stronę kolegów, aby ci mieli jasność, że nie jest talibem. Potem widać, jak turla się z dala od okna i spokojnie wyciąga granat. Następnie skrada się pod otwór okienny i wrzuca granat do wnętrza budynku. Nawet na wideo z drona wydawało mi się, że Ray był cały czas opanowany, a jego ruchy płynne i gładkie. Miał swój sposób na robienie zwariowanych rzeczy, tak aby wyglądały najzupełniej normalnie.

Przeturlał się od okna w poszukiwaniu osłony. Eksplozja granatu uniosła chmurę pyłu i kamieni. W środku odłamki posiekały talibów, którym udało się przeżyć zawalenie dachu.

Podobnie jak wielu z nas Ray przez ponad dekadę służył swojemu krajowi, czasem w trudnych i niebezpiecznych warunkach. Jego czyny wzmacniały poczucie idei i zasad, którymi wszyscy się kierowaliśmy. Wiedziałem, że samo patrzenie, w jaki sposób Ray działa, będąc w szczytowej formie, dodaje nam wiary, że możemy być jeszcze skuteczniejsi, co kiedyś być może uratuje czyjeś życie.

Kiedy tak siedzieliśmy na balkonie kolegi, pomyślałem, że wiele bym dał, aby móc jeszcze kiedyś pójść na piwo z Rayem. Przez całą noc gadaliśmy o naszych poległych towarzyszach i próbowaliśmy zapomnieć o wszystkim innym. Nie miało znaczenia, w jaki sposób zginęli. Ważne było to, że już ich nie ma.

Po kilku dniach zaczęły wychodzić na jaw szczegóły katastrofy. Istotne było, aby wyciągnąć z niej wnioski, podobnie jak w przypadku akcji Raya. Tamtej nocy nasi polegli byli częścią QRF – sił szybkiego reagowania, takiej wojskowej straży pożarnej, która czeka w pełnej gotowości podczas operacji prowadzonej przez siły główne. Jeśli sprawy potoczą się niezgodnie z planem, QRF w ciągu kilku minut rusza z pomocą.

Oddział Rangersów US Army miał zaatakować cel w wiosce Jaw-e-Mekh Zareen położonej w dolinie Tangi, w prowincji Wardak, około czterdziestu kilometrów od Kabulu. Wstępnie to właśnie Navy SEALs mieli wykonać to zadanie, z powodu zbyt silnego światła księżyca zrezygnowali jednak z tej misji, sugerując jej przesunięcie na ciemniejszą noc – działanie w całkowitej ciemności jest znacznie bezpieczniejsze. Operacja nie została odwołana i Rangersi zdecydowali się uderzyć na wyznaczony obiekt.

Poszukiwanym był jeden z ważniejszych przywódców talibów. Zaraz po wylądowaniu sił amerykańskich rozpętała się zaciekła walka – z różnych miejsc w dolinie zaczęły nadciągać posiłki talibów. Po dwóch godzinach strzelaniny niewielka grupa sił przeciwnika zaczęła się wycofywać. Żołnierze wezwali QRF – w uciekającej grupce znajdował się poszukiwany dowódca wraz z ochroną i nie chciano dać mu szansy na wymknięcie się.

Gdy nadleciał śmigłowiec o kryptonimie Extortion 17, przewożący siły szybkiego reagowania, które miały wesprzeć walczących Rangersów, celnie wystrzelony pocisk z granatnika RPG trafił w wirnik ogonowy maszyny. Ray i reszta chłopaków na pokładzie nie mieli żadnych szans na przeżycie.

Dwa dni później dowodzący operacją w Afganistanie poinformowali, że talib odpowiedzialny za zestrzelenie śmigłowca zginął w nalocie bombowym przeprowadzonym przez myśliwce F-16.

Wiadomość ta nie przyniosła nam ulgi.

Nieco później zaczęły krążyć plotki o zastawionej pułapce. Pojawiła się wersja, że talibowie celowo zwabili SEALsów w zasadzkę i zestrzelili śmigłowiec w akcie zemsty za śmierć Osamy bin Ladena. Niezależnie od tego, jaka faktycznie była jej przyczyna, katastrofa Extortion 17 była prawdziwą tragedią. Niemal zawsze, kiedy wzywa się QRF, oznacza to, że coś poszło nie tak. Służba w siłach szybkiego reagowania jest niebezpieczna – nie ma wtedy elementu zaskoczenia, zwłaszcza kiedy jest się na pokładzie CH-47 Chinook, wielkiego latającego autobusu. A czasem, gdy nadejdzie odpowiednia chwila, po prostu zabraknie szczęścia lub umiejętności.

Wraz z upływem nocy dowiadywałem się, że znacznie więcej kumpli straciło życie w Afganistanie. Trzydziestu ośmiu członków sił zbrojnych zginęło w zestrzelonym Extortion 17, w tym ponad tuzin SEALsów. Katastrofa była najbardziej krwawą stratą w ciągnącym się od dekady konflikcie. Widok ozdobionych flagami trumien w drodze na uroczystości pogrzebowe na zawsze wyrył się w mojej pamięci.

Ray, co wydaje się oczywiste, nie był jedynym przyjacielem, którego straciłem w trakcie czternastu lat służby w morskich siłach specjalnych. Na liście kontaktów w telefonie wciąż mam czterdzieści nazwisk osób, do których już nigdy nie zadzwonię. Od pamiętnego 11 września 2001 roku

poległo znacznie więcej członków Navy SEALs niż tych czterdziestu, ale ja miałem szczęście i zaszczyt ich znać oraz służyć właśnie z nimi.

Nie będziemy już nad piwem rozpamiętywać dni dawnej chwały. Nie będzie już wspólnego grillowania ani wyjazdów na szkolenia. Te czterdzieści osób to więcej niż współpracownicy czy przyjaciele. To bracia. Za każdym razem, kiedy przewijam listę kontaktów i wpadam na ich nazwiska, wspomnienia powracają.

Do San Diego wszyscy dotarliśmy, mając jedno i to samo marzenie. Była to nierozerwalna więź, która połączyła chłopaka z odludzia Alaski, surfera z Kalifornii i hodującego świnie na amerykańskim Środkowym Zachodzie rolnika, który ocean zobaczył pierwszy raz w życiu, stając nad jego brzegiem w pierwszym dniu kursu podstawowego.

Dążyłem do spełnienia swojego marzenia od szkoły średniej na Alasce, aż do kursu BUD/S. Kiedy wreszcie otrzymałem Trójząb[6], legendarną odznakę Navy SEALs noszoną na piersi, próbowałem perfekcyjnie wykonywać wszystkie stawiane przede mną zadania. Dla mnie i dla wielu moich kolegów zostanie SEALsem było dopiero początkiem naszej drogi. Bycie świetnym kumplem z zespołu, ciągłe przełamywanie własnych barier i bycie tutaj, wśród tych ludzi, stało się dla nas czymś w rodzaju religii.

Nigdy nie przechodziłem do porządku nad stratami na chłodno czy bez żalu. W ciągu wielu lat służby ten ból wzrastał. Przyjaciele z Firmy poświęcali wszystko dla swojego kraju. Długie miesiące spędzali z dala od rodziny i ukochanych, marznąc gdzieś w afgańskich górach, a niektórzy z nich, tak jak mój kumpel Ray, płacili najwyższą cenę. Żaden z nich nigdy nie myślał o sobie jak o bohaterze.

Nadszedł czas na podjęcie decyzji.

Poświęciłem czternaście lat, aby stać się najlepszym morskim komandosem, jakim mogłem być. Teraz mogłem przedłużyć kontrakt i zostać w marynarce tak długo, aż dociągnąłbym do emerytury, czyli jeszcze sześć lat, albo odejść i stawić czoło nowym wyzwaniom,

Decyzja ta miała zaważyć na moim dalszym życiu jak żadna inna. Bycie Foką[7], jednego z czołowych zespołów [redacted] w kraju to coś więcej niż praca. To była moja tożsamość i coś, co nadawało mojemu życiu

sens. Teraz nie mógłbym wyruszyć na zagraniczną zmianę i pracować tam na pół etatu. Wiedziałem, że jak już wysiądę z tego pociągu, do którego mógłbym porównać służbę w siłach specjalnych, to nigdy już nie wsiądę do niego z powrotem. Wiedziałem też, że całe moje życie ulegnie kompletnej zmianie.

Wstrzymywałem się z podjęciem ostatecznej decyzji, poświęcając noce na analizy dotychczasowej kariery, a także wszystkich wydarzeń i życiowych lekcji, które mnie ukształtowały. Wreszcie zdecydowałem się opuścić marynarkę i zostać kowalem własnego losu – musiałem też odkryć siebie na nowo.

Wydanie książki rzuciło mnie w świat, jakiego nie znałem, gdzie miliony obcych ludzi nagle chciało ze mną rozmawiać i wysłuchać tego, co mam do powiedzenia. Większość z nich mnie wspierała, ale nie obyło się też bez głosów krytyki. Było to całkowicie nowe wyzwanie i nie byłem pewien, czy całe szkolenie, które przeszedłem jako SEAL, przygotowało mnie do niego.

Trzynaście tur bojowych w ciągu trzynastu lat stworzyło ze mnie operatora sił specjalnych, który właśnie teraz miał opuścić szeregi marynarki wojennej. Wysiadka z rozpędzonego pociągu była o tyle trudna, że nie miałem pojęcia, czy moje umiejętności będą mogły się jeszcze do czegoś przydać.

Kiedy ludzie słyszą o SEALsach, wyobrażają sobie superbohaterów wyskakujących z samolotów i strzelających do złych typów. Owszem, robimy obie te rzeczy, ale to nie one nas definiują. Jeśli popełniamy błędy, to powtarzamy wszystko, aż osiągniemy perfekcję w tym, co robimy. Nie jesteśmy superherosami. Jesteśmy po prostu całkowicie oddani naszej robocie.

Nie ma tu żadnego „magicznego składnika” – jest natomiast mnóstwo ciężkiej pracy, poświęcenia i pasji.

W rzeczywistości żaden z nas nie uważa się za kogoś specjalnego – staramy się tylko wykonywać najprostsze rzeczy w najlepszy możliwy sposób. Jeden z najwspanialszych liderów, których miałem możliwość poznać, zawsze nakłaniał swoich młodszych kolegów do angażowania się w życie zespołu i bycia jego częścią.

„Ile chcesz z siebie dać?”, pytał, a jedyną akceptowalną odpowiedzią było: „Wszystko i przez cały czas!”.

Uczyliśmy się, co często było niełatwe, jak być jeszcze lepszymi w tym, co robimy. Bycie lepszym oznacza nieustanną komunikację z innymi, sprawdzanie, rozwijanie się, słuchanie, naukę i nauczanie, dzień za dniem, rok po roku. Nie chodzi tylko o to, abyś umiał zasuwać kilometrami po afgańskich górach, mając na plecach trzydziestokilogramowy plecak, ale abyś potrafił słuchać tych, którzy wskazują ci błędy. A słuchanie o swoich błędach i porażkach jest często trudniejsze i jeszcze mniej przyjemne niż stanie w zimnym oceanie.

Kiedy przez pierwszy rok po odejściu ze służby stawiałem czoło coraz to nowym wyzwaniom, wielokrotnie wracałem do lekcji wyniesionych z wojska i do momentów, które będą mi towarzyszyć do końca życia. Dotarło do mnie, że najważniejsze chwile w życiu to nie te, które trafiają na czołówki wiadomości. To operacje bez nazwy, w których mój zespół był wystawiany na próbę i stawał się coraz lepszy. To błędy, które popełniłem, ale dzięki nim nauczyłem się, że nigdy już ich nie powtórzę. A najważniejsze są te, które pozwoliły mi poznać, czym naprawdę jest braterstwo SEALsów.

Ta książka jest właśnie o tych chwilach i wyniesionych z nich lekcjach, które mnie ukształtowały. Mam nadzieję, że ten zbiór historii pozwoli wejrzeć czytelnikom w codzienną służbę i życie SEALsów, a mnie przekazać najważniejsze wnioski moich starszych kolegów – zarówno tych, z którymi służyłem, jak i tych, którzy służyli długo przede mną.

Bycie członkiem US Navy SEALs to niezwykła praca. To trwające całe życie poświęcenie – pokonywanie wyzwań stawianych przed tobą i pozostałymi członkami zespołu, nieustanna ewolucja, weryfikowanie podjętych decyzji i wyciąganie wniosków z popełnionych błędów, tak aby cały zespół mógł działać jeszcze efektywniej.

Doświadczenia, które wyniosłem ze służby, to dziedzictwo po ludziach, których straciliśmy, takich jak Ray, wszystkich obecnych oraz byłych SEALsów, którzy poświęcili swoje życie dla kraju. Wiele z tych nauczek

było bolesnych – przyjaciele zapłacili za nie życiem. Książkę tę dedykuję swoim braciom.

Komandosi SEALs uczeni są, aby przekazywali swoje doświadczenia kolejnym pokoleniom morskich komandosów. Po to też kreślę słowa *Zwykłego bohatera*.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Prawo do noszenia koszulki

Cel

Był to zwykły czarny T-shirt.

Rozmiar M, sto procent bawełny.

Na przodzie znajdował się szkielet w nurkowej piance czołgający się po plaży. W ręku trzymał karabinek M-16, a u pasa zwisał mu nóż. Szkielet wynurzał się z wody, za jego plecami przełamywały się ciemne fale. Na lewej stronie koszulki widniał trójząb SEALsów – faktyczny powód jej zakupu.

Pamiętam, jak koszulka przyszła do mnie pocztą. Nie było mowy, abym mógł ją kupić w wiejskim sklepie na Alasce, w miejscowości, gdzie dorastałem. Zaraz po otwarciu przesyłki włożyłem ten T-shirt i nosiłem go niemal codziennie. Jeśli tylko rano był uprany, znów miałem go na sobie.

Dla wszystkich wokół był to zwykły T-shirt. Dla mnie reprezentował życiowy cel. Za każdym razem, gdy go wkładałem, przypominał mi o obranej ścieżce: chciałem zostać SEALsem. Kiedy skończyłem pakować resztę rzeczy do walizki, włączając w to pożyczony garnitur i wyjściowe buty, udało mi się wcisnąć go do środka. Chwilę potem ruszyłem na lotnisko. Miałem dotrzeć do Waszyngtonu na konferencję dla przyszłych członków sił zbrojnych. Był 1992 rok i do dziś nie pamiętam, w jaki sposób dostałem na nią zaproszenie – prawdopodobnie od kogoś z biura werbunkowego, z kim rozmawiałem o SEALsach.

Lotnisko, a raczej lądowisko, znajdowało się za wsią i było jej jedynym połączeniem z cywilizacją, oczywiście jeśli można tak nazwać jakiekolwiek miasto na Alasce. Pograniczny, kresowy styl życia na odludziu to powód, dla którego ludzie się tam przeprowadzają. Jeśli szukasz wygód, to lepiej tu nie przyjeżdżaj.

Patrzyłem, jak samolot mija drzewa rosnące na końcu pasa i powoli podchodzi do lądowania. Kiedy pilot i grupa przybyłych myśliwych rozładowywali rzeczy z luku bagażowego, pożegnałem się z rodzicami w małym jednopokojowym budynku, który służył za lotniskowy terminal.

Pod wieloma względami był to mój pierwszy wyjazd. Pierwszy raz sam opuszczałem Alaskę. Pierwszy raz leciałem do Waszyngtonu. Ale

najważniejszy „pierwszy raz” był dopiero przede mną – miałem poznać pierwszego operatora morskich sił specjalnych.

Wszyscy w wiosce wiedzieli, kim chcę zostać w przyszłości. O tym rozmawiałem z przyjaciółmi i o tym marzyłem po nocach. Przeczytałem wszystkie książki o SEALsach, do jakich udało mi się dotrzeć.

O SEAL Team [redacted] nie wiedziałem nic, dopóki nie wpadła mi w ręce książka *Komandos*[8] autorstwa Richarda Marcinko i Johna Weismana, znanego jako Demo[9] Dick albo Człowiek Rekin z Delty[10]. Służył podczas wojny wietnamskiej i to on stworzył SEAL Team [redacted]. Jego książka opowiadała o sformowaniu i początkach tej jednostki. Gdyby wierzyć wszystkiemu, co zostało w niej napisane, można by dojść do wniosku, że każdy operator wyciska dwieście pięćdziesiąt kilo na klatę i żre szkło. Chciałem zrobić, co się da, aby udowodnić, że też dam radę. No, może poza jedzeniem szkła.

Wtedy myślałem, że bycie SEALsem jest po prostu fajne. Spodziewałem się, że trening będzie ciężki, ale byłem jednak zbyt młody, aby zrozumieć, j a k b a r d z o ciężki. Zupełnie nie zdawałem sobie sprawy, co będę musiał poświęcić. Chciałem być taki jak goście, o których czytałem, i to popychało mnie do przodu.

Miałem szczęście, że życiowy cel postawiłem sobie bardzo wcześnie. Może na początku nie zdawałem sobie z tego sprawy, ale od chwili gdy się dowiedziałem o morskich siłach specjalnych, wiedziałem już, że to moja przyszłość – właśnie z powodu wyzwań, jakie się z tym wiążą. Jeśli spytacie mnie o powody, dla których wstąpiłem do wojska, to owszem, poczucie obowiązku będzie jednym z nich, ale nie najważniejszym. Tę pozycję zajęła chęć udowodnienia sobie, że przejdę przez najbardziej wyczerpujące szkolenie w amerykańskich siłach zbrojnych. Czemu miałbym robić coś łatwego? Jeśli coś jest proste, wszyscy mogą temu podołać. Patrząc wstecz – nie wiem, czemu chciałem coś sobie udowodnić. Po lekturze wszystkich tych książek wiedziałem tylko, że służba w SEALs jest ciężka i najbardziej niebezpieczna. Chyba doszedłem do wniosku, że jak mam się zaciągnąć, to od razu do najlepszych.

Po tym, jak pilot pomógł mi załadować walizkę, wszedłem na pokład samolotu, siadłem na wąskim miejscu z tyłu i pomachałem w stronę

rodziców, kiedy maszyna zaczęła kołować na pas startowy. Moja rodzina nie należała do zamożnych, ale rodzice zdecydowali się pokryć koszt biletów, natomiast dwóch weteranów wojsk lądowych z mojej wsi sfinansowało resztę wydatków.

Na lotnisku w Anchorage wyciągnąłem agendę wyjazdu i jeszcze raz ją przestudiowałem. Przed spotkaniem z SEALsem zaplanowane były wycieczki do różnych historycznych miejsc i pomników oraz wykłady o wojskach lądowych i siłach powietrznych.

Ale spotkanie z członkiem SEALs było tego warte.

Kiedy dotarłem do Waszyngtonu, błyskawicznie podchwyciłem rytm konferencji. Zwiedziliśmy Pentagon, który na filmach prezentuje się dużo lepiej – w rzeczywistości jest to po prostu biurowiec o dziwnym kształcie. Widzieliśmy pomnik Lincolna i Memoriał Weteranów Wojny Wietnamskiej, ale wtedy te rzeczy zupełnie mnie nie interesowały. Ciągnąca się lista nazwisk wyrytych na Memoriale dawała do myślenia, ale ponieważ nigdy wcześniej nie doświadczyłem strat, takich jak później te w Iraku i Afganistanie, nie wywarła na mnie szczególnego wrażenia. Wtedy naprawdę nie liczyłem się z tym, że któregoś dnia i ja będę musiał spojrzeć na taką listę i zrozumiem, co to znaczy stracić bliskich przyjaciół oraz kolegów z ekipy. Stojąc teraz pod pomnikiem, wiem, czym jest żałoba. Wtedy jednak jedyną sprawą, którą byłem zainteresowany, było spotkanie z SEALsem.

Plan całej konferencji był ustalony co do minuty i każdego ranka, kiedy wyciągałem z walizki ubrania, widziałem perfekcyjnie złożoną koszulkę, czekającą na właściwą okazję.

Spotkanie przewidziane było na godziny popołudniowe, więc po typowym konferencyjnym lunchu, czyli kanapkach i ciasteczkach, popędziłem w stronę sali, gdzie miało się odbyć. Niestety kiedy dotarłem na miejsce, okazało się, że sala jest pełna.

Pomieszczenie było nabite ludźmi, ale udało mi się zauważyć kilka wolnych krzeseł. Próbowałem negocjować z kobietą pilnującą drzwi – była to jedna z naszych opiekunek i organizatorek całego przedsięwzięcia. Pewnie by mnie wpuściła, ale na sali była z góry ustalona liczba miejsc.

Przepraszała za zaistniałą sytuację, ale nie chciała ustąpić.

Na zewnątrz zebrał się już mały tłumek – spotkanie z SEALsem było chyba najciekawszym wydarzeniem całego tygodnia. Przez uchylone drzwi mogłem dostrzec umundurowanego komandosa rozmawiającego z młodszymi opiekunkami. Czas się kończył – spojrzałem na rozpiskę, próbując znaleźć jakieś inne spotkania, ale w najbliższym czasie nic nie było zaplanowane. Nie miałem pojęcia, co robić. Przeleciałem sześć i pół tysiąca kilometrów, aby wziąć udział właśnie w tym spotkaniu, dlatego byłem naprawdę zdruzgotany. Cały wyjazd poszedł na marne.

I wtedy, dosłownie w chwili rozpoczęcia się sesji, babka stojąca przy drzwiach machnęła, żebym do niej podszedł. Powiedziała, że wpuszczą jeszcze kilka osób, i wepchnęła mnie do środka. Zostały już tylko miejsca stojące, ale udało mi się znaleźć coś z tyłu. Pozostało więc tylko czekać, aż gość zacznie mówić.

SEALs miał na sobie mundur polowy w leśnym kamuflażu i ściągniętą na szyję czarną kominiarkę. Nogawki spodni wpuścił w czarno-zielone buty dżunglowe. Jego włosy były znacznie dłuższe, niż można by się spodziewać po kimś służącym w wojsku. Nie były to jakieś zaniedbane kudły, ale też nie typowy jeż z wysoko wygolonymi bokami, noszony głównie przez piechotę morską. Wokół niego unosiła się jakby aura cwaniaka, ale było to coś, co zrozumiałem lata później. Nie chodziło bowiem o arogancję, lecz właśnie o pewność siebie.

Swoje przemówienie mężczyzna zaczął od standardowych formułek o tym, czym są oddziały SEALs – Siły Specjalne Marynarki Wojennej. Akronim SEAL powstał od angielskich słów określających trzy główne środowiska działania: SE od *sea* (morze), A od *air* (powietrze) oraz L od *land* (ląd). Jednostki te zostały utworzone, wraz z Siłami Specjalnymi Wojsk Lądowych[11], za czasów prezydentury Johna Fitzgeralda Kennedy'ego, który dostrzegł potrzebę powołania wojsk specjalnych, które mogłyby zwalczać ruchy partyzanckie. W swojej przemowie z 1961 roku, kiedy to ogłosił plan wysłania załogowej misji na Księżyc, Kennedy przedstawił również plan zainwestowania stu milionów dolarów w zorganizowanie oraz wyszkolenie sił operacji specjalnych.

Oddziały morskich komandosów, początkowo stworzone w oparciu o nurków z UDT[12] – zespołów dywersji podwodnej marynarki wojennej, zostały wysłane do Wietnamu, gdzie operowały z CIA i organizowały

zasadzki na szlakach zaopatrzeniowych prowadzących przez deltę Mekongu. Ze względu na kolor farby maskującej stosowanej do kamuflażu twarzy SEALsów zaczęto ich nazywać ludźmi o zielonych twarzach.

Pochłaniałem każde słowo, jakie padło w trakcie godzinnej prelekcji. SEALs opowiadał o podstawowym szkoleniu BUD/S, podkreślając, jak bardzo jest ono trudne i absorbujące. Nie ma łatwego dnia na tym kursie – są lodowate fale oceanu i niekończące się biegi po sypkim piachu plaż. Te opowieści tylko jeszcze bardziej mnie nakręciły.

Po części przeznaczonej na pytania i odpowiedzi zaplanowano krótką przerwę przed kolejną prezentacją. Pobiegłem więc do swojego pokoju, gdzie przebrałem się w czarną SEALsową koszulkę – chciałem mieć zdjęcie z prawdziwym komandosem w swoim ulubionym T-shircie. Kiedy wróciłem do sali, gdzie odbywała się prelekcja, on wciąż odpowiadał na pytania uczestników spotkania.

Cierpliwie czekałem na swoją kolej.

– Przepraszam, mogę sobie zrobić z tobą zdjęcie? – zapytałem, gdy już się przywitaliśmy.

Uśmiechnął się i objął mnie ramieniem. Gdyby wtedy powiedział, że mam ogolić głowę i przez tydzień chodzić tyłem do przodu, to bez wahania tak właśnie bym zrobił. Tuż przed tym, jak jedna z opiekunek zrobiła nam zdjęcie, nachylił się w moją stronę i szepnął mi do ucha:

– Wiesz co? Normalnie miałbyś już skopany tyłek za to, że nosisz naszą koszulkę, a nie jesteś Foką.

Uśmiechnąłem się i podziękowałem, ale w tej chwili jedyną rzeczą, którą chciałem zrobić, było pozbycie się tej cholernej koszulki. Z kopyta ruszyłem do pokoju hotelowego i zakopałem T-shirt na samym dnie walizki. Nigdy więcej go nie włożyłem. Po powrocie do domu schowałem go głęboko w szafce z ciuchami. Nie byłem pozerem. Wciąż jednak nie miałem szansy, aby się sprawdzić. Uwaga komandosa mocno mnie ubodła – była jak motywujący kopniak, po którym poczułem się jeszcze bardziej zdeterminowany. Miałem wrażenie, jakbym przez ten T-shirt oszukiwał samego siebie – teraz zdałem sobie sprawę, że moja wizja stania się morskim komandosem przestała być jedynie marzeniem nastolatka. Teraz

miała być to jedyna sprawa, która nadawała mojemu życiu prawdziwy sens. Chciałem zasłużyć na możliwość noszenia tej koszulki.

Kiedy już wiedziałem, że chcę zostać SEALsem, nic nie mogło mnie powstrzymać. To rodzice nauczyli mnie, że w życiu najważniejsze jest mieć cel. Byli bardzo młodzi, kiedy przeznaczenie rzuciło ich na Alaskę, i wiem, że oznaczało to dla nich wielki wysiłek i poświęcenie.

Byli misjonarzami – wiara była powodem, dla którego przeprowadzili się z Kalifornii na to odludzie, z dala od wygód wielkiego miasta. Życie na wsi nie jest łatwe, ale moich rodziców to nie przerażało. W porównaniu do standardów amerykańskich przedmieść byliśmy biedni, ale takie życie było też dużo prostsze.

Mieszkaliśmy w piętrowym domu, niecałe sto metrów od rzeki. Przed drzwiami wejściowymi tak często widywałem łosie, że nie robiło to już na mnie żadnego wrażenia. Nie mieliśmy radia, w telewizji był tylko jeden kanał. Nasz dom miał bieżącą wodę i prąd, ale pozbawiony był centralnego ogrzewania – w salonie stał wielki żelazny piecyk, który ogrzewał nas zimą. Ojciec wstawał w środku nocy i sprawdzał, czy koza nie wygasła.

Tuż obok pieca stał duży pojemnik na drewno – moim zadaniem było dopilnować, aby zimą zawsze był pełny. Rąbałem drzewo, a przygotowane kawałki trzymałem na ganku. Kiedy zapas w pojemniku zaczynał się kurczyć, szedłem na werandę i przynosiłem stamtąd kolejne drwa. Śpiewanie w chórze nie było dobrym sposobem na zarobek – nikt nam nie płacił. Był to mój wkład w przetrwanie rodziny na Alasce.

Jednym z moich pierwszych wspomnień ze szkoły podstawowej było budowanie ogniska. Zamiast uczyć nas wyłącznie czytać i pisać, szkoła wpajała nam umiejętności przetrwania. Każdy uczeń w trzeciej klasie podstawówki dostawał dwie zapałki i miał rozpalić ogień, wykorzystując korę drzew rosnących obok szkoły. Musieliśmy umieć rozpalić ognisko na tyle duże, aby zapewniło nam możliwość ogrzania się przez cały zimowy dzień. To miało nam pozwolić przetrwać, gdybyśmy kiedykolwiek się zgubili i byli zdani wyłącznie na siebie. Dzika przyroda Alaski może być bardzo niebezpieczna, jeśli nie wiesz, co trzeba zrobić. Czasem nawet zwykła droga do szkoły może być pełna niebezpieczeństw.

Szkoła średnia, do której uczęszczałem, była w zasadzie korytarzem z sześcioma salami. Uczyło się tam około siedemdziesięciu dzieciaków

w klasach od siódmej do dwunastej. W najstarszej klasie było tylko trzech uczniów. Skończyłem ją jako absolwent wygłaszający mowę końcową, ale nie pytajcie mnie, proszę, o moją średnią. Bardziej interesowałem się wszystkim, co działo się poza szkołą.

Polowałem tak często, jak tylko mogłem. Kiedy byłem już nastolatkiem, ojciec pozwalał mi pożyczać naszą rodzinną łódkę, którą mogłem pływać na biwaki i polowania w górę rzeki. Chciałem cały czas być na świeżym powietrzu i robić coś, co miało mnie doprowadzić do stania się SEALsem. Nigdy nie chciałem mieć do czynienia ze światłami drogowymi, korkami na ulicy i codziennym wkładaniem garnituru przed pójściem do roboty. Praca w zamkniętym pomieszczeniu byłaby dla mnie jak wyrok śmierci.

Pierwszy karabinek kupiłem od nauczyciela historii w szkole. Był to AR-15, czyli cywilna odmiana wojskowego karabinka M-4. Pieniądze na niego zarobiłem, wykonując różne dziwne zlecenia od ludzi we wsi i pracując latem na budowie. Pewnego dnia w przerwie między lekcjami zapłaciłem nauczycielowi siedemset dolarów, wziąłem od niego karabinek i schowałem do szkolnej szafki, gdzie czekał na mnie do końca zajęć. Kiedy zadzwonił dzwonek, zapakowałem go na tył skutera śnieżnego i popędziłem do domu. Tak, zimą do szkoły jeździłem skuterem śnieżnym.

To, czego nie dawała nam ziemia, musieliśmy kupować w dwóch sklepach w naszym miasteczku oraz podczas wycieczki do Anchorage, gdzie jeździliśmy co pół roku, aby zrobić zapasy. Mieliśmy bardzo daleko do miasta, dlatego artykuły spożywcze były bardzo drogie. W wiejskim sklepie mleko kosztowało sześć dolarów za galon, rodzice kupowali więc znacznie tańsze mleko w proszku.

Sprzedawano je w wielkich tubach, które nie mieściły się w kuchennej szafce. Mama przesypywała mniejsze ilości mleka do plastikowych woreczków. Tak samo robiła z płatkami mydlanymi do prania i innymi sypkimi rzeczami.

Któregoś ranka przygotowałem sobie sporą miskę płatków śniadaniowych. Mama była akurat zajęta przy piecu, gdzie robiła dla taty naleśniki. Ciasto pokryte było mnóstwem bąbelków i zmieniało się w wielkie, podejrzanie miękkie naleśniki – ja wolałem płatki z mlekiem.

Usiadłem przy stole i zacząłem jeść, ale płatki mi nie smakowały. Patrzyłem się w talerz i – przysięgam! – widziałem pianę. Już chciałem

wstać i wyrzucić jedzenie, gdy zatrzymał mnie ojciec.

– Zjedz to. Przecież to tylko mleko w proszku, ono tak po prostu smakuje – powiedział.

– To nie o to chodzi, to jest gorzkie. Smakuje jak mydło – próbowałem zaprotestować.

– Przywykniesz.

Nigdy nie przepadałem za smakiem sproszkowanego mleka, ale ta partia była wyjątkowo ohydna. Dławiąc się i krztusząc, łyżka po łyżce, zjadłem całą zawartość miski. Zaraz potem moje kubki smakowe umarły – nie czułem już niczego, tylko gorzki mydlany posmak. Gdy skończyłem jeść, mama podała tacie naleśniki. Ugryzł jeden kęs i zaraz go wypluł.

– Co się stało, coś jest nie tak? – zapytała matka i przestała przygotowywać porcję naleśników dla mojej siostry. Przyjrzała się uważnie ciastu, wzięła plastikową torebkę i powąchała zawartość.

– Wydaje mi się, że mogłam pomylić płatki mydlane z mlekiem w proszku. Teraz już wiem, dlaczego naleśniki miały tyle bąbelków – powiedziała z niewinnym uśmieszkiem, po czym wybuchła śmiechem, a po chwili dołączył do niej ojciec. Kiedy zdali sobie sprawę, że właśnie zjadłem pełną miskę płatków z wodą z mydłem, zaczęli się śmiać jeszcze bardziej. Ja też próbowałem, ale zaraz zaczął boleć mnie brzuch.

Mama wylała masę naleśnikową i zaczęła robić nową, ale kiedy zaproponowała mi kolejną porcję płatków – odmówiłem. Mój żołądek wywracał się do góry nogami, a mydlinami odbijało mi się przez cały dzień.

Życie na Alasce jest twarde i trudne, ale nie zawsze z powodu mydła w brzuchu. W moim dorastaniu nie było chyba niczego normalnego, ale rodzice świadomie dokonali pewnych życiowych wyborów. Nie musieli połykać koszmarnie smakującego mleka w proszku, nie musieli też mieszkać w wiosce ukrytej gdzieś w głuszy Alaski. Zdecydowali się na życie w trudniejszych warunkach niż inni, ponieważ była to dla nich jedyna droga do osiągnięcia życiowego celu – byli misjonarzami i nieśli swoją wiarę. Wiem, że ich oddanie sprawie miało wpływ także na mnie i że dzięki nim posiadłem wartości, które pozwalały mi potem pokonywać wyzwania w trakcie służby w marynarce.

Rodzice wskazali mi kurs, który w naszej wiosce nie był szczególnie popularny. Ludzie nie opuszczali wsi – latem znajdowali zatrudnienie przy budowach, a zimą żyli z oszczędności i z tego, co dała im ziemia. Rodzice nakłaniali mnie, abym mierzył wysoko i spełniał swoje marzenia. Byłem jednym z zaledwie kilku rówieśników, którzy mieli w planach wyjazd i szukanie szczęścia poza Alaską.

Ojciec był wobec mnie zawsze fair i nigdy nie stawiał przede mną zadań, którym nie mógłbym sprostać. Kiedy poprosił, abym przed wstąpieniem do marynarki chociaż rok spędził w college'u, postanowiłem spełnić jego życzenie. Był z pokolenia, które przeżyło wojnę wietnamską, i nie chciał, by cokolwiek mi się stało. Rozumiał jednak moje pragnienie służby, bo czuł to samo wobec misjonarstwa, którego się podjął.

Zawarliśmy więc umowę.

Po skończeniu szkoły średniej rozpocząłem naukę w małym college'u w Południowej Karolinie i obiecałem, że zostanę tam przynajmniej rok. Ale nie miałem zamiaru uczyć się tam ani jednego dnia dłużej – po pierwszym roku planowałem się zaciągnąć do armii i pójść na kurs BUD/S.

Pierwszy rok przeleciał w mgnieniu oka i musiałem przyznać ojcu rację – to była świetna zabawa. Doświadczenia życia poza wsią były naprawdę wspaniałe. Moja średnia nie była jakaś wybitna, ale nie żałuję czasu spędzonego w college'u. Poznałem też mnóstwo nowych osób. Ojcu obiecałem, że wytrzymam rok, ale doszedłem do wniosku, że warto skończyć szkołę.

Na uczelni nie było kursu przeznaczonego dla oficerów rezerwy marynarki, natomiast inne szkoły w okolicy nie miały podpisanej umowy partnerskiej z siłami zbrojnymi. Jedynym kursem, na który mogli uczęszczać uczniowie z innych szkół, był kurs oficerów rezerwy wojsk lądowych na Kalifornijskim Uniwersytecie Stanowym w Fullerton, na który postanowiłem się zapisać.

Kurs ROTC[13] to szkolenie przyszłych oficerów rezerwy prowadzone w ramach studiów – studenci biorą udział w zajęciach związanych z wojskiem, ćwiczeniach fizycznych oraz poddawani są musztrze. Raz w tygodniu kursanci przychodzą na nie w wojskowych mundurach.

W moim przypadku wyglądało to następująco – w ciągu dnia uczęszczałem na zwykłe studenckie zajęcia, natomiast potem dojeżdżałem na uniwersytet, aby wziąć udział w szkoleniu oficerskim. Moim celem nie było jednak zostać oficerem, a tym bardziej nie zależało mi na służbie w wojskach lądowych – chciałem tylko mieć do czynienia z wojskiem. Lubiłem też chodzić w wojskowym mundurze – napawało mnie to czymś w rodzaju poczucia dumy.

Po pierwszym roku instruktorzy kursu ROTC spytali, czy nie chciałbym się wybrać do szkoły wojsk powietrznodesantowych w Fort Benning w stanie Georgia. Wyróżniałem się spośród innych uczniów w trakcie pierwszego semestru zajęć, prowadzący kurs doszli więc do wniosku, że taka propozycja zachęci mnie do dalszego udziału w programie, dzięki czemu dostałbym stypendium i być może został przyszłym oficerem wojsk lądowych.

Oczywiście zgodziłem się na wyjazd do szkoły wojsk powietrznodesantowych, gdzie miałem wziąć udział w kursie spadochronowym. Do tego momentu zdążyłem już przeczytać wystarczająco dużo książek o SEALsach, aby wiedzieć, że ci, którzy zaliczą podstawowe szkolenie BUD/S, wysyłani są do Fortu Benning, gdzie zdobywają kwalifikacje skoczka spadochronowego. Był to też sposób na wyrwanie się ze szkoły na całe trzy tygodnie. Tuż przed wyjazdem poszedłem do fryzjera i obciąłem włosy, aby nie wyróżniać się spośród pozostałych kursantów.

Pierwszego ranka po przybyciu wstaliśmy bladym świtem i ustawiliśmy się w szyku przed naszym barakiem mieszkalnym. Słońce ledwie wychyliło się ponad czubki drzew, ale powietrze i tak było wilgotne i lepkie. Już po drugim ćwiczeniu moja szara armijna koszulka treningowa była całkiem przesiąknięta potem.

Wszyscy wyglądaliśmy identycznie – szare T-shirty, czarne spodenki, wygolone głowy. Poza grupą gości ubranych w brązowe koszulki – oni mieli nieco dłuższe włosy. Kiedy po zaprawie widziałem ich w mundurach z naszywkami U.S. Navy na lewej piersi, wiedziałem już, że to SEALsi.

Foki trzymały się razem przez całe szkolenie. Któregoś razu widziałem, jak instruktor zwrócił jednemu z SEALsów uwagę i rozkazał wykonać za karę dziesięć pompek. Kiedy gość zaczął pompować, jego koledzy

dołączyli do niego i razem odliczali pompki: „jeden, dwa, trzy…”. Nikt nie próbował się do nich zbliżyć – nawet ja, który tak bardzo chciałem dowiedzieć się czegoś więcej o BUD/S.

Szczerze mówiąc – chciałem b y ć jednym z nich.

W trakcie drugiego tygodnia kursu spadochronowego wreszcie nadarzyła się okazja, by porozmawiać z jednym z nich. W trakcie obiadu ostatnie wolne miejsce było naprzeciwko mnie. Z początku żaden z nas się nie odzywał, jedynie przywitaliśmy się skinieniem głowy. Byłem zbyt onieśmielony, aby wydusić z siebie choćby słowo, ale po paru kęsach SEALs odezwał się do mnie pierwszy:

– Ziomek, mogę cię o coś spytać? – powiedział. W odróżnieniu od nurka, którego poznałem w Waszyngtonie, ten był znacznie szczuplejszy i miał nieco krótsze włosy. Był lekko pochylony w moją stronę i biła od niego pewność siebie, daleka wszakże od arogancji.

– Jasne, nie ma sprawy.

Dla mnie było to niesamowicie ekscytujące – wreszcie mogłem porozmawiać z jednym z SEALsów. Z tyłu głowy ciągle mi kołatało, że to ja chcę się od nich czegoś dowiedzieć. Miałem mnóstwo pytań, zwłaszcza że gość był świeżo po BUD/S. Kiedy ja roztaczałem w wyobraźni wizję pogłębionego wywiadu, dla faceta z naprzeciwka byłem po prostu kolejnym kadetem przez trzy tygodnie bawiącym się w wojsko.

– Ty, o co chodzi z tymi fryzurami? Nie kumam tego, wy musicie mieć takie włosy? – zapytał.

Przestałem jeść.

Nie mogłem uwierzyć, że to pytanie było skierowane do mnie. Nie było w nim ani krzty złośliwości. Wydawało mi się, że on naprawdę jest tego ciekaw. Gdyby robił sobie ze mnie jaja, mógłbym się chociaż nieco wkurzyć.

– Nie mam pojęcia, chłopie. Naprawdę nie wiem.

Spróbowałem szybko zmienić temat na kurs BUD/S. Naprawdę nie chciało mi się gadać o czymś, o czym zupełnie nie miałem pojęcia. Poczułem się niezbyt komfortowo, można powiedzieć, że było mi nawet trochę wstyd.

Tuż przed końcem rozmowy postanowiłem skończyć z wojskami lądowymi. Wróciłem do Kalifornii, zdałem mundur oraz buty, których już nie pastowałem na wysoki połysk. Nawet włosy zaczęły mi odrastać.

Kiedy kończyłem wypełniać stosowne dokumenty, jeden z oficerów próbował mnie zatrzymać.

– Człowieku, naprawdę chcesz odejść? Potrzebujemy dobrych kadetów i nie chcielibyśmy cię stracić – powiedział.

– Nie dam rady – zdobyłem się na odpowiedź.

Instruktor zaczął mnie przekonywać.

– Jesteś świetnym kadetem, tylko najlepszych wysyłamy na kurs spadochronowy.

Doceniłem komplement, ale nie chciałem służyć w wojskach lądowych.

– Chcę być SEALsem. To moje marzenie od dzieciństwa.

Miałem świadomość, że sporo ryzykuję. Opuszczając szkolenie oficerów rezerwy, traciłem jednocześnie szansę na stypendium. Ale stawka była tego warta. Czasem myślę, że cel możesz osiągnąć tylko wtedy, kiedy na szali postawisz wszystko. Tak jak moi rodzice – aby osiągnąć swój wymarzony cel, przeprowadzili się na Alaskę, z dala od rodziny i bez żadnego wsparcia. To już nie był „jakiś tam pomysł”, który wydawał mi się fajny. Stał się teraz czymś więcej – sterem, który kierował moimi życiowymi decyzjami.

Jestem przekonany, że wielu kumpli z jednostki myślało podobnie. Wszyscy chcieliśmy być częścią czegoś większego. Niepotrzebnie zmieniłem wcześniej obrany kurs i przestałem skupiać się na tym, na czym naprawdę mi zależało.

Kiedy zaciągnąłem się do marynarki wojennej, musiałem podjąć decyzję o pierwszym szkoleniu, które określałoby moją wojskową specjalizację, w razie gdybym nie przeszedł kursu BUD/S i nie został SEALsem. Oficer w biurze werbunkowym widział mnie jako specjalistę od reaktorów atomowych, który pracowałby na pokładach okrętów podwodnych lub lotniskowców. Szkolenie miało trwać osiemnaście miesięcy. Wiedziałem, że w biurze werbunkowym dostają dodatkowe punkty za wysyłanie kandydatów na najtrudniejsze szkolenia specjalistyczne, ale ja nie chciałem czekać zbyt długo, żeby móc wystartować do BUD/S.

– Jakie jest najkrótsze szkolenie? – spytałem wprost.

Przewertował swoje papiery, aż dotarł do tabeli, w której zawarto szczegółowe informacje o wszystkich specjalizacjach. Przejechał palcem po wszystkich wierszach, zatrzymał się i spojrzał na mnie.

– Podoficer torpedowy. Siedem tygodni. – Na twarzy oficera widziałem smutek, że nie udało się mnie posłać na kurs obsługi reaktorów. Z bonusowych punktów nici.

Zamiast tego będę przez kilka miesięcy polerował torpedy, aż doczekam się szansy na udział w BUD/S. Nie myślałem, co będzie, jeśli nie uda mi się przejść szkolenia. Cztery lata jako podoficer torpedowy? Chybabym oszalał albo odpuścił sobie zabawę w marynarza. Ale nie miałem planu awaryjnego.

Postawiłem sobie poprzeczkę wyżej, niż większość osób uznałaby za możliwe do przeskoczenia dla dzieciaka z Alaski. Gdzieś w środku wiedziałem, że dam radę albo umrę, próbując. Nie chciałem jako stary dziad żałować tego, że się na to nie odważyłem.

Poczucie, że pracuję na to, aby osiągnąć życiowy cel i zostać SEALsem, pozwalało mi zachować wewnętrzny spokój. Sztukę poświęcania się przekazali mi rodzice – to dzięki nim wiedziałem, że warto jest żyć dla czegoś innego niż ja sam. Zboczyłem nieco z tej ścieżki, zapisując się na kurs oficerów rezerwy – ale na szczęście nadeszła ta przerwa obiadowa w trakcie szkolenia spadochronowego, która pozwoliła mi wrócić na właściwe tory. Kiedy spojrzałem w lustro, widziałem już kogoś, kto ma poczucie, że podąża właściwą drogą i jest wystarczająco zdeterminowany. Widziałem kogoś, kto ma cel. Teraz musiałem już tylko udowodnić, że dam radę. Zdałem sobie sprawę, że jeśli teraz nie spróbuję, to nic w moim dalszym życiu nie będzie takie jak należy.

– Siedem tygodni? Wchodzę w to.

ROZDZIAŁ DRUGI

Jak przepłynąć 50 metrów pod wodą i nie umrzeć

Pewność

Tafle lodu unosiły się na wodzie, którą widziałem z okna pokoju hotelowego. A ja właśnie kończyłem zapinać suchy skafander nurka.

Od rana, kiedy na brzegu zauważyliśmy leżące krwawe resztki lwa morskiego, gapiłem się przez okno. W ciele morskiego ssaka była potężna wyrwa, a lód wokół zalany był krwią. Była to sprawka orki, tak w każdym razie powiedzieli nam miejscowi. Pewnie nawet podziwiałbym ten widok, gdyby nie to, że za niecałą godzinę miałem się zanurzyć w tej samej wodzie i wraz z kumplami podłożyć ładunek wybuchowy pod kadłubem okrętu amerykańskiej marynarki wojennej.

Świadomość, że prawdopodobnie orka ma już pełny brzuch, była nikłą pociechą.

Byłem zupełnym nowicjuszem, który ledwie skończył kurs BUD/S dziewięć miesięcy temu, i właściwie cieszyłem się, że wróciłem na Alaskę na szkolenie. Scenariusz był w sumie prosty – mój pluton miał odgrywać OPFOR, czyli siły przeciwnika. Tych złych. Naszym zadaniem było przeprowadzenie symulowanego ataku na okręt desantowy zacumowany na wybrzeżu Ketchikan na Alasce. Mieliśmy się zakraść do niego na taką odległość, aby można było przymocować do niego urządzenia śledzące. Część załogi i niewielki oddział wojsk lądowych miały chronić okręt oraz jego okolicę – ich zadaniem było nie dopuścić do ataku.

Kiedy szykowaliśmy się do roboty, na nabrzeżu leżało około trzydziestu centymetrów śniegu, a temperatura wody była tylko nieco wyższa od temperatury jej zamarzania. Pod suchy kombinezon nurkowy wcisnąłem wszystkie ciepłe ciuchy, jakie miałem ze sobą, natomiast twarz pomalowałem czarną farbą maskującą.

Gdy jeden z chłopaków z ekipy zapukał do drzwi, wziąłem resztę gratów i wyszedłem na zewnątrz. Spotkaliśmy się na hotelowym parkingu, gdzie cała nasza czwórka odgrywająca przeciwnika, ubrana w suche skafandry i z twarzami pomalowanymi na czarno, wpakowała się na półciężarówkę. Wszyscy byliśmy nowi w plutonie.

Jakby mroczne i zimne wody oraz orki pożerające foki nie były wystarczająco złowieszcze, musieliśmy się na dodatek obawiać grasującego w głębi Flippera – delfina zabójcy.

Nie żartuję. Marynarka Wojenna Stanów Zjednoczonych dysponuje delfinami butlonosymi, przeszkolonymi do zwalczania płetwonurków przeciwnika – wraz z lwami morskimi stanowiły element programu badawczego dotyczącego ssaków morskich NMMP[14], które marynarka przygotowywała do ochrony portów i okrętów oraz do wykrywania min. Delfiny wykorzystywano podczas pierwszej wojny w Zatoce Perskiej oraz w działaniach w strefie przybrzeżnej Iraku. Zarówno Stany Zjednoczone, jak i Rosja przeznaczyły miliony na tego typu programy badawcze – rosyjski eksperyment został zakończony pod koniec lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku, a o delfinach krążyła plotka, że zostały sprzedane do Iranu.

Do polowania na nas wyznaczono trzy delfiny, które zostały przerzucone z bazy w San Diego na Alaskę w podgrzewanych zbiornikach. Na obu końcach okrętu umieszczono specjalne klatki, w których przebywały zwierzęta, natomiast trzeci pływał swobodnie w rejonie okrętu. Delfiny znajdujące się w klatkach były szkolone do wykrywania płetwonurków za pomocą ich naturalnego sonaru – jeśliby nas usłyszały, miały się wynurzyć na powierzchnię i zadzwonić dzwonkiem przymocowanym do klatki. Ich opiekunowie mieli wtedy zameldować, że ssak coś wykrył, i wezwać łodzie patrolowe przeszukujące wskazany obszar.

Kiedy trzeci delfin, ten swobodnie pływający, wykrywał nurka – atakował go, zmuszając do wypłynięcia na powierzchnię. Musieliśmy poradzić sobie w całkowitych ciemnościach z wielkim ssakiem, który płynąc z pełną prędkością, uderzał nas nosem aż do momentu wynurzenia. Nie ma się żadnej frajdy z pływania w lodowatej, ciemnej wodzie w środku nocy, a perspektywa solidnego rąbnięcia przez rozpędzonego delfina powoduje, że całe zadanie staje się dużo bardziej stresujące.

Kilka godzin przed akcją dwóch kolegów wybrało się w cywilnych ciuchach do jednego z okolicznych doków. Zabrali ze sobą dwie butle z tlenem, które mieli pozostawić otwarte w wodzie nieopodal okrętu – tak aby powoli uchodziło z nich powietrze i powstawały pęcherzyki. Połączone zbiorniki przywiązali liną do poręczy i wrzucili do wody. Była to swoista

podwodna zasłona dymna – bąbelki miały za zadanie osłaniać nasze podejście do okrętu, tworząc coś w rodzaju białego szumu.

Kiedy butle z tlenem były już w wodzie, wyjechaliśmy z hotelu i skierowaliśmy się do miejsca, gdzie rzeka wypływała z miasta i łączyła się z kanałem. Nieco rzucało nami na ciężarówce, kiedy jechaliśmy po wyboistych drogach Ketchikan. Nikt nic nie mówił – jedynym dźwiękiem, jaki dało się słyszeć, było stukanie zbiorników tlenowych o burty samochodu. Czułem zdenerwowanie – nie byłem świetnym nurkiem, a podwodna nawigacja w całkowitej ciemności nie jest prosta. Do tego dochodziła świadomość bycia ściganym przez delfina. Ale to nie on ani obecność orki przerażały mnie najbardziej. Moje największe obawy budziła podwodna droga do okrętu, jaką za chwilę mieliśmy pokonać.

Znaczna część miejscowości została zbudowana na drewnianych dokach, gdzie cumowano statki. Standardowe podejście do zadania polegało na wpłynięciu do głównego kanału, w którym stacjonowały delfiny. My zdecydowaliśmy się przeniknąć przez rozbudowaną sieć portowych pirsów – sądziliśmy, że jeśli podejdziemy od strony rzeki, potężne podpory, na których zbudowano port, zamaskują nasze ruchy. Oznaczało to jednak, że będziemy musieli przepłynąć przez skomplikowany labirynt pylonów i złomu, na dodatek w całkowitych ciemnościach. Nie mogliśmy używać latarek, ponieważ światło zostałoby zauważone przez patrole na powierzchni oraz przez delfiny pod wodą. Musieliśmy w absolutnej ciszy płynąć od słupa do słupa, dosłownie wymacując sobie drogę do celu.

Samochód zatrzymał się i usłyszeliśmy, jak kierowca – nasz kolega – rozmawia ze strażnikiem. Wszyscy wstrzymaliśmy oddech; czułem, jak moje serce przyspieszyło. Jeśli teraz ktoś zajrzy na tył ciężarówki, będzie to koniec naszej misji. Czekaliśmy zaledwie kilka sekund, najprawdopodobniej z powodu innych samochodów w kolejce, ale nam się wydawało, że trwa to całą wieczność. Wreszcie silnik zawarczał i ruszyliśmy w kierunku brzegu rzeki.

Poczułem, jak zwalniamy, a w końcu się zatrzymujemy. Kierowca wyłączył silnik i chwilę później otworzył tylne drzwi. Wraz z trzema pozostałymi nurkami wydostałem się z samochodu i brnąc przez śnieg, ruszyliśmy w kierunku rzeki.

Rozdzieliliśmy się na pary i powiązaliśmy linami, tak aby nikt się nie zgubił. Lina nie pozwalała się oddalić na więcej niż sto dwadzieścia centymetrów. Weszliśmy do wody. Wziąłem dwa głębokie wdechy, włożyłem automat oddechowy do ust i zanurzyłem się głębiej. Z maskami na twarzach i gotowym sprzętem pokazywaliśmy sobie kciuk uniesiony do góry i zaczęliśmy nurkować w niemal zamarzniętej rzece. Przeszedł mnie dreszcz, gdy strumień lodowatej wody oblał moją twarz i głowę. Kilka sekund później otaczała mnie już tylko ciemność.

Nienawidzę nurkowania, pomyślałem.

Byłem naprawdę zdenerwowany. To było jedno z moich pierwszych zadań i choć nadal miało charakter treningu, to jednak odbywało się w niekontrolowanym środowisku, a na dodatek z prawdziwymi zagrożeniami. No i nie czułem się w wodzie zbyt dobrze. Doskonale wiedziałem, że bycie morskim komandosem wiąże się z działaniami pod wodą, i to właśnie ich obawiałem się najbardziej. Wodna część kursu BUD/S była dla mnie bardzo trudna. Przed biegami na długich dystansach czy pompkami nigdy nie czułem strachu, za to przed testami pływackimi – spory. Nie byłem surferem. Ba, nie byłem nawet pływakiem! Na Alasce, jako dzieciak, nie miałem zbyt wielu okazji do tego, żeby popływać.

Pamiętam, jak któregoś dnia mój ojciec rzucił mi wyzwanie – miałem przepłynąć rzekę, nad którą stał nasz dom. Kiedy próbowałem powoli ją sforsować, prąd mocno mnie spychał – dotarłem na drugi brzeg, ale znalazłem się jakieś czterysta metrów niżej biegu rzeki od miejsca, w którym zacząłem płynąć. Był to najdłuższy dystans, jaki w życiu przepłynąłem przed rozpoczęciem treningów przygotowujących do kursu BUD/S. Kiedy potem miałem przepłynąć pięćdziesiąt metrów pod wodą podczas szkolenia, czułem takie samo zdenerwowanie jak w trakcie przygotowań do nurkowania w dokach na Alasce.

Pokonanie pięćdziesięciu metrów pod wodą jest jednym z pierwszych egzaminów w ramach szkolenia BUD/S, od których zależy, czy odpadniesz, czy przejdziesz dalej. Pamiętam ten ciepły, czerwcowy dzień, kiedy chmury odsłoniły piękne błękitne niebo. Basen znajdował się naprzeciwko bazy morskiej Coronado, gdzie odbywało się szkolenie BUD/S, po drugiej stronie tej samej zatoki, nad którą znajduje się San Diego.

Moja grupa przybiegła na basen z samego rana. Zdążyliśmy już spędzić na ćwiczeniach kilka godzin w zimnych falach i przebiec wiele kilometrów po piaszczystych plażach. Wiedzieliśmy, że zbliża się test, i wyczuwało się nerwową atmosferę. W piaskowego koloru spodenkach, bez koszulek i butów zostaliśmy ustawieni z jednej strony basenu, aby wysłuchać zasad bezpieczeństwa.

– Jeśli chcecie nadal brać udział w szkoleniu, musicie zaliczyć ten test. Najważniejsze jest, aby cały czas zachować spokój – powiedział instruktor, kiedy zebraliśmy się nad basenem.

To zadanie nie było na czas. Należało przepłynąć pięćdziesiąt metrów pod wodą, w basenie o głębokości 3,65 metra, na jednym wdechu. Ratownicy znajdowali się pod i nad wodą. W razie wypadku w pogotowiu czekały ambulans oraz zespół medyczny.

Na papierze test wydaje się prosty. Do momentu, w którym instruktorzy przedstawili zasady – żadnego skakania z krawędzi basenu, trzeba wskoczyć do wody pionowo i zrobić przewrót w przód. Nie ma żadnych szans, by nabrać rozpędu.

Pływanie pod wodą jest elementem pierwszej części szkolenia BUD/S, podobnie jak wycieńczający Piekielny Tydzień (*Hell Week*) trwający pięć i pół dnia. Wtedy każdy z kandydatów śpi maksymalnie cztery godziny, przebiega ponad trzysta kilometrów i poddawany jest wysiłkowi fizycznemu przez dwadzieścia godzin na dobę.

W trakcie podstawowego kursu BUD/S chodzi o takie wytrenowanie psychiki i ciała, abyś mógł wykonać więcej, niż do tej pory wydawało ci się możliwe. To pierwszy egzamin w całej karierze SEALsa. Motto Fok – „Jedyny łatwy dzień był wczoraj” – wkrótce miało stać się dla nas zrozumiałe.

Wtedy jeszcze nie zdawałem sobie z tego sprawy, ale BUD/S można porównać do budowania konstrukcji z klocków. W pierwszej fazie zaczynasz od pływania na dystansie pięćdziesięciu metrów i od Piekielnego Tygodnia, w drugiej fazie przechodzisz do nurkowania bojowego, a w trzeciej i ostatniej skupiasz się na treningu strzeleckim oraz szkoleniu z zakresu użycia materiałów wybuchowych. Krótko mówiąc, zaczynasz od dziecięcych kroczków, a kończysz na zabawkach, które mogą cię zabić,

jeśli nie opanujesz dobrze ich obsługi. Aby przejść dalej, należy zaliczyć wcześniejszy etap. Raz dasz ciała i wypadasz z gry.

Przyjeżdżając z Alaski, wiedziałem, że moją najsłabszą stroną będzie pływanie. Kolega z uniwerku nauczył mnie pływać żabką i stylem bocznym – więcej nie potrzebowałem. Przez jeden semestr trenowałem z uczelnianym klubem sportowym. Z wszystkich egzaminów szkolenia BUD/S to właśnie przed testem pływackim miałem największe obawy. Wóz albo przewóz. Nieważne, jak zmęczony, zdenerwowany czy przerażony będę – nie mogę tego spieprzyć. Muszę zaliczyć.

Po przedstawieniu zasad bezpieczeństwa ustawiono nas w rzędach, jeden przy drugim, w tych piaskowych gatkach. Przez ramię słyszałem pluski, gdy koledzy po kolei wskakiwali do wody. W noc przed testem wszyscy jak z rękawa sypali dobrymi radami. Rozmawialiśmy o tym, w jaki sposób zejść jak najgłębiej – nie chciałem płynąć pół metra pod wodą, bo pewnie kusiłoby mnie, aby wystawić głowę na powierzchnię. Wiedziałem, że muszę płynąć przynajmniej na głębokości dwóch metrów.

Teraz nikt już nic nie mówił – wszyscy czekali na wywołanie swojego nazwiska. Kilka minut przed tym, jak stanąłem na krawędzi basenu, wziąłem dwa głębokie oddechy, aby spowolnić myśli, uspokoić się i skupić.

– Będzie dobrze, wszyscy instruktorzy przez to przeszli. To możliwe. Uspokój się – mówiłem do siebie, idąc w stronę krawędzi.

Kiedy nadeszła moja kolej, zrobiłem krok do przodu i zniknąłem pod powierzchnią wody. Pchnąłem głowę w dół i kopnąłem nogami, aby nabrać nieco rozpędu i wykonać przewrót. Czułem, jak woda wciska mi się w nozdrza, zmuszając mnie do wydmuchnięcia resztki powietrza. Od początku nie było lekko.

Wypchnąłem ręce przed siebie i przeszedłem do płynięcia żabką, kierując się w stronę odległego krańca basenu. Wydawał się dłuższy niż dwadzieścia pięć metrów. Wiedziałem, że w tym teście chodzi o dystans, nie o czas. Nie spieszyłem się. Skoncentrowałem się na powolnych, rozważnych uderzeniach. Spiesz się powoli. Kiedy zatem niespiesznie zagłębiałem się pod powierzchnię, moje ruchy były widomym przykładem jego zastosowania.

Fizycznie czułem się dobrze, ale nie mogłem się pozbyć myśli o tym, jak cholernie daleko ode mnie jest drugi brzeg basenu. Przy dnie zauważyłem jednego z instruktorów, z automatem oddechowym w ustach i butlą nurkową na plecach. Uważnie nas obserwował i gdyby zauważył, że ktoś zaczyna tonąć, błyskawicznie mógł ruszyć na ratunek.

Równolegle nade mną płynął kolejny instruktor, w masce i z rurką. Wyglądał jak drapieżnik szykujący się do ataku na ofiarę.

Cały egzamin trwa od czterdziestu do sześćdziesięciu sekund, ale wydaje się znacznie dłuższy. Moje płuca zaczęły przypominać, że potrzebują powietrza, a mózg błagał mnie, żebym się wynurzył. Kiedy dotarłem do ściany, obróciłem się i z całej siły odepchnąłem od niej nogami. Nabrałem prędkości i poczułem się lepiej, gdy widziałem, że wracam do miejsca, w którym zacząłem.

W płucach czułem palenie, którego nie mogłem już dłużej ignorować. Wiedziałem, że zaraz stracę przytomność. Pojawiły się pierwsze oznaki zbliżającego się omdlenia, trochę przypominające odruch wymiotny. Czułem, jak głowa zaczyna mi opadać, a ciało chce zmusić mnie do zaczerpnięcia powietrza. Zaczęła mnie ogarniać panika, ale starałem się zepchnąć te uczucia gdzieś w głąb umysłu. Z całej siły próbowałem się skupić na miarowych ruchach moich ramion, a ściana przede mną rosła coraz szybciej i szybciej.

Płyń, po prostu płyń! – motywowałem sam siebie.

Ale wciąż chciałem złapać oddech – i nie zależało to od mojej głowy. Całe ciało domagało się tlenu. Płuca płonęły żywym ogniem, tak jakby chciały wyrwać się z klatki piersiowej. W umysł wdarła się panika, słabła też ostrość widzenia. Nie jest czymś naturalnym blokować organizmowi dostęp do powietrza. On chce przetrwać, a tlen jest mu do tego niezbędny.

Próbowałem odzyskać kontrolę nad głową. Skoncentrowałem się na przybliżającej się, choć wciąż odległej ścianie basenu. Poświęcę wszystko, byle tylko zostać pod wodą. Nie poddam się. To pierwszy prawdziwy egzamin. Jeśli nie dam rady teraz, w czystym i podgrzewanym basenie w słonecznym San Diego, to co będzie w trakcie sztormu na północnym Atlantyku?

Opadanie głowy udało się wreszcie opanować i z każdym uderzeniem zbliżałem się do końca. Czułem jednak, że powoli tracę świadomość. Postrzeganie zaczęło stawać się coraz bardziej rozmyte na brzegach, a z każdym ruchem robiło mi się coraz ciemniej przed oczami. Niczym mgła, ciemna smuga zaczęła przesłaniać mi pole widzenia. Czułem, że za kilka sekund stracę przytomność.

Musiałem być blisko ścianki. Sięgnąłem dłonią, aby jej dotknąć, i wtedy poczułem, jak silne ręce chwytają mnie pod ramionami – instruktorzy wyciągnęli mnie z wody jak wielką rybę. Upadłem na podłogę i wziąłem głęboki oddech. Poczułem, jak moje płuca napełniają się powietrzem, a ciało momentalnie się rozluźnia. Wziąłem jeszcze kilka wdechów i spróbowałem się podnieść.

– Siedź! – usłyszałem, jak jeden z instruktorów na mnie warknął.

Położyłem głowę na rozgrzanej posadzce. W trakcie kursu BUD/S rzadko kiedy prowadzący pozwalają na odpoczynek, postanowiłem więc maksymalnie wykorzystać tę chwilę. Po kolei, jeden za drugim, moi koledzy kończyli egzamin. Widziałem też, jak instruktorzy wyciągają bezwładne ciało jednego z nich i kładą na podłodze. Był całkowicie nieprzytomny. Kilka oddechów ratowniczych, wykrztuszenie wody i powoli zaczął wracać do świata żywych. W tej samej chwili, w której wróciła mu świadomość, od razu spojrzał w kierunku najbliższego instruktora.

– Zaliczyłem?

To, że jeszcze kilka sekund temu był całkiem nieprzytomny, nie miało dla niego znaczenia. Doskonale go rozumiałem, bo tak samo jak on nie chciałem oblać. Porażka byłaby chyba gorsza niż śmierć.

– Leż! Odpoczywaj – powiedział instruktor.

Leżąc na plecach, rozkoszowałem się słońcem. Przez tych kilka sekund czułem się jak w raju. Instruktorzy jednak w końcu zauważyli, że ze mną już wszystko w porządku.

– Wstawaj, do kurwy nędzy, i zasuwaj do linii. Zdałeś! – To były wspaniałe słowa.

Nikt z tych, którzy przeszli kurs BUD/S, nigdy nie pomyślał, że mógłby zawalić. Szkolenie zmusza, by dać z siebie wszystko – czasem trzeba wykrzesać ostatnie siły. Wiedziałem, że dam radę. Ludzie często mylą naszą

pewność siebie z arogancją. Ale po przepłynięciu pięćdziesięciu metrów, przetrwaniu Piekielnego Tygodnia i szkolenia nurkowego, na którym instruktorzy robią wszystko, aby cię utopić, znamy swoje ograniczenia i wiemy, jak przełamywać te bariery. W trakcie BUD/S pokonałem dziesiątki przeszkód, które do tamtej pory wydawały mi się nie do przejścia. Teraz jestem pewien, że pokonałbym je raz jeszcze.

Ale nurkując w niemal zamarzniętej rzece na Alasce, wiedziałem, że muszę jeszcze popracować nad pewnością siebie. Nie byłem przekonany, że poradzę sobie z tym zadaniem, chociaż przywiązany liną do kolegi i kierując się w stronę końca portowego molo, nie miałem zbytniego wyboru.

Po kilku minutach straciłem czucie w twarzy. Pozwoliliśmy, aby prąd wypchnął nas w kierunku wybrzeża. W najszerszym miejscu rzeczka Ketchikan Creek ma jakieś sześć metrów szerokości i półtora metra głębokości, więc właściwie unosiliśmy się na jej powierzchni, do momentu, w którym minęliśmy pierwszy most. Wykorzystywaliśmy aparaty oddechowe marki Dräger o obiegu zamkniętym – w urządzeniach tego typu unika się demaskujących nurka bąbelków powietrza.

Kiedy przepływaliśmy pod mostem, słyszałem śnieg ugniatany przez koła przejeżdżających samochodów. Wiedziałem, że gdzieś tam nad nami krążą patrole, które nas szukają. Światła reflektorów okrętowych przeczesywały powierzchnię czarnej wody.

Pod mostem woda stawała się coraz głębsza, aż wreszcie znaleźliśmy się pod jej powierzchnią. Znalezienie czegokolwiek w cieczy o kolorze atramentu nie jest łatwe. Popłynęliśmy w kierunku prawego brzegu i zaczęliśmy szukać otworów w pylonach pod molo.

Gdy mój partner przepływał blisko mnie, mogłem poczuć szarpnięcie liny przywiązanej do pasa. Znalazłem wreszcie krawędź pierwszego słupa, ustaliłem kierunek, w którym powinienem się ruszyć, i zanurzyłem się w ciemność. Trzymając rękę wyciągniętą przed siebie, starałem się wymacać drogę obok pylonu – czułem, jak dłonią zagłębiam się w algi porastające drewno.

W każdej chwili spodziewałem się, że zostanę szturchnięty delfinim nosem i będę zmuszony do wypłynięcia. Bardziej się przez ten niezwykły

labirynt drewnianych pali porośniętych glonami skradaliśmy, niż płynęliśmy.

Dno pokryte było gruzem i śmieciami – kilkakrotnie poczułem, jak moje płetwy zawadzają o coś metalowego albo inny podwodny syf. Kiedy zbliżaliśmy się do słupów, musieliśmy uważać na wystające z nich gwoździe, bo mogły zrobić dziurę w skafandrze, a to oznaczałoby nie tylko zimną wodę atakującą ciało. To śmiertelne zagrożenie dla płetwonurków, ponieważ woda wypełniająca skafander uniemożliwia wynurzenie się. Ryzyko utonięcia było więc całkiem realne.

Dzięki napiętej linie czułem, że mój kolega jest blisko. Było tak ciemno, że niczego nie widziałem – nawet własnej ręki, którą trzymałem tuż przed oczami. Poza ciemnościami musieliśmy sobie radzić z zimnem. I z delfinami. Dodatkowo należało się jeszcze martwić o to, żeby nie zgubić się pod miastem zbudowanym na drewnianych słupach. Klaustrofobia gwarantowana.

Świecące na zielono wskazania kompasu umieszczonego na nadgarstku były ledwie widoczne. Próbowałem utrzymać właściwy kierunek, ale co chwilę trafiałem na kolejną podporę pirsu, którą trzeba było obejść. Dotarcie do okrętu zajęło nam godzinę – poczułem niezwykłą ulgę, kiedy wreszcie dało się dostrzec jego kadłub. Można się mocno zdziwić, kiedy w całkowitych ciemnościach płynie się do przodu i nagle trafia wysuniętą ręką na kadłub potężnego okrętu wojennego. Człowiek czuje się wtedy bardzo malutki.

Radość z odnalezienia celu była krótka – przecież to zaledwie połowa roboty. Teraz trzeba było jeszcze zamocować urządzenia i niezauważenie wrócić do ciężarówki.

Poniżej linii wodnej okręt był ogromny – czekając na swojego partnera, który miał wyciągnąć tyczkę teleskopową zamocowaną na moich plecach, przejechałem dłonią po szorstkiej stali kadłuba. Tyczka wyglądała identycznie jak te stosowane do zmian cen paliwa na stacjach benzynowych. Na głowicy znajdowały się magnesy oraz rolki. Z torby zamocowanej przy pasie wyciągnąłem dwie atrapy ładunku wybuchowego i umieściłem je na głowicy. Dłonią sprawdziłem, czy rolki bez problemów się obracają, i pacnąłem kolegę w ramię. Przystawił rolki do kadłuba i powoli wypuścił atrapy ku górze, aż przetoczyły się na właściwe miejsce.

„Bomby” przyczepiały się do poszycia za pomocą magnesów – kiedy wysuwały się nad linię wodną okrętu, dochodziło do zamocowania ładunku. Tym razem magnesy znalazły się zbyt blisko burty, musiałem więc nieco poruszać tyczką, aby odczepić ładunek, a w momencie ich przyczepienia poczułem głuche uderzenie o stal. Bałem się, że ten odgłos mógł zdradzić naszą pozycję.

Zamknąłem oczy i próbowałem skoncentrować się na zadaniu – wszystko robiłem na wyczucie. Nic nie widziałem, a umysł zaczął płatać mi figle – wciąż wydawało mi się, że w nieprzeniknionej czerni coś się porusza. Za każdym razem czułem, jak serce mi przyspiesza, i spodziewałem się, że zaraz walnie we mnie delfin albo orka.

Centymetr po centymetrze przesuwaliśmy ładunek po kadłubie okrętu, aż w końcu udało się umieścić go na wysokości jednego metra powyżej linii wodnej. Gdy obie atrapy ładunków wybuchowych były już na właściwym miejscu, kolega pomógł mi złożyć tyczkę i zamocował ją z powrotem na moich plecach.

Zaczęliśmy długi powrót do miejsca, gdzie czekał na nas transport. Ulgę poczułem dopiero w momencie, kiedy przepłynęliśmy pod mostem – teraz przejeżdżało po nim znacznie mniej pojazdów, a patrząc na lampę drogową, zauważyłem, że znowu zaczęło sypać śniegiem. Po dwóch godzinach spędzonych na robocie w zupełnych ciemnościach byłem wyczerpany fizycznie i psychicznie, wiedziałem jednak, że odpocznę dopiero w górze rzeki, tam gdzie czekała na nas ciężarówka.

Nogi mi zadrżały, kiedy stanąłem wreszcie na brzegu. Ktoś zarzucił na mnie koc i pomógł zabrać graty do samochodu. Ledwie mogłem mówić, ponieważ moja twarz była zupełnie odrętwiała. Chwilę później znów siedziałem w całkowitych ciemnościach, ale już pędziliśmy do hotelu. Nie czułem twarzy, ale jestem pewien, że jechałem uśmiechnięty.

Byliśmy świeżo upieczonymi nurkami, którzy ledwie co skończyli szkolenie BUD/S i właśnie wykonali swoje pierwsze zadanie. Był to trening, ale nurkowanie pod molo wcale nie było proste – braliśmy już udział w innych zadaniach tego typu, ale po raz pierwszy nasz dowódca nam zaufał i pozwolił zaplanować oraz przeprowadzić operację samodzielnie. Udało się zakończyć ją sukcesem, czym potwierdziliśmy, że zasłużyliśmy na jego zaufanie.

– Czy ktoś widział delfina? – spytał jeden z członków ekipy.

– Nie, a tak w ogóle to gówno widzieliśmy – powiedziałem.

– Za każdym razem, gdy czułem jakiś ruch w wodzie, spinałem się i czekałem, aż mnie pierdolnie – odpowiedział.

Później się okazało, że delfin, który krążył w rejonie okrętu, dostrzegł ławicę ryb i popłynął za nimi. Natomiast ssaki w klatkach, przywykłe do ciepłych wód w zatoce San Diego, trzymały się blisko powierzchni i co dziesięć minut dzwoniły dzwonkiem alarmowym, aby dostać rybę. Ani delfinom, ani Fokom nie chciało się siedzieć zbyt długo w tych lodowatych wodach. Ciągły dźwięk wydobywający się z pozostawionych przez nas zbiorników skutecznie osłonił nas przed delfinami, natomiast nikt z załogi nie dostrzegł ani nie usłyszał momentu mocowania atrap ładunków na burcie okrętu. Misja została wykonana.

Przez cały czas w trakcie akcji czułem, że jestem zdenerwowany. Użyłem jednak tej samej metody koncentrowania się na zadaniu jak podczas przepływania pięćdziesięciu metrów pod wodą. Moje poczucie pewności siebie wzrastało, choć nie było jeszcze pełne. Kiedy kilka lat później po raz pierwszy znalazłem się w boju, nie mogłem sobie pozwolić na skupianie się na negatywach – ciemnościach, zimnej wodzie czy delfinach. Gdy zaczyna się walka, nie można mieć wątpliwości ani myśleć o porażce lub poddaniu się. Moja świadomość swoich słabych i mocnych stron rosła z każdym doświadczeniem zdobytym na treningu i w walce. Uporczywe trzymanie się wytyczonego celu, cecha, którą w zasadzie zawdzięczałem rodzicom, pozwoliło mi zacząć działać w kierunku stania się SEALsem, a kiedy pewność siebie zaczęła rosnąć, wiedziałem, że staję się coraz skuteczniejszym operatorem sił specjalnych i cennym członkiem zespołu.

Oczywiście sporo nauki wciąż było przede mną.

ROZDZIAŁ TRZECI

Twój mały świat

Strach

Moje ciało dosłownie przylepiło się do gładkiej powierzchni skały.

Nie mogłem się ruszyć w żadnym kierunku, niezależnie od tego, jak bardzo bym chciał. Czułem, jak od ciężaru własnego ciała zaczynają mi drżeć ręce. Pot spływał po twarzy, a mokre dłonie nie ułatwiały sprawy. Spojrzałem w prawo i gdzieś w oddali mignął mi połyskujący Strip[15] w Las Vegas. Zamknąłem oczy i potrząsnąłem głową w nadziei, że gdy znowu je otworzę, będę w dużo ciekawszym miejscu niż teraz.

Wciąż jednak byłem wczepiony łapami i czubkami palców stóp w czterdziestopięciometrową skałę. Byłem oczywiście podpięty do liny asekuracyjnej, ale nie miałem ochoty sprawdzać jej wytrzymałości – można to było zrobić tylko w jeden sposób: spadając. A spadania bałem się najbardziej.

Już cztery lata służyłem w oddziałach SEALs, ale wciąż nie udało mi się przełamać lęku wysokości. Skała wyglądała jak tafla brązowego szkła, bez żadnego punktu zaczepienia. Umysł i ciało toczyły ze sobą wojnę – chciałem iść naprzód, ale ręce i nogi za żadne skarby nie zamierzały mnie słuchać. Mogłem tylko wisieć i przeklinać siebie, że nie potrafiłem się całkowicie skupić na robocie.

Zdążyłem już odbyć szkolenie w rejonie Pacyfiku, a teraz mój pluton szykował się do kolejnej zmiany – tym razem mieliśmy lecieć do Iraku i dla mnie była to pierwsza szansa na znalezienie się w boju. Jednym z ostatnich punktów cyklu szkoleniowego była właśnie wizyta w Red Rock Canyon nieopodal Las Vegas. Wcześniej byłem już na szkoleniu wspinaczkowym, gdzie opanowałem podstawy, ale tym razem kurs obejmował zaawansowane kwestie, takie jak budowa stanowisk i wyciągów linowych.

Nigdy nie byłem fanem przebywania na wysokości, ale rzecz jasna nie pomyślałem o możliwości upadku ani o swoim lęku, gdy zgłosiłem się na tę wycieczkę. Myślałem jedynie o wizycie w Vegas i szansie na relaks przed wylotem do Iraku.

Wieczorem w dniu przyjazdu ruszyliśmy na Strip i korzystaliśmy z wszystkich uciech, jakie oferowało Vegas. Po kilku godzinach

przeznaczonych na sen – czy raczej po krótkiej drzemce – ruszyliśmy w kierunku skał. Wynajęliśmy cywilnych instruktorów, którzy z zazdrością patrzyli na nasz nowiutki sprzęt wspinaczkowy najlepszych marek, wyciągany z bagażników wynajętych samochodów. Miałem najlepszy szpej, jaki dało się kupić, a dowództwo zapłaciło za najlepszych szkoleniowców. Ale brakowało mi umiejętności. Nie mogłem się mierzyć z zawodowcami.

Grupa pięciu instruktorów zebrała się na parkingu, na który przyjechaliśmy. Wszyscy mieli podarte gacie, koszulki i sandały – wspinacze nigdy nie mają kasy, zwłaszcza dobrzy, ponieważ wspinaczka jest dla nich wszystkim. Ci goście nie mają żadnego innego hobby, podobnie jak spadochroniarze skaczący z dużych wysokości – wszystkie swoje pieniądze inwestują w sprzęt i w to, co najbardziej kochają robić. Podeszli do nas, żeby się przedstawić, pomóc ze szpejem i powitać nas w kanionie. Ich łapy były szorstkie i pełne nagniotków od godzin spędzonych na skałach.

Pierwsze dwa dni nie były ciężkie – traktowaliśmy je raczej jako odświeżenie umiejętności i nie wspinaliśmy się na żadne bardzo wysokie ani zbyt trudne skały. Musieliśmy mieć pewność, że wszyscy pamiętają zasady bezpieczeństwa i podstawy działań linowych, które poznaliśmy wcześniej, przed wyruszeniem na bardziej wyczerpujące trasy.

Podzieliliśmy się na dwuosobowe zespoły, z których każdy miał swojego instruktora. Moim partnerem był Jeff, który był jednym z nowych członków plutonu i też nie przepadał za tym sportem. Oczywiście nie mogłem dać po sobie poznać, że się boję, a Jeff również próbował ukryć przede mną swoje zdenerwowanie. Jeśli ktoś z twojej ekipy zobaczy, że czegoś się boisz, docinkom i darciu łacha nie będzie końca.

Instruktor z kozią bródką poprowadził nas na jedną z tras wspinaczkowych. Był niski i krępy, miał długą brodę i spaloną słońcem skórę, a jego potargane brązowe włosy przykrywała czapeczka The North Face. Nie znam nikogo o tak silnym uścisku dłoni. Gość był eksskazańcem, do więzienia trafił za napaść – pobił gościa, który bzykał jego żonę. A przynajmniej tak nam powiedział w trakcie jednej z przerw.

Zdecydowałem, że będę wspinał się jako pierwszy, a Jeff będzie mnie asekurował z dołu. Zanim podszedłem do skały, starałem się opanować

emocje i powtarzałem wszystkie czynności, które miałem wykonać. Oczywiście nie miało to żadnego sensu i bardziej przypominało bełkot pijanego, ale mnie to pomagało. Chociaż Jeffa pewnie zdążyłem już wkurzyć.

– O tak, szczęśliwy friend[16] numer cztery! Szczęśliwa niebieska czwórka – powiedziałem, trzymając frienda w dłoni.

Każdy z przyrządów miał inny kolor oznaczający rozmiar. Wspinając się, zakładałem własne punkty asekuracyjne – musiałem robić wszystko dobrze, bo teraz wyłącznie ode mnie zależało to, czy spadnę. O tym jednak starałem się nie myśleć – lina powinna się zacisnąć w punkcie asekuracji, a takie punkty uczono nas rozstawiać w szczelinach skalnych w odległości do trzech metrów. Jeśli odpadłbym od skały trzy metry od miejsca wpięcia, poleciałbym łącznie sześć metrów w dół, zanim wyłapałaby mnie lina. Nie chcę myśleć, co by się stało, gdyby friend był źle założony – poleciałbym aż do następnego.

Zdecydowałem się rozstawiać punkty asekuracyjne co półtora metra, aby poczuć się trochę bezpieczniej.

– Taaa, półtora metra załatwi sprawę – powtarzałem sobie, kiedy mocowałem kolejny punkt w szczelinie.

Bez problemów doszedłem do pierwszej półki i zacząłem asekurować Jeffa, który zaczął się wspinać. Teraz on prowadził drogę w skale, a ja go ubezpieczałem. Kiedy obaj mieliśmy już okazję sprawdzenia się w wyznaczaniu trasy, instruktor zdecydował się zabrać nas na większą skałę. Wydawało się, że jej cień rozciąga się na wiele kilometrów. Próbowałem nie patrzeć w górę – skalna ściana zasłaniała nawet słońce.

– Ty pierwszy – powiedział do mnie instruktor.

Nie miałem zbyt wiele do powiedzenia. W ogóle nie mogłem mówić – tak bardzo byłem spięty. Ściana była znacznie większa i dużo gładsza niż te, na które mieliśmy okazję wspinać się wcześniej. Miejsc, gdzie można było postawić stopy lub chwycić się dłońmi, było bardzo mało, trasa wymagała więc sporej rozwagi.

Na początku szło mi całkiem nieźle – łatwo znajdowałem chwyty. Wchodząc wyżej, rozstawiałem punkty asekuracji w szczelinach i w zagłębieniach skalnych. Właściwie poszło mi tak dobrze, że nawet nie

zauważyłem, że wykorzystałem niemal cały służący do tego celu sprzęt. Kiedy założyłem ostatniego frienda w dużej szczelinie – utknąłem. Na amen. Nie mogłem iść wyżej. I szczerze mówiąc, wcale nie chciałem.

Po raz pierwszy od rozpoczęcia wspinaczki oderwałem wzrok od skały przed sobą i rozejrzałem się dookoła. Było cholernie wysoko. Widziałem Strip w Las Vegas i pustynię ciągnącą się aż po horyzont. Zerknąłem w dół i zobaczyłem Jeffa – był malutki, wyglądał trochę jak ogrodowy krasnal.

Traciłem powoli kontrolę nad swoimi lękami, tak samo jak powoli traciłem chwyt na skale. Spojrzałem w górę na krystalicznie czyste błękitne niebo i pomyślałem, że chciałbym być teraz gdzieś indziej. Byłem cały w nerwach i czułem, że przestaję skupiać się na tym, gdzie powinny być moje dłonie i stopy. Traciłem cel z oczu. Kiedy SEALsi strzelają, tuż przed ściągnięciem spustu koncentrują się na muszce pistoletu – jeśli jest w celu, pocisk na pewno trafi. Jeśli nie jest – spudłują. Proste.

Teraz jednak mogłem myśleć tylko o zimnej skale, o tym, jak wysoko jestem i o instruktorze wspinającym się w moją stronę bez liny. Słyszałem, jak Jeff krzyczy do mnie z dołu.

– Chcesz, żebym przyszedł teraz do ciebie i uratował ci tyłek?! – zawołał cwaniackim tonem.

Próbowałem znaleźć jakiś nowy chwyt dla ręki, ale moje palce były już zesztywniałe.

Zaraz się ześlizgnę i odpadnę, pomyślałem.

Usłyszałem, jak po lewej stronie coś szoruje po skale – tak się skupiłem na swoim położeniu, że zapomniałem o instruktorze. Dostrzegłem, jak zasuwa po ścianie niczym Spiderman i czeka, aż zainstaluję kolejnego frienda. Mocno się zdziwiłem, gdy zobaczyłem, że sam nie korzysta z liny.

Wreszcie przewodnik dotarł do mnie – do jego uprzęży doczepionych było około sześciu przyrządów. Ten brodaty wariat zszedł niżej i pozbierał wszystkie, teraz już niepotrzebne friendy, które rozstawiłem podczas wspinaczki. Przyszedł z powrotem i dał mi je, abym mógł iść dalej. Wszystko zrobił na żywca, bez żadnej liny i asekuracji, bez chwili wahania. Bynajmniej nie poczułem się dzięki temu lepiej.

Kiedy gość tak sobie dyndał obok mnie, z jego ust zwisał papieros. Z jedną ręką wczepioną w skałę instruktor zaciągnął się, wyjął fajkę z ust

i wypuścił chmurę niebieskiego dymu. A tymczasem ja dalej walczyłem ze sobą.

– Hej, gościu, skup się na swoim małym świecie.

Wisiałem na wysokiej na kilkadziesiąt metrów skale i nie bardzo rozumiałem, o co mu chodzi. Okoliczności nie sprzyjały myśleniu.

– Brachu, o czym ty, do cholery, mówisz?

– Skup się na swoim małym świecie. Skup się wyłącznie na tym, na co masz jakikolwiek wpływ. Rozglądasz się tylko, a nie ma tu niczego, co ci pomoże, zgadza się? – powiedział.

Potwierdziłem skinieniem głowy.

– Właśnie kalkulujesz, z jakiej wysokości spadniesz. Patrzysz na Jeffa, ale on tu nie przyjdzie i ci nie pomoże. Patrzysz na Strip i co? Myślisz, że wygrasz tam drogę na górę? Nie patrz na mnie, ja też ci nie pomogę. To zależy tylko od ciebie. To ty się wspinasz, nie ja. Skup się na swoim małym świecie.

„Skup się na swoim małym świecie” – nigdy nie zapomnę tych słów. Nie było innej drogi. Miałem teraz zapas nowych friendów i zacząłem znowu kombinować, jak zaklinować kolejny w szczelinie. Przepiąłem linę przez karabińczyk i zacząłem wspinać się dalej. Nie zatrzymywałem wzroku na niczym, co było dalej niż na wyciągnięcie ręki lub nogi. Piękny krajobraz czy widok Vegas zupełnie mnie nie obchodziły. Mogę natomiast szczegółowo opowiedzieć o każdym najmniejszym pęknięciu w skale. Byłem tak skoncentrowany na wspinaczce, że aż się zdziwiłem, gdy moja ręka sięgnęła krawędzi ściany. Dotarłem na szczyt.

Wyjazd na skały skończył się dla mnie zupełnie nowym spojrzeniem na wszystkie sprawy. Kontrola mojego małego świata stała się dla mnie mantrą – uwalnia od myślenia o rzeczach, na które nie mam żadnego wpływu, i według mnie sprawdza się w każdej sytuacji. Pomagała mi przetrwać wszystko – wspinaczkę, skoki spadochronowe z dużej wysokości czy nocne nurkowania, kiedy jedynym sposobem na to, by nie postradać zmysłów, jest skoncentrowanie się na świecącej wskazówce kompasu zamocowanego na nadgarstku.

Oczywiście kolejnym koniecznym elementem wyszkolenia SEALsów, przy którym lęk wysokości może być sporym problemem, są skoki

spadochronowe. Owszem, byłem na kursie spadochronowym, zanim jeszcze wstąpiłem do marynarki, ale żaden ze skoków nie był dla mnie łatwy i dopiero po latach pokochałem skakanie.

Pamiętam zwłaszcza jeden skok spadochronowy, zaraz po zakończeniu Selekcji – mój zespół miał wykonać w Arizonie skok treningowy z dużej wysokości ze swobodnym opadaniem. Byłem świeżym mięsem, czyli tym nowym w ekipie, musiałem więc skakać z całym sprzętem, którego starsi służbą koledzy nie chcieli ze sobą zabierać: składaną drabiną szturmową, młotami wyważeniowymi czy dodatkową amunicją.

Wnętrze transportowego samolotu C-130 Hercules spowite było czerwonym światłem. Kiedy wchodziłem na jego pokład, nie mogłem się wyprostować. W kabinie startującej maszyny było bardzo gorąco, a mieliśmy wznieść się na pułap ponad sześciu tysięcy metrów nad pustynią Arizony. Czułem suchość w ustach i gardle. Nowy zasobnik, plecak, z którym skakałem, był znacznie większy od tego, którego używałem wcześniej – wypełniony amunicją i dodatkowym sprzętem, spoczywał teraz na moich stopach. Taśmy trzydziestokilogramowego wyposażenia wrzynały mi się w ciało.

Próbowałem rozłożyć masę plecaka, aby przenieść nieco środek ciężkości, ale, niestety, nie udało mi się. Moje ciało cierpiało, kiedy na pokład musiałem wtargać plecak, butlę tlenową oraz spadochrony. Kręciłem szyją, próbując nieco uwolnić ją od ucisku ciężkiego hełmu z zamocowanymi goglami noktowizyjnymi. Nie czułem się z tym dobrze i zamiast skoncentrować się na robocie, zająłem się narzekaniem, jakie to wszystko jest do dupy. Chciałem jedynie jak najszybciej wyskoczyć, bo przybliżyłoby mnie to do momentu, gdy będę się mógł pozbyć całego tego majdanu.

Zazwyczaj mamy ze sobą tyle sprzętu, że odbiera nam on wszelką przyjemność z tego, co akurat robimy. Cywilne skoki spadochronowe z małym sportowym spadochronem to czysta zabawa. Skoki wojskowe to przynajmniej trzydzieści kilo sprzętu na ciele plus czterdzieści parę kilogramów masy spadochronu, aparatu tlenowego i maski, a do tego jeszcze trzydzieści kilo ekstra w postaci plecaka „dla nowego”. W sumie jakieś dziewięćdziesiąt kilogramów obciążenia – czyli drugi ja.

Cała moja uwaga skupiona była na niewygodzie, a powinna być skierowana na postawione przede mną zadanie – na właściwe opuszczenie samolotu i sam skok. Nocny desant miał zostać przeprowadzony na nierozpoznaną strefę zrzutu, czyli na miejsce, w którym jeszcze nas nie było. Przed wylotem zapoznałem się z mapą – lądowisko znajdowało się w rejonie przecięcia dwóch dróg u podnóża góry, ale zobaczę je dopiero przez gogle noktowizyjne, gdy będę wisiał pod rozpiętą czaszą spadochronu. Teraz musiałem tylko poprawnie wyskoczyć z samolotu, odczekać parę sekund, otworzyć spadochron, ustawić się w szyku za prowadzącym i – jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem – wylądować wraz z pozostałymi. Gdybym nie był w stanie odnaleźć prowadzącego szyk, współrzędne lądowiska miałem wbite w odbiornik GPS umieszczony na nadgarstku, ale zazwyczaj było to rozwiązanie awaryjne, z którego rzadko korzystaliśmy.

Zadaniem skoczka prowadzącego było skierowanie całej ekipy we właściwym kierunku. Łatwo powiedzieć, trudniej zrobić, zwłaszcza gdy jest to nocny skok na wodę, w którym bierze udział dwudziestu ludzi, i do tego zrzucane są pontony. Czasza spadochronu to nie sztywne skrzydło szybowca lub samolotu – jeśli dwie czasze splączą się ze sobą albo dojdzie do tak zwanej gruchy, czyli zawiązania czaszy, skok może skończyć się śmiercią.

Przesunąłem wzrokiem po kolegach, którzy w czerwonym świetle lamp wyglądali jak cienie. Większość siedziała w zupełnej ciszy, od czasu do czasu poprawiając sprzęt. Nie można było dostrzec ich twarzy ani wypisanych na nich emocji, ale chyba nikt nie czuł się tak jak ja. Nikt nie był tak zdenerwowany.

Majstrowałem przy butli tlenowej i po raz trzeci przekładałem karabin. Byłem tak zajęty ogarnianiem swoich gratów, że ocknąłem się dopiero wtedy, gdy uderzył we mnie podmuch powietrza od strony otwierającej się rampy. Jumpmaster[17] dał sygnał „RAMPA”, a potem „POWSTAŃ”. Objuczeni sprzętem członkowie zespołu, niczym gromada starców, powoli się podnieśli i poczłapali w stronę rampy.

Pęd wiatru był ogłuszający. Zebraliśmy się tuż przy krawędzi i czekaliśmy na zielone światło – sygnał do skoku. Przez chwilę czułem się, jakbym brał udział w jednym z filmów, które oglądałem jako nastolatek.

Widziałem swoich kumpli stojących przede mną i wydawało się to tak nierealne, że aż trudne do uwierzenia. Ostro pracowałem, żeby znaleźć się właśnie tutaj.

Czy naprawdę mi się to udało?

Kiedy samolot osiągał pułap przelotowy, gwiazdy skakały w górę i w dół. Na tej wysokości czarne nocne niebo było tak gęsto usiane gwiazdami, że trudno było je od siebie odróżnić. Pod nami przetaczały się chmury, gdzieniegdzie tylko przetykane czarnymi plamami pustyni. Było tak ciemno, że nie mogłem odróżnić świateł budynków od gwiazd świecących na niebie. Spojrzałem na zielone cyferki na wysokościomierzu.

– Minuta! – krzyknął jumpmaster, a mój mózg zaczął się „zastanawiać”. Czułem, że zaraz zacznę sobie zadawać pytania, takie jak: „Czy dam radę?” i „Co będzie, gdy…?”.

No i się zaczęło.

– Co będzie, jak spieprzę wyjście?

– Co będzie, jeśli się okaże, że źle złożyłem spadochron i nie otworzy się tak, jak powinien?

– Co będzie, jeśli zgubię prowadzącego i zgubię się w mroku nocy?

Wtedy zapaliło się zielone światło. START!

– Zielone światło. Skok!

Ekipa ruszyła do przodu i momentalnie zniknęła z rampy. Tak jak przy pokonywaniu pięćdziesięciu metrów pod wodą – musiałem wyzbyć się wątpliwości i skupić na zadaniu. Kiedy moje buty stanęły na krawędzi rampy desantowej, myśli wciąż galopowały. Nie byłem skoncentrowany na tym, na czym powinienem.

Poprawiłem stopy na rampie, tak żeby czubki palców wystawały tuż nad jej krawędź, i skoczyłem. W moim wyjściu nie było ani krzty luzu czy gracji. Byłem sztywny i pozycja mojego ciała od samego początku była zła. Głowa powinna być skierowana ku górze, a ręce i nogi wyciągnięte, dzięki czemu mógłbym kontrolować swoje położenie, ale gdy tylko trafiłem w strumień powietrza za samolotem, wpadłem w korkociąg. To ostatnia rzecz, jakiej mógłbyś sobie życzyć, żeby ci się przydarzyła po opuszczeniu samolotu, zwłaszcza kiedy masz na sobie dodatkowe obciążenie.

Gwiazdy nagle stały się tylko smugami światła przelatującymi przed oczami. Usiłowałem się opanować. W piersi czułem już pierwsze oznaki rosnącej paniki. Haustami łapałem powietrze i próbowałem w jakiś sposób powstrzymać wirowanie. Sytuacja była zła, a ja nie mogłem zebrać myśli. To tylko pogarszało sprawę.

Zamiast martwić się o właściwą pozycję ciała, o odzyskanie kontroli i ustabilizowanie lotu, tak żeby brzuch znajdował się od strony ziemi, myślałem tylko o tym, jak się uratować.

Jest źle, tak nie powinno być – jedynie to przelatywało mi przez głowę.

Strach połączony z instynktem kazały mi sięgnąć do uchwytu wypinającego główny spadochron i szarpnąć. Było jeszcze zbyt wcześnie, aby otworzyć główny spadochron, a ja wciąż znajdowałem się w niekontrolowanym korkociągu. Wykonanie tego manewru było w tej sytuacji najgorszym możliwym wyborem, ale teraz nie było już odwrotu. Poczułem, jak spadochron się otwiera i czasza wychodzi z zasobnika. Czekałem ułamek sekundy, żeby poczuć szarpnięcie napełniającej się czaszy, i nagle zdałem sobie sprawę, że w ogóle się nie skupiam na tym, co robię. Wiedziałem, że zawaliłem wszystko po kolei. Spieprzyłem wyjście z samolotu. Moje ciało było zbyt sztywne i to spowodowało, że wpadłem w wir. Nie przestałem się obracać przed otwarciem spadochronu. Spanikowałem – po prostu przestałem myśleć i działać metodycznie, a zamiast tego popełniłem kolejny błąd i nie przyjąłem właściwej pozycji przed pociągnięciem za chwyt. Uświadomiłem sobie to wszystko w jednej chwili.

Poczułem szarpnięcie spadochronu i wreszcie zacząłem obracać się nieco wolniej. Ale kiedy chciałem spojrzeć do góry i sprawdzić czaszę, okazało się, że nie mogę podnieść głowy. Blokowały ją linki łączące uprząż z czaszą – czułem, jak zaczynają uciskać moją szyję. Próbowałem machać głową w przód i w tył z nadzieją, że uda mi się zaraz uwolnić, ale to tylko zwiększyło nacisk na tył szyi.

To był zły znak. Bardzo zły znak.

Słyszałem wyłącznie swój oddech w masce tlenowej i łopoczącą czaszę spadochronu. Zerknąłem na wysokościomierz. Powoli zaczęły mi się przypominać podstawowe zasady obowiązujące przy skokach spadochronowych z wysokim otwarciem.

Zawsze pamiętaj o wysokości.

Znajdowałem się na pułapie 5486 metrów, miałem więc jeszcze trochę czasu, aby zrobić coś ze spadochronem. Ale było go zbyt mało, aby dogonić pozostałych. W tym momencie reszta zespołu znajdowała się nade mną i jeśli moi koledzy prawidłowo wykonali skok, to właśnie kierowali się w stronę celu.

Kiedy powoli zacząłem wchodzić w zakręt, usłyszałem trzaski spadochronu. Na początku skręcałem powoli, ale przy drugim obrocie zacząłem nabierać prędkości. Kiedyś widziałem filmiki z gośćmi, których spadochrony skręcały się niczym papierosy i na łeb na szyję leciały ku ziemi. Moja czasza wciąż zapewniała nieco nośności, ponieważ nie spadałem jak kamień. Nie miałem jednak żadnej kontroli nad spadochronem i zaczynałem się kręcić coraz szybciej i szybciej. Przestraszyłem się, że jeśli zacznę kręcić się zbyt szybko, to wkrótce stracę przytomność.

Musiałem działać.

Wreszcie mój umysł przypomniał sobie procedury awaryjne i skupił się na moim małym świecie. Do tej chwili bardziej zainteresowany byłem własną wygodą i tym, jak starsi koledzy będą szydzić ze spieprzonego wyjścia z samolotu. W moim małym świecie nie było miejsca na takie rozważania. Martwienie się bzdurami nie pomoże mi poradzić sobie z awarią spadochronu.

Ogarnęło mnie nieco dziwaczne uczucie zupełnego spokoju. Panika i poczucie dyskomfortu nagle zniknęły. Teraz musiałem ustalić, co się dzieje ze spadochronem.

Kiedy się obróciłem, wygiąłem szyję i ledwie dostrzegłem czaszę. Jedna strona była dobrze napełniona, ale druga prezentowała się jak złamane skrzydło jakiegoś ptaka. To ja spowodowałem awarię, kiedy uruchomiłem spadochron, wciąż będąc w korkociągu. Pilocik – niewielki spadochron, który odpowiada za wyciągnięcie czaszy głównego spadochronu – zaplątał się w jedną z linek sterujących po jednej stronie czaszy i tym samym blokował pełne otwarcie.

Dla głównego spadochronu nie było już ratunku – dla mnie jedyną szansą było jego wypięcie i otwarcie zapasowego. Nabierałem prędkości, a ciągłe

wirowanie powodowało zawroty głowy. Nie mogłem dostrzec linii horyzontu.

Otwierania spadochronu zapasowego uczyliśmy się tyle razy, aż przerodziło się w pamięć mięśniową. Wziąłem głęboki oddech, spojrzałem w dół w poszukiwaniu uchwytu i wypiąłem czaszę głównego spadochronu. Poczułem, jak się odrywa, i przez ułamek sekundy znów opadałem lotem swobodnym. Chwilę po tym, jak czasza odleciała, połączona z nią statyczna linka otworzyła spadochron zapasowy. Poczułem otwarcie i szarpnięcie, które niemalże zatrzymało mnie w locie.

Błyskawicznie spojrzałem w górę, żeby zobaczyć, czy wszystko jest w porządku. Następnego spadochronu już nie miałem. Czasza nade mną napełniła się prawidłowo – słyszałem, jak delikatnie łopocze na wietrze. Pociągnąłem za linki sterujące, żeby sprawdzić, czy wszystko działa jak należy. Zanim włączyłem radio, aby połączyć się z prowadzącym desant, przez chwilę pozwoliłem sobie na rozkoszowanie się ciszą. Taką wyjątkową, jakiej można doświadczyć wyłącznie w trakcie nocnego lotu ze spadochronem.

Usłyszałem prowadzącego. Spojrzałem na GPS i wysokościomierz – byłem gotowy. Reszta zespołu już kierowała się na lądowisko.

– Tu Dwunasty, miałem awarię. Jestem na pięciu tysiącach i mam dziesięć kilometrów do celu. Nie widzę cię – powiedziałem przez radio.

– Zrozumiałem, Dwunasty. Jesteśmy na sześciu tysiącach metrów. Do celu osiem kilometrów. Kurs 145 stopni.

Pociągnąłem za linki i wszedłem w lekki łuk, aby ustawić się we właściwym kierunku. Zmniejszyłem prędkość opadania i trzymałem się kursu. Nieco później mogłem dostrzec już spadochrony kolegów – zbliżając się do strefy, udało mi się ustawić w szyku. Zdołałem wylądować wraz z innymi.

Zwinąłem spadochron i zebrałem cały swój sprzęt. Wszyscy dookoła byli uśmiechnięci i ogólnie zadowoleni ze skoku – tylko ja chodziłem wkurzony, bo popełniłem błędy godne żółtodzioba. Pozwoliłem, żeby strach przejął nade mną kontrolę – straciłem panowanie nad sytuacją, co mogło kosztować mnie życie.

Kiedy padł sygnał do ruszenia na patrol, zająłem swoje miejsce w szyku i pomaszerowaliśmy w kierunku busa. Po zapakowaniu gratów zająłem miejsce gdzieś z tyłu i krok po kroku odtwarzałem skok w pamięci. Byłem nowy i nie mogłem sobie pozwolić na tak idiotyczne błędy. Co gorsza, nie popełniłem jednego błędu, a całą ich serię – mój skok od początku był spartolony. W momencie kiedy wyskakiwałem z pokładu C-130, byłem zajęty poprawianiem sprzętu, zamiast skupić się na zadaniu. Czy podczas walki postąpię podobnie? Dobrze wiedziałem, że rana postrzałowa będzie dużo mniej przyjemna niż źle leżący plecak. Byłem zbyt zajęty ogarnianiem tego całego szajsu, który w rzeczywistości nie miał wpływu na to, jak poradzę sobie w nocy, zamiast skupić się na istotnych sprawach, które mogłem kontrolować. Mogłem przez to zginąć.

Musiałem dobrze poznać sprzęt. Od tego dnia koncentrowałem się na tym, żeby wszystko, co ze sobą zabieram, pasowało do siebie i było maksymalnie wygodne – tak wygodne, jak tylko może być sto kilo gratów przywiązanych do ciała. Ta moja mała obsesja nie dotyczyła wyłącznie skoków – wszystko musiało dobrze leżeć i być wygodne. Na dopasowywanie ubrań i sprzętu poświęcałem sporo czasu, a jeśli coś do siebie nie pasowało, robiłem wszystko, aby to zmienić. I nie chodziło tu wyłącznie o sprzęt, który dostawałem z przydziału, ale też o ten, który później pomagałem projektować.

Poczucie dyskomfortu na pokładzie samolotu było wszakże tylko jednym z problemów. Zaraz po wyjściu, które samo w sobie było już do niczego, zacząłem panikować, a panika niemal zawsze prowadzi do śmiertelnych wypadków. Kiedy zająłem się wyłącznie swoim małym światem, wszystko wróciło na właściwy tor. Zamiast zastanawiać się nad sposobami rozwiązania problemu, skupiłem się na rzeczach, na które miałem wpływ.

Bus zawiózł nas na lotnisko, gdzie wypakowaliśmy się i poszliśmy na odprawę. Wszyscy biorący udział w skoku usiedli przy stole w sali odpraw. Prowadzący omówił poszczególne elementy wykonanej operacji, a potem każdy ze skoczków dodawał coś od siebie. Wreszcie przyszła kolej na mnie.

– Spieprzyłem wyjście. Potem miałem awarię głównego spadochronu i musiałem przejść na zapas – powiedziałem.

Po odprawie jeden z dowódców sekcji podszedł do mnie i wziął mnie na stronę.

– Co spowodowało awarię? – spytał dowódca.

– Źle wyszedłem – odpowiedziałem.

– To wiem. Dlaczego? Co spowodowało twoje złe wyjście?

– Nie miałem właściwej pozycji ciała. Wpadłem w korkociąg, zdenerwowałem się i otworzyłem główny spadochron. Nie miałem stabilnej pozycji, kiedy go wyciągałem, więc wydaje mi się, że to było przyczyną awarii.

Przez kilka minut siedzieliśmy razem i krok po kroku omawialiśmy mój skok. Teraz wiem, że dowódca chciał być pewien, że wyciągam wnioski z błędów, które popełniam.

– Powtórz sobie wszystko od założenia sprzętu na siebie, przez procedury na pokładzie samolotu, pozycję ciała przy wyjściu, po procedury awaryjne. A przede wszystkim przypomnij sobie wszystko, co robisz po otwarciu czaszy.

Dowódca sekcji podkreślał konieczność powtarzania sobie wszystkich elementów skoku spadochronowego, zanim jeszcze do niego dojdzie. Teraz robię tak przed każdym skokiem.

Ludzie często myślą, że SEALsi niczego się nie boją. To nieprawda. Nie ma ludzi, którzy niczego się nie boją – moją piętą achillesową jest lęk wysokości. Może powinienem był o tym pomyśleć, zanim wybrałem się do Vegas na koszt marynarki? Może trzeba było wykorzystać ten lęk do opanowania umiejętności skoczka spadochronowego do perfekcji? Wydaje mi się, że potrzebowałem porządnej nauczki, a gdy już ją dostałem, raczej o niej nie zapomnę.

Zamiast skupiać się na lęku i strachu, nauczyłem się koncentrować na sprawach, nad którymi mam kontrolę. Kontrola nad sprzętem. Kontrola nad treningami. Kontrola nad umysłem i podejmowanymi decyzjami.

Teraz, kiedy słyszę szum silników C-130, czuję podniecenie. Teraz to ja sypię dowcipami i nie mogę się doczekać widoków, jakie oferuje swobodny lot ze spadochronem.

Przyzwyczajenie się do skoków zajęło mi sporo czasu. Aby tego dokonać, wielokrotnie musiałem stawać twarzą w twarz ze swoimi lękami. Od początku swojej wojskowej kariery zgłaszałem się na każdy możliwy skok spadochronowy – nie lubiłem tego, ale wiedziałem, że nie ma

lepszego sposobu, by pokonać własne ograniczenia, i dlatego wykorzystywałem każdą nadarzającą się okazję. Motto Navy SEALs brzmi: „Jedyny łatwy dzień był wczoraj” – i muszę stwierdzić, że w trakcie służby za każdym razem się sprawdzało. Zawsze wymagałem od siebie więcej i nigdy nie siadałem na ławce, żeby odpocząć. Nie omijałem żadnej szansy i robiłem wszystko, aby stać się jeszcze lepszy. Każdy nowy dzień był trudniejszy od poprzedniego.

Powoli nauczyłem się przełamywać strach przed skakaniem. Do dziś nie lubię wysokości, ale skoki spadochronowe z wysokim otwarciem nie budzą już we mnie lęku.

Gdy wracaliśmy do hotelu po skoku z niekontrolowanym korkociągiem poczułem się lepiej i wiedziałem, że następnym razem ze wszystkim sobie poradzę. Wciąż wracałem myślami do sytuacji sprzed kilku lat, kiedy wisiałem na skale i otrzymałem prostą radę od człowieka kozy, zanim znalazłem się w boju i poznałem prawdziwy strach: „Hej, gościu, skup się na swoim małym świecie”.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Z workiem na głowie

Stres

Otaczały mnie całkowite ciemności.

Czułem na sobie spojrzenia wielu par oczu. Pot spływał mi po czole, tak że materiał worka szczelnie przyległ do twarzy. Słyszałem, jak ludzie wokół przechodzą i coś mówią, ale nie byłem w stanie ich zrozumieć. Wszystkie zmysły – poza wzrokiem – były maksymalnie wyostrzone. Próbowałem ustalić, co się dzieje, kiedy nagle ktoś zdarł worek z mojej głowy.

Byłem już na dwóch zmianach bojowych, w tym raz w Iraku, zanim zostałem dopuszczony do udziału w procesie Selekcji do jednostki. Kiedy przyszła moja kolej na wejście do pomieszczenia, wpakowałem do karabinka magazynek załadowany treningową amunicją barwiącą Simmunition opracowaną przez General Dynamics i wkroczyłem na środek pokoju. Z niewykończonego sufitu zwisała lampa, a nad pomieszczeniem znajdował się balkon, który pozwalał instruktorom na stałą obserwację uczestników. Betonowa podłoga była zupełnie pusta, ale z jednej strony pomieszczenia wyklejono na niej kwadrat z taśmy klejącej. Stanąłem w jego środku, a instruktorzy wsadzili mi wór na głowę. W trakcie całego ćwiczenia nie mogłem przekroczyć linii wyznaczonych taśmami.

Worek przyczepiony był do liny, a ta z kolei została przeprowadzona przez bloczki. Kiedy instruktorzy pociągali za linę, wór się unosił, a ja musiałem zareagować na zdarzenie, które rozgrywało się przede mną. Mając zakrytą głowę, nie wiedziałem, czy będę miał przed sobą sytuację zakładniczą, nieuzbrojony agresywny tłum, czy może będę musiał poradzić sobie z kilkoma osobnikami, którzy w ułamku sekundy przestaną być mili. Mógł mi się też trafić scenariusz, którego nie byłem w stanie przewidzieć.

W odróżnieniu od kursu BUD/S, który skupiał się raczej na sprawdzeniu siły woli kandydata, proces selekcyjny weryfikował umiejętności, opanowanie i zdolność podejmowania właściwych decyzji w bardzo stresogennych warunkach. Musiałem dokonać błyskawicznej oceny sytuacji, nadać właściwy priorytet poszczególnym zagrożeniom i zareagować we właściwy sposób – wszystko pod czujnym okiem

instruktorów obserwujących każdy mój krok. Najmniejszy błąd mógł skończyć się wylotem z kursu i biletem powrotnym do SEAL Team 5.

Kiedy worek zjechał mi na ramiona, wziąłem dwa głębokie wdechy i zamknąłem oczy. Rozprostowałem palce i złapałem chwyt karabinka, układając palec wskazujący na kabłąku spustu. Próbowałem się uspokoić – wiedziałem, że jeśli za bardzo się zepnę i nie będę trzeźwo myślał, popełnię błąd. Nie zastanawiałem się, co by było gdyby. Zaufałem sobie, że będę dokładnie wiedział, co zrobić. Otwarte pozostawało jedynie pytanie, czy będę w stanie podjąć decyzje ważące o życiu lub śmierci wystarczająco szybko i we właściwej kolejności. Selekcja zmuszała do wyjścia poza mój mały świat.

Strach i stres to dwie zupełnie różne sprawy.

Kontrolowanie małego świata jest kluczowym sposobem na pokonanie strachu, ale stres jest znacznie trudniejszy do opanowania, ponieważ powodują go rzeczy, które nie są pod twoją kontrolą. Instruktorzy robili wszystko, aby maksymalnie podnieść jego poziom, tak abyśmy przestali sobie z nim radzić.

Kiedy mijały kolejne sekundy, pod kapturem coraz trudniej było mi się skupić na zadaniu. Wydawało mi się, że instruktorzy celowo drażnią się ze mną i specjalnie wydłużają czas oczekiwania. Może chcieli sprawdzić, jak długo jestem w stanie czekać w pełnej gotowości? A może po prostu stali nade mną i robili sobie ze mnie jaja? Poruszyłem ramionami i przeniosłem ciężar ciała z jednej stopy na drugą, żeby na chwilę zająć się czymś innym niż myślenie.

Wiedziałem, że nie potrwa to dłużej niż kilka sekund, może minutę, ale każda chwila spędzona z kapturem na oczach w moim odczuciu trwała wieki.

Nagle, bez ostrzeżenia, kaptur zniknął.

Światło uderzyło mnie po oczach niczym flesz. Błyskawicznie zacząłem skanować pomieszczenie, trzymając karabin w pełnej gotowości. Niecałe trzy metry przede mną stała całkiem niezła blondynka – uważnie patrzyła na mnie brązowymi oczyma. Miała na sobie dżinsy i podkoszulek. Uśmiechnęła się do mnie w taki sposób, jakby wiedziała coś, czego ja nie wiem.

Nie zauważyłem broni w jej rękach, więc skierowałem wzrok gdzie indziej. Tuż za jej ramieniem dostrzegłem gościa w czapce baseballowej, T-shircie i spodniach z kieszeniami. Był w prawym rogu, w głębi pomieszczenia, i trzymał czarny pistolet przy głowie jakiegoś faceta. Głowa zakładnika była opuszczona i nie widziałem jego twarzy.

Nie zastanawiałem się, byłem już złożony do strzału, a moje oczy patrzyły przez celownik. Nic nie powiedział, kiedy naprowadziłem czerwony punkt celownika EOTech na jego głowę.

– Ej, gościu! Dupku! – usłyszałem tuż za plecami.

O kurwa, przemknęło mi przez głowę. Ja pierdolę. Już przestaję tracić panowanie – a nawet nie spojrzałem za siebie. W ogóle nie rozejrzałem się po pokoju, byłem zbyt zajęty zagrożeniami, które miałem przed sobą.

Przełączyłem bezpiecznik i oddałem dwa szybkie strzały. Pociski z farbą eksplodowały na klatce piersiowej napastnika. Wiedziałem, że muszę uważać na zakładnika – on nie mógł ucierpieć. Nawet jeśli za mną byli teraz uzbrojeni ludzie, dla mnie najważniejsza była sytuacja zakładnicza. Terrorysta wypuścił z rąk pistolet i padł obok zakładnika, w dość nieudolny sposób próbując grać martwego.

Pomimo że wróg został zlikwidowany, czułem, że nawaliłem. Nie sprawdziłem całego pomieszczenia. Za bardzo się spieszyłem. Już na początku służby miałem problem z robieniem czegokolwiek powoli, bo uczyli nas wykonywać wszystko z maksymalną prędkością.

Podczas mojej pierwszej tury z SEAL Team 5 w Iraku przy okazji każdej akcji ładowaliśmy się przez drzwi i wbiegaliśmy po schodach, drąc ryje. Ba, kiedy przylecieliśmy do Iraku, okazało się, że nikt z mojego plutonu nie ma doświadczenia bojowego, dla większości z nas była to pierwsza prawdziwa robota za granicą. Trzeba przyznać, że uczyliśmy się wszystkiego na żywym organizmie.

Nasza baza znajdowała się za dawnym pałacem Saddama Husajna, tuż obok usypanego wzgórza na obrzeżach międzynarodowego lotniska w Bagdadzie. Z dachu pałacu mogłem oglądać całe lotnisko i niezliczone rzędy wojskowych samolotów transportowych – wielkich, szarych C-130 i C-17. W powietrzu słychać było monotonny szum pracujących silników i hałasujące wirniki śmigłowców. Bagdad International Airport był

potężnym centrum przeładunkowym sił koalicyjnych – ciężarówki i samochody Humvee unosiły tumany kurzu na drogach prowadzących do miasteczek namiotowych, w których mieszkali żołnierze. Cywilni kontraktorzy zasuwali dookoła w swoich terenówkach, a mnóstwo nowych przyczep pojawiało się niemal codziennie – ktoś w nich spał albo pracował.

Siły specjalne zajęły teren głównego pałacu – potężne drewniane drzwi broniły dostępu do wyłożonego marmurami holu. Schody prowadziły na piętro, gdzie znajdowały się liczne pokoje. Z tyłu zbudowano stołówkę, a centrum operacyjne umieszczono w jednej z sal na parterze. Kiedy spacerowałem po piętrach pałacu, w marmurach i na poręczach dostrzegałem kunszt, z jakim zostały wykonane. Większość cenniejszych przedmiotów została jednak zrabowana przez złodziei, zanim tu dotarliśmy. Świadczyły o tym potężne dziury w ścianach, które były wszędzie. W trakcie inwazji krążyła plotka, że w pałacach Saddama nawet rury były ze złota, więc rabusie na terenie całego Iraku wykuwali dziury w ścianach, próbując je znaleźć.

Na zewnątrz znajdowały się wielkie zielone anteny i talerz satelitarny. Obok basenu, oddzielającego pałac od budynków mieszkalnych, huczały generatory. Zajęliśmy pokoje dla służby nieopodal basenu – nasze kwatery, podobnie jak pałac, miały marmurowe podłogi, ale bez ornamentów. Były nieco skromniejsze niż pałacowe, ale nie powstrzymało to złodziei od wykuwania dziur w ścianach.

Okolice basenu stały się centrum całego obozu – zarówno SEALs, jak i Zielone Berety wypoczywali nad wodą w przerwach pomiędzy zadaniami. Była dopiero wczesna wiosna i potworne upały dopiero miały nadejść, popołudniem temperatura sięgała jednak niemal trzydziestu stopni Celsjusza w cieniu. Misje wykonywaliśmy głównie w nocy, więc w ciągu dnia nie mieliśmy nic ciekawszego do roboty niż jedzenie, spanie, pakowanie na siłowni albo przesiadywanie na basenie do czasu kolejnego zadania.

W ciągu kilku tygodni od przyjazdu staliśmy się bagdadzkimi szeryfami – wraz z CIA przeprowadzaliśmy rajdy na miejsca, gdzie przebywali podejrzani. Agencja próbowała wyłapać przywódców partyzanckich, głównie byłych członków partii Baas[18]. Kiedy CIA dostawała cynk, jeszcze tej samej nocy wpadaliśmy pod wskazany adres.

Gdzieś w połowie naszej zmiany zlecono nam pojmanie byłego oficera wywiadu irackich sił powietrznych. Spotkaliśmy się na odprawie w centrum operacyjnym, gdzie nasz łącznik z CIA, ubrany w ciemne polo, piaskowe spodnie i piaskowe buty, wprowadził nas w szczegóły operacji. Cel – iracki oficer – odpowiadał teraz za organizowanie ataków na amerykańskich żołnierzy. Informator CIA dał cynk, a ostatecznie informacja trafiła do nas. Iracki oficer był chudy, wysoki i nie miał wąsów – co w Iraku było bardzo rzadkie.

Informator miał poprowadzić konwój i pokazać właściwy dom. Jadąc zaraz za nim, planowaliśmy staranować bramę i wbić się na wskazaną chatę. W naszej robocie nie było zbyt dużo finezji, a raczej sporo wrzasków i huku.

Na ostatniej odprawie spotkaliśmy się około godziny jedenastej wieczorem, natomiast z bazy wyjechaliśmy tuż po północy. Agent CIA i informator jechali sporo przed nami starym sedanem na lewych blachach. My przemieszczaliśmy się trzema humvee uzbrojonymi w karabiny maszynowe. Kiedyś z jednym kumplem dospawaliśmy podesty do boków samochodów i uchwyty na dachu, żeby ekipa mogła jechać niemal na zewnątrz i szybciej ruszać do akcji – trochę jak policjanci z zespołu SWAT w Los Angeles.

Siedziałem w pojeździe na czele kolumny. Ulice były zupełnie opustoszałe. Droga była wąska, a nad naszymi głowami przebiegała plątanina kabli elektrycznych. Anteny radiostacji zaczepiały się o kable i niczym bicze waliły w karoserię samochodów, co w połączeniu z rykiem silników kompletnie nas ogłuszało. Dało się słyszeć tylko strzępki meldunków radiowych.

– OK, jesteśmy na miejscu. Światło chemiczne po lewej – usłyszałem głos oficera dowodzącego operacją.

Silnik humvee zawył, rozpędziliśmy się i stanęliśmy dopiero przed frontem zabudowań. Kiedy się zatrzymywaliśmy, byłem już właściwie poza samochodem. Główną bramę już uchylono, przebiegłem więc niewielkie podwórko, kierując się do drzwi wejściowych. Nawet nie próbowałem sprawdzać, czy są otwarte. Kolega zawiesił ładunek wybuchowy na klamce i obaj ustawiliśmy się po jednej stronie drzwi.

– Odpalam! – wydarł się. Ułamki sekund później odpalił ładunek, który wyrwał drzwi z zawiasów i wepchnął je w głąb pomieszczenia. Nie czekałem, aż dym opadnie – dosłownie w dwie sekundy po wybuchu byłem już w środku, z bronią gotową do strzału.

Za plecami usłyszałem wbijających się do budynku kolegów – byliśmy jak rekiny szukające ofiary. Czułem, jak organizm pompuje adrenalinę do żył, a wtedy trudno się skupić. Pomimo wieczornej pory wiosenny upał wciąż dawał się we znaki – wyczuwałem strugi potu ściekające do rękawiczek.

Dom był całkiem ładny. Podłogę oraz schody wykonano z gładkiego marmuru. W pokojach na parterze rozpostarte były dywany w orientalne wzory. W powietrzu unosił się zapach smażonego oleju. Po obu stronach korytarza znajdowały się dwa pokoje. Kuchnia była ulokowana tuż obok schodów prowadzących na piętro.

Słyszałem, jak ekipa z tyłu po kolei sprawdza wszystkie pomieszczenia na parterze. Sam zmierzałem w kierunku schodów.

– Na ziemię, kurwa! – krzyknął kolega.

– Mamy go! Ręce, ręce! – krzyczał kolejny.

Oficer irackiego lotnictwa został znaleziony w salonie na parterze. Nie stawiał oporu i szybko został skuty – zdążyłem tylko zobaczyć, jak chłopaki zabierają go do czekających na podwórzu pojazdów. Słyszałem głosy kobiety i co najmniej jednego dziecka, dochodzące z salonu. Reszta zespołu rozproszyła się po budynku.

Szef plutonu stał na środku korytarza i wydawał polecenia poszczególnym zespołom, kierując je do kolejnych pomieszczeń.

– Lewa!

– Prawa!

– Naprzód!

Wraz z kolegą podeszliśmy do schodów i zaczęliśmy ubezpieczać ten kierunek. Kiedy tylko się do nich zbliżyłem, korytarz niemal zagotował się od pocisków z kałasznikowa wystrzelonych w naszą stronę. Rozrywały marmurową posadzkę, wysyłając w powietrze jej fragmenty. Słyszałem krzyki kumpli szukających osłony, kiedy naboje zaczęły trafiać w ścianę pół metra ode mnie.

Błyskawicznie cofnąłem się i schowałem – czułem, jak spadają na mnie fragmenty marmuru. Terkot kałasznikowa odbijał się echem po całym parterze. Gęsty dym i smród prochu wisiały w powietrzu – nie dało się nic usłyszeć, nawet własnych myśli. Ktoś z góry po prostu pruł na oślep. Strzelec wystawił lufę w naszym kierunku i nacisnął spust. Żaden pocisk nie okazał się celny, ale to nie miało wielkiego znaczenia – gość był pięć metrów od nas!

Wychyliłem się i zacząłem strzelać z karabinka M-4 w kierunku schodów, próbując zmusić strzelca do przerwania ognia i schowania się.

W tym momencie co najmniej trzech z nas prowadziło ogień, gdy szef plutonu wyszedł z ukrycia i zaczął nas zbierać przed szturmem ku górze. Obrońca miał przewagę – nie wiedzieliśmy, gdzie się schował, nie wiedzieliśmy też, czy jest sam, czy może ktoś mu pomaga. Potrzebowaliśmy wsparcia z powietrza, w postaci myśliwca albo powietrznej kanonierki AC-130. Ale nie tu. Nie w centrum Bagdadu! Ryzyko przypadkowych strat wśród ludności cywilnej było zbyt duże. Pozostało nam przypuścić szturm na piętro i samodzielnie rozwiązać sytuację.

Przez gęsty dym było widać coraz mniej i mniej. Szef wydał rozkaz użycia granatów hukowo-błyskowych. Zasadniczo nie są niebezpieczne dla życia – powodują cholernie głośny wybuch, który oszałamia przeciwnika na kilka sekund. Liczyliśmy, że rzucenie granatów da nam chwilę przewagi i pozwoli zaatakować schody.

Mieliśmy z pół tuzina granatów hukowych – wyglądały trochę jak małe stalowe rurki z dziurkami. Wyciągnęliśmy zawleczki i rzuciliśmy je na piętro. Seria wybuchów brzmiała jak nadchodzący koniec świata. Dzwoniło mi w uszach i nie byłem w stanie usłyszeć kolegi stojącego obok mnie.

Spojrzeliśmy na siebie i kiedy hałas zaczął opadać, wiedzieliśmy, że nadszedł czas, by ruszyć na górę. Wziąłem dwa głębokie wdechy, próbując się uspokoić i skoncentrować na tym, co muszę teraz zrobić.

Eksplozje granatów wybiły wszystkie szyby na piętrze, marmurowa podłoga i schody były całkowicie zasypane odłamkami szkła. Gęsty, kwaśny, biały dym zawisł w korytarzu. Wspinając się po schodach, strzelaliśmy ku górze – była to nieudolna próba prowadzenia ognia osłonowego. Po oddaniu jakichś czterech strzałów, kiedy byłem już

w połowie schodów, mój karabinek się zaciął. Nie było czasu na usunięcie awarii – puściłem go, żeby luźno zwisał przez pierś, i wyciągnąłem pistolet z kabury na udzie.

Pot spływał mi po twarzy, zalewając oczy. Kiedy przebijaliśmy się przez korytarz, unikając stawania na szkle, próbowałem ustabilizować wzrok na przyrządach celowniczych. Wiedziałem, że w każdej chwili ktoś może wyskoczyć i zacząć do nas strzelać. Na korytarzu nie było żadnej osłony. Jeśli wystawi łeb, wpakuję mu w niego kulkę.

Na piętrze były trzy pomieszczenia i balkon na końcu korytarza. Zespół szedł za mną. Gość idący obok mnie wraz z kilkoma innymi zajęli się sprawdzaniem pokoju po prawej stronie. Wewnątrz było mnóstwo materacy. Powoli, w gęstym dymie, pokonywałem korytarz.

Kiedy podeszliśmy do drugich drzwi po prawej stronie, minąłem je, a kolega idący za mną wszedł do środka. Wreszcie dotarliśmy do ostatnich drzwi po lewej stronie – ekipa dostała się do środka, wyważając drzwi. Słyszałem krzyki chłopaków, którzy zajęli drugi pokój po prawej – wewnątrz znaleźli karabinek AK, ale nie było śladu po strzelcu.

Na wprost mnie, na końcu korytarza, znajdowały się drzwi prowadzące na balkon. Chwyciłem za klamkę – były zamknięte. Znaleźliśmy broń, ale facet zniknął.

Zacząłem rozważać różne możliwości. Czy gość miał na sobie pas szahida[19]? Czy był tylko jeden strzelec? Nie było po nim żadnego śladu. Zaczynałem się denerwować. Jak udało się uciec temu skurwielowi?

Schodami nie mógł zejść. Uklęknąłem na kolanie i szybko usunąłem zacięcie w M-4. Otworzyłem drzwi balkonowe i powoli je uchyliłem. Może jest na zewnątrz? Jakoś nie pomyślałem, że nie bardzo miał jak uciec tą drogą, skoro drzwi były zamknięte od środka. Wszystko działo się szybko i było tego bardzo dużo, tak że ciężko było mi się skupić na takich pierdołach jak drzwi zamykające się od wewnątrz. Byłem nieco przytłoczony sytuacją – cała sprawa przypominała wypadek samochodowy.

Kiedy bierzesz udział w wypadku samochodowym, prawdopodobnie zapamiętasz ostatnie dwie lub trzy sekundy tuż przed katastrofą. Jeśli przydarzy ci się kolejny, a potem następny i jeszcze jeden, będziesz

pamiętać coraz to więcej szczegółów. Będziesz w miarę oswojony z widokami, zapachami, odgłosami, rytmem i prędkością zdarzeń.

Do pewnego stopnia udział w starciu ogniowym przypomina kraksę. Obu tych spraw zawsze chcesz uniknąć, zawsze są zaskoczeniem, kiedy do nich dojdzie, i obie wyzwalają potężne dawki adrenaliny, przez co trudno się uspokoić i podejmować właściwe decyzje. Było to jedno z moich pierwszych starć i nadal miałem trudności z koncentracją.

Po usunięciu usterki karabinek znów był sprawny – otworzyłem drzwi i wszedłem na balkon. Nikogo tam nie było. Gdzie on, do cholery, uciekł? Doszedłem do końca balkonu, spoglądając na podwórko i na daszek. Widziałem tylko nasze samochody stojące przed domem. Nie było szans, żeby zeskoczył i prysnął. Gość wyparował.

Podszedłem do okna pokoju, w którym znaleziono karabinek – widziałem kolegów stojących w środku. Wyglądało na to, że zdążyli przeszukać podłogę pod łóżkami i drewnianą szafę stojącą w głębi. Już miałem się wycofać, kiedy przez okno dostrzegłem faceta w tym samym pokoju. Schował się na szerokim parapecie, zasłoniętym jakimś dużym meblem. Miał niecałe dwadzieścia lat, rozczochrane włosy i kilka kępek zarostu na twarzy. Ubrany był w wyciągniętą koszulkę bez rękawów i krótkie spodenki. Siedział skulony z kolanami podciągniętymi pod brodę i próbował się nie ruszać, tak żeby nikt go nie zauważył. Miał zamknięte oczy i nie domyślał się, że go widzę.

Opuściłem nieco lufę karabinka, ale nie mogłem strzelić. Nie miał broni, a moi koledzy byli tuż obok – przypadkowy rykoszet mógł trafić któregoś z nich. Okno było zabezpieczone czarną metalową kratą – wepchnąłem lufę między pręty i stłukłem szybę. Odłamki spadającego szkła przestraszyły gościa i dopiero wtedy na mnie spojrzał.

Cofnąłem się i uderzyłem go lufą prosto w twarz. Jego głowa odskoczyła w tył, a z otwartych ust chlusnęła krew, ochlapując brudną koszulkę. Jęknął i spadł z parapetu prosto na podłogę sypialni. Chłopaki dorwali go, rzucili na twarz i skuli mu łapy plastikowymi kajdankami. Później dowiedzieliśmy się, że był to syn pojmanego oficera. Swojego kałasznikowa wyrzucił, zanim się schował.

Kiedy wróciliśmy do bazy, przez całą noc byłem niespokojny. Minuta po minucie odtwarzałem całą akcję w głowie. Goście, którzy znaleźli karabin,

powinni też znaleźć chłopaka, ale żaden z nas nie ogarnął tej sytuacji od razu.

Dopiero parę lat później, przed próbą z kapturem na głowie, zacząłem naprawdę się zastanawiać, jak radzić sobie ze stresem. Nauczyłem się, że najważniejszą rzeczą jest określenie priorytetów dla poszczególnych czynników stresogennych, a dopiero potem działanie. Muszę rozbić je na malutkie fragmenty, które jestem w stanie kontrolować. Czynnikami, na które nie mam wpływu, w ogóle się nie zajmuję. Tymi zaś, na które mam jakiś wpływ, zajmuję się jeden po drugim. W większości przypadków ma to związek z BUD/S i słoniem.

Wiesz, jak je się słonia? Po kawałku.

Próba z kapturem ma za zadanie w pierwszej kolejności przytłoczyć. Jej celem jest postawienie człowieka przed bardzo trudnymi wyborami: właściwy–niewłaściwy, dobry–zły, życie–śmierć. Wszystko w ciągu kilku sekund. Przed takimi samymi wyborami stajemy w walce. Zawsze staram się wszystko maksymalnie upraszczać. Kiedy ktoś staje twarzą w twarz z wieloma zagrożeniami jednocześnie, nie może go zamurować. Ale nie chcemy też, aby zaczął od razu strzelać, bez jakiejkolwiek oceny sytuacji. Spójrz, co się dzieje, oceń sytuację, nadaj priorytety i rozbij wszystko na malutkie zadania, bo wiesz, że wykonasz je błyskawicznie. Dzięki ciągłemu treningowi, powtarzaniu i doświadczeniu większość operatorów potrafi tak szybko nadawać priorytety poszczególnym czynnikom, że wygląda to jak instynktowne działanie, a nie wieloelementowy proces.

Kiedy dochodzi do działania, wszystko zwalnia.

Weźmy na przykład ćwiczenie z kapturem w trakcie Selekcji. Po tym jak instruktorzy ściągnęli kaptur z mojej głowy, oddałem dwa szybkie strzały amunicją barwiącą w kierunku porywacza. Był pierwszym punktem na mojej liście. Drugim – gość za plecami. Odwróciłem się i krzyknąłem do dwóch ludzi za mną:

– Ręce! Pokaż ręce! Do tyłu, wypierdalaj! – dodałem, trzymając karabin gotowy do strzału.

Faceci byli ubrani tak samo jak porywacz: w spodnie z kieszeniami i identyczne koszulki. Ale nie mieli broni – od razu pokazali puste ręce.

Powoli, małymi kroczkami, zaczęli się cofać. Kiedy byli kilka metrów ode mnie, rozkazałem im się położyć.

– Gleba! Gleba! Rozłóż ręce!

Posłuchali polecenia, więc odwróciłem się z powrotem w stronę blondynki. Właśnie przyłożyła mi lufę pistoletu do twarzy.

– Co ty, kurwa, robisz?! – krzyknął szkoleniowiec stojący na balkonie.

Instruktorzy zaczęli się na mnie drzeć, że nie zareagowałem wystarczająco szybko. Byłem zbyt powolny. Nie reagowałem na zagrożenia błyskawicznie i teraz musiałem za to zapłacić. Na szczęście wszyscy oblali pierwsze podejście. Wpadka numer jeden zaliczona – nie wyglądało to dobrze.

Plułem sobie w brodę z powodu zbyt wolnych reakcji. Za dużo czasu poświęciłem na facetów i zapomniałem o lasce. Nie uznałem jej za zagrożenie, a przecież w Iraku wielokrotnie spotykaliśmy się z kobietami ukrywającymi broń lub telefony komórkowe. Podczas pierwszej tury bojowej z SEAL Team 5 aresztowaliśmy pewnego mężczyznę, a potem przeszukaliśmy jego żonę – miała przy sobie kilka komórek i broń. Podczas tej samej zmiany w Bagdadzie zostały aresztowane cztery kobiety – wszystkie miały pasy szahida. Kilka miesięcy po powrocie z misji usłyszałem o zamachu samobójczym przeprowadzonym w Tall Afar w północnym Iraku przez kobietę przebraną za mężczyznę. Partyzanci doskonale wiedzieli, że nie przeszukujemy kobiet. Od tamtego czasu wiedzieliśmy już, że musimy sprawdzać wszystkich.

Pierwsze ćwiczenia z kapturem zawaliłem, ale wyniosłem z nich nauczkę, której nigdy nie zapomnę: oceń, nadaj priorytet i działaj. W prawdziwym „wypadku samochodowym” wezmę potem udział setki razy – w walce będę musiał stawić czoło nowym elementom stresogennym, takim, jakich nie poznałbym nigdy na treningu, będę zmuszony działać szybciej, strzelać prawdziwymi pociskami, a nie kulkami z farbą, a stawką będzie życie moje i życie innych. Za każdym razem uczyłem się czegoś ważnego.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Bezpieczny powrót wątpliwy

Nastawienie

Przełożyłem karabin na plecy i zacząłem się wspinać po metalowej drabince. Kiedy sięgałem po następny szczebel, słyszałem, jak szoruje po ścianie budynku.

Tuż przede mną kumpel z sekcji właśnie dotarł na dach i pokonał niewielki gzyms. Dotarłem tam sześćdziesiąt sekund później i wspiąłem się na murek, razem z trzydziestoma kilogramami sprzętu, który niosłem. W dole widziałem resztę zespołu zbliżającą się na pozycje przy drzwiach wejściowych do budynku, który był celem.

Byliśmy ekipą dachową, co oznaczało mniej więcej tyle, że mieliśmy zapewnić reszcie zespołu osłonę z wyżej położonego obiektu. Mieliśmy zaatakować kryjówkę partyzantów, a nasza robota polegała na wejściu na dach, z którego moglibyśmy ubezpieczać szturm. Jeśli istniała możliwość dostania się do budynku od góry, my atakowaliśmy w dół klatki schodowej, natomiast drugi zespół szedł w górę schodów. Teoretycznie mogliśmy dorwać złych gdzieś pośrodku, mając nadzieję, że nie zdążą stawić oporu.

Był rok 2006 i priorytetem był Irak. Działająca tu do tej pory jednostka wojsk lądowych poniosła spore straty i wymagała uzupełnień. Zaledwie miesiąc wcześniej skończyłem pierwszą zmianę z nową jednostką, kiedy moja sześcioosobowa ekipa została przerzucona z Afganistanu do Iraku z zadaniem udzielenia wsparcia tamtejszym formacjom. Na początku myśleliśmy, że dołączymy jako jeden team, ale wkrótce po przylocie zostaliśmy rozdzieleni i każdy trafił do innego zespołu.

Wylądowaliśmy na wojskowej części międzynarodowego lotniska w Bagdadzie, skąd skierowaliśmy się do Zielonej Strefy – wydzielonego obszaru irackiej stolicy, nadzorowanego przez siły koalicji. Byłem już w Iraku z SEAL Team 5, więc wszystko wyglądało znajomo – pod koniec zmiany działaliśmy w Bagdadzie. Wtedy byliśmy zupełnie nieopierzeni i nie mieliśmy żadnego doświadczenia bojowego. Teraz, gdy wracaliśmy do tego samego miasta, było zupełnie inaczej. W powietrzu czuło się siłę przenikającą całe wojsko – pewność, która wynikała ze wspólnych doświadczeń wyniesionych z walki.

Wciąż byłem nowy w ekipie i nigdy wcześniej nie współpracowałem z wojskami lądowymi, ale zdążyłem się nasłuchać plotek, że między nimi a marynarką zawsze brakowało nici porozumienia. Te rodzaje sił zbrojnych niezmiennie ze sobą rywalizowały, co wynikało zapewne z chęci pokazania, kto jest lepszy. Na każdych zawodach strzeleckich i podczas innych ćwiczeń można było dostrzec ostrą walkę pomiędzy nimi. Spodziewałem się, że osobiście doświadczę jakichś spięć, ale nigdy do nich nie doszło. Cała ta komedia pod tytułem „Kto jest lepszy i kto ma większego" straciła znaczenie, kiedy znaleźliśmy się w stanie wojny. Byliśmy po jednej stronie. Zespół otworzył się przede mną, wciągnął do środka i przyjął jak swojego. Naprawdę nikt nie przejmował się tym, która jednostka strzela lepiej – razem walczyliśmy ze wspólnym wrogiem.

Kiedy dotarłem na miejsce, Jon – mój nowy dowódca – spotkał się ze mną w centrum operacyjnym i zaprowadził do mojego pokoju. Pokazał mi też stołówkę, siłownię i przedstawił pozostałym członkom ekipy. Nowy zespół przypominał nieco starą ekipę z SEAL Team 5 – wszyscy wykorzystywaliśmy ten sam sprzęt, tę samą taktykę i strukturę dowodzenia. Oni byli z wojsk lądowych, a ja z marynarki – były między nami jakieś różnice, ale zasadniczo byliśmy do siebie bardzo podobni.

Jon przywitał mnie i włączył w procesy planowania. Nigdy nie odczułem, że nie jestem częścią zespołu. Co ważniejsze, wiedziałem, że Jon i pozostali byli otwarci na moje opinie.

Któregoś razu, parę tygodni po moim przybyciu, zaczęliśmy planować akcję. Moja ekipa miała wylądować na dachu wyznaczonego budynku, docierając tam na pokładzie śmigłowca MH-6 Little Bird, i zacząć czyścić obiekt od góry. Jon przygotowywał listę ludzi, którzy wezmą udział w zadaniu.

– Panowie, tym razem będzie ciasno – powiedział.

Kombinował, żebyśmy się mogli zmieścić poniżej limitu udźwigu maszyny. Byłem pewien, że z tą ekipą nie polecę – byłem nowy, no i byłem Foką. Etap planowania się zakończył i wszyscy wyszli z centrum operacyjnego. Wziąłem notatnik i skierowałem się do swojego pokoju.

– Lecisz dziś w nocy – poinformował mnie Jon, zbierając się do wyjścia.

Później widziałem, jak rozmawia z innym nowym członkiem zespołu. On zostawał w bazie. Następnym razem gdy przekroczyliśmy limit udźwigu, zostałem ja. Jon zawsze uważał, żebym sprawiedliwie rotował się z drugim nowym gościem, żebym był traktowany jako równorzędny członek ekipy. Jasne, zarówno tutaj, jak i u siebie w jednostce byłem nowy, ale miło było usłyszeć, że Jon uważa mnie za swojego.

Po kilku pierwszych robotach znalazłem swoje miejsce w zespole i już nikt nie uważał mnie za SEALsa będącego tu na zastępstwie. Stałem się pełnoprawnym członkiem ekipy, jednym z dwóch nowych gości w jej składzie.

Ledwie poznałem tych chłopaków, a od razu byłem gotów powierzyć im własne życie, tak samo jak oni mogli zaufać mnie. Wiedziałem, że nieraz narażą swoje życie, aby mnie uratować, tak jak i ja zrobię to samo dla nich. Wszystko było zasługą Jona, jednego z najlepszych dowódców i liderów, z jakimi kiedykolwiek służyłem w wojsku. Nie zdobył respektu swoich podwładnych i innych ludzi wyłącznie za sprawą nominacji na to stanowisko. Zasłużył na szacunek swoim charakterem, umiejętnościami przywódczymi i całkowitym opanowaniem w boju. Wyglądał na gościa, którego nic nie może zaskoczyć. Od razu wiedziałem, że chciałbym być taki jak on.

W trakcie całej służby zdałem sobie sprawę, że wszystkie jednostki specjalne podzielają pewne nastawienie i sposób myślenia. Wszyscy nadajemy na tych samych falach. Każdy z nas miał poczucie celu. W przeszłości, w czasie pokoju, między poszczególnymi jednostkami istniała rywalizacja, ale kiedy dochodziło do walki, takie rzeczy przestawały się liczyć. Najważniejsza była praca zespołowa, a jeśli w czymś się zgadzaliśmy, to w tym, że trzeba wykonać zadanie i bezpiecznie wrócić do domu.

Pomyśl o jednostkach specjalnych – SEALsach, Siłach Specjalnych, Rangersach czy ratownikach bojowych i kontrolerach pola walki z sił powietrznych – jak o załodze jednej łodzi. Wszyscy wiosłują. Od oficera aż po kompletnie zielonego nowicjusza wszyscy szkoleni są, aby stawiać dobro zespołu nade wszystko i robić, co w ich mocy, aby wykonać zadanie. Ten sam sposób myślenia charakteryzuje wszystkie jednostki specjalne na całym świecie.

Każda formacja, z którą współpracowałem lub się szkoliłem, miała dokładnie takie same priorytety. Sprzęt i taktyka działania mogą się różnić – niektóre zespoły będą miały fajniejsze zabawki od innych, ale ostatecznie to, czy masz najdroższy karabin na świecie albo hiperspecjalne przeszkolenie, nie ma znaczenia. Wszyscy podjęliśmy wyzwanie i przeszliśmy najbardziej skomplikowane kursy w naszych krajach. Nauczyliśmy się, jak pokonywać swoje granice i przełamywać fizyczne oraz psychiczne bariery.

Jednostki takie jak SEALs czy inne elitarne oddziały istniały od chwili, gdy człowiek wynalazł wojnę. Starożytni Grecy mieli swoje oddziały specjalne, a Jerzy Waszyngton – swoich strzelców wyborowych w czasach amerykańskiej rewolucji. Ale dopiero po zakończeniu drugiej wojny światowej decydenci zaczęli dostrzegać potrzebę utworzenia i szkolenia sił przeznaczonych do operacji specjalnych. Na początku trzeba było znaleźć grupę gości, którzy mieli właściwy sposób myślenia – potrafili zespołowo osiągać wyznaczone cele. To właśnie takie nastawienie jest wspólnym mianownikiem elitarnych oddziałów.

Charlie Beckwith po przybyciu do Wietnamu w 1965 roku został wyznaczony na dowódcę zespołu wydzielonego sił specjalnych B-52, znanego też jako Projekt DELTA. Ta jednostka rozpoznawcza została utworzona w celu zbierania danych wywiadowczych w Wietnamie Południowym i wzdłuż szlaku Ho Szi Mina. Od momentu objęcia dowództwa Beckwith natychmiast pozbył się niemal wszystkich żołnierzy i zaczął rekrutować nowych ludzi za pomocą ulotki o następującej treści:

> „POSZUKIWANI: Ochotnicy do Projektu DELTA. Gwarantujemy medal, worek na zwłoki albo oba powyższe.
>
> Wymagania: Musi być ochotnikiem. Musi być co najmniej sześć miesięcy w Wietnamie. Musi mieć odznakę bojową piechoty. Minimum stopień sierżanta – w innym wypadku nawet nie przychodź i nie próbuj ze mną rozmawiać”.

Chciał znaleźć ludzi dokładnie takich jak moi koledzy, którzy posiedli ten dar, by nigdy nie dawać za wygraną i za wszelką cenę wykonywać

stawiane przed nimi zadania. Kierując się takim podejściem jak to utrwalone na ulotce Beckwith później stworzył [redacted], opierając sie na doświadczeniach ze współpracy z brytyjskim SAS[20].

Ale wojsko to niejedyny przykład. Ernest Shackleton, który poprowadził trzy brytyjskie ekspedycje na Antarktykę na początku XX wieku, umieścił w londyńskiej gazecie właściwie bliźniacze ogłoszenie:

> „Poszukiwani mężczyźni na niebezpieczną wyprawę. Niska płaca, wściekle zimno, ciągnące się godziny w zupełnych ciemnościach. Bezpieczny powrót niepewny. Zaszczyty i uznanie, jeśli się uda”.

Bez wahania dołączyłbym do Projektu DELTA Beckwitha albo do ekspedycji Shackletona. Nigdy nie chciałem robić w życiu czegoś zwykłego. Nie chciałem być przeciętniakiem. Nikt związany z operacjami specjalnymi nie może być przeciętny – nasza robota nigdy nie jest łatwa ani rutynowa. Zarówno Shackleton, jak i Beckwith poszukiwali ludzi, którzy cechowali się tym samym poczuciem celu i wspólnym sposobem myślenia. Jeśli ktoś z załogi nie znalazł się tam z właściwych powodów i nie pracował na rzecz zespołu, groźba porażki stawała się całkiem realna. A w środowisku sił specjalnych nie ma miejsca na porażkę.

Większość nocy w Iraku spędziłem, latając nad dachami na bocznym podeście śmigłowca MH-6 Little Bird, pilotowanego przez załogę ze 160. Lotniczego Pułku Operacji Specjalnych (160th SOAR[21]). Zjeżdżaliśmy na linach na dachy budynków albo czyściliśmy ostatnie piętra, podczas gdy pozostali członkowie zespołu, którzy docierali na miejsce samochodami, ogarniali dolne kondygnacje. Właśnie do takiej roboty się pisałem, tyle że wykonywałem ją z wojskami lądowymi, a nie ze swoją grupą SEALsów. Prowadziliśmy szeroko zakrojoną operację mającą na celu wyplenienie Al-Kaidy z Iraku. Na robotę mówiliśmy „bagdadzki SWAT”, gdyż to, co robiliśmy, bardzo przypominało działania policyjnych antyterrorystów.

Ale czasem nie mieliśmy do dyspozycji little birdów. Skoro mieliśmy siedzieć na dachu, musieliśmy więc na niego wyleźć.

Kiedy kończyłem przeprawiać się przez gzyms, spojrzałem do tyłu i dostrzegłem Jona, który właśnie wszedł na dach. Odwróciłem się i przemieściłem w przeciwległy narożnik, wypatrując zagrożeń. Dach pokryty był dachówką, a dokoła poprowadzono wysoki na sześćdziesiąt centymetrów gzyms. Na środku dachu znajdowały się drzwi, a do rogów budynku doczepiona była niesamowita liczba anten satelitarnych wszelkich możliwych modeli i kształtów. Między budynkami zwisały wiązki grubych czarnych kabli przeciągniętych nad drogą i chodnikiem.

W głowie miałem wykutą na pamięć mapę okolicy i wiedziałem, że nasz cel znajduje się po drugiej stronie budynku. W radiostacji słyszałem, jak zespół na dole szuka właściwych drzwi do obiektu. Kryjówka znajdowała się w budynku bliźniaku, ale z rozmów wynikało, że zespół szturmowy nie miał pewności, przez które drzwi ma wykonać wejście siłowe.

Z mojego stanowiska, znajdującego się dwa piętra wyżej, mogłem dostrzec pojazdy zespołu naziemnego. Nagle usłyszałem przytłumiony wybuch i operatorzy ruszyli w stronę domu. Cały czas obserwowałem cel w poszukiwaniu wszelkich śladów aktywności przeciwnika.

I wtedy padło hasło – ekipa weszła pod zły adres. Teraz musieliśmy się wbić do kolejnego mieszkania. Usłyszałem serię z kałasznikowa i jakieś krzyki.

– Mamy zbiegów – rozbrzmiał komunikat radiowy.

Z naszej pozycji nie widziałem uciekających, ale domyśliłem się, że będą blisko. Przed nami znajdował się budynek i nie widzieliśmy drogi idącej na północ od nas. Musieliśmy szybko zmienić lokalizację. Ale nie było czasu, żeby zejść na parter, dobiec do następnego budynku, a potem pokonać trzy piętra i znowu dostać się na dach.

Wtedy dostrzegłem drabinę – wydawało się, że powinna sięgnąć do gzymsu kolejnego budynku. Z tamtego miejsca mielibyśmy doskonały widok na ulicę, którą wydostaną się partyzanci.

Spojrzałem na Jona, ale akurat rozmawiał przez radio, z którego słychać było urywki komunikatów o uciekających. Ekipa szturmująca budynek znalazła skrytkę pełną broni i materiałów wybuchowych.

Chciałem się do czegoś przydać, więc ruszyłem po drabinę – okazało się, że jest zrobiona z jakichś starych desek pozbijanych gwoździami. Każdy

szczebel przymocowany był pojedynczym gwoździem i kawałkiem drutu. Chwyciłem drabinę, zarzuciłem na ramię i pobiegłem do krawędzi budynku, gdzie znajdowali się moi kumple.

– Myślisz, że ta szuszwolska drabina nas utrzyma? – spytał któryś z nich.

Byliśmy na drugim piętrze… Stanąłem na gzymsie i spojrzałem na przerwę pomiędzy budynkami. Dzieliło je jakieś cztery, może pięć metrów.

– Jeśli położymy ją na płask, może uda się po niej przeczołgać. Powinna dać radę – rzuciłem, bardziej na to licząc, niż rzeczywiście w to wierząc.

– Nieważne, bo i tak zaraz się o tym przekonamy – odpowiedział z przekąsem żołnierz.

Obaj rwaliśmy się do walki i nie chcieliśmy dać prysnąć zbiegom, którzy poza tym mogli przygotować zasadzkę. Delikatnie przerzuciliśmy drabinę nad uliczką. Kolega ruszył pierwszy – położył się niej i powoli zaczął przesuwać się na drugą stronę, podczas gdy ja starałem się utrzymać drabinę w miejscu, jednocześnie obserwując budynek. Kiedy przyszła kolej na mnie, przewiesiłem sobie karabin przez plecy i zacząłem się czołgać.

Przed oczyma stanęły mi wspomnienia cienkiego lodu na Alasce. Jedynym sposobem na pokonanie skutego cienkim lodem miejsca jest rozłożenie masy ciała na maksymalnie dużej powierzchni. Jeśli będziesz stać, cały ciężar będzie skupiony w jednym miejscu i następną rzeczą, jaka cię wtedy czeka, jest nurkowanie w lodowatej wodzie. Przejście po drabinie było tak samo niebezpieczne jak stąpanie po kruchym lodzie. Byliśmy na wysokości drugiego piętra, wokół kręciło się pełno uzbrojonych partyzantów, a my mieliśmy zaufać tej gównianej irackiej drabince, że nie pozwoli nam spaść na ziemię.

Poza tym na Alasce przynajmniej nie musiałem nosić ze sobą trzydziestu kilogramów sprzętu…

Wziąłem dwa głębokie wdechy i starałem się uspokoić. Po raz kolejny kontrolowanie mojego małego świata pozwalało mi działać – wciąż bałem się wysokości.

Centymetr po centymetrze pokonywałem uliczkę – w dole dostrzegłem potężną hałdę śmieci, wyglądających głównie jak odpadki z kuchni. Było tam gnijące żarcie i mnóstwo opakowań. Plastikowe worki walały się po

ulicy, a wszystko wyglądało, jakby samochód uderzył w górę śmieci i rozrzucił je po całym terenie.

Nie zatrzymałem się nawet na moment i wreszcie dotarłem do drugiego budynku. Kiedy już stanąłem na nogach, pobiegłem do narożnika i zacząłem wypatrywać przeciwników. Gdybyśmy się zastanawiali choć chwilę dłużej albo nie wykorzystali drabiny, łatwo by nam uciekli. Gdy dopadłem krawędzi i spojrzałem na ulicę, dostrzegłem dwóch biegnących gości. Obaj mieli karabiny.

Wiązka ze wskaźnika laserowego mojego kolegi wylądowała na partyzancie z lewej strony. Wycelowałem w tego po prawej. Równocześnie strzeliliśmy i obaj mężczyźni padli martwi, zanim dobiegli do równoległej ulicy. Mieli fart, kiedy zespół szturmowy uderzył na niewłaściwą część domu. Ale ich limit szczęścia właśnie się wyczerpał.

Jon, który został na poprzednim budynku, usłyszał strzały. Kątem oka widziałem, jak biegnie do miejsca, w którym zostawiliśmy drabinę, ale odwróciłem się i dalej obserwowałem ulicę. Zespół szturmowy cały czas przeszukiwał pomieszczenia w budynku i odnajdywał kolejne sztuki broni, ale nadal nie mieliśmy pewności, ilu przeciwników było w kryjówce.

Nade mną usłyszałem nisko przelatujące śmigłowce AH-6 Little Bird, po zęby uzbrojone w karabiny maszynowe i pociski rakietowe, gotowe do udzielenia nam wsparcia, jeśli wpadlibyśmy w tarapaty. Kiedy pojawił się meldunek o uciekinierach, śmigłowce zaczęły latać w coraz szerszych kręgach, poszukując zbiegów oddalających się od celu.

Nagle w radiu usłyszeliśmy komunikat:

– Nasz człowiek dostał! – powiedział pilot little birda.

Po kilku sekundach powtórzył:

– Nasz człowiek dostał!

W pierwszej chwili wydawało mi się, że trafiony został ktoś z ekipy czyszczącej budynek. Ale wtedy pilot uzupełnił informację:

– Nasz człowiek dostał. Dokładnie sto metrów na południe od celu.

Przecież to kompletnie bez sensu. To Jon, moja ekipa i ja byliśmy właśnie sto metrów od celu. To my strzelaliśmy, ale pilot nie mógł mówić o nas, przecież byliśmy cali i zdrowi. Przeciwnik nie miał nawet szansy wystrzelić.

Spojrzałem na kolegę, ale on tylko wzruszył ramionami. Odwróciłem się, żeby sprawdzić, czy Jon jest na dachu – spytałbym go, czy wie, o co chodzi.

Ale Jona nie było.

– Gdzie jest Jon? Przecież był tam przed chwilą i rozmawiał przez radio – zwróciłem się do kumpla.

– Ty, gdzie jest drabina? – odpowiedział.

O kurwa.

Sprintem ruszyliśmy do krawędzi dachu. Drabiny nie było. Spojrzałem w dół i dostrzegłem Jona leżącego na górze śmieci. Jego hełm leżał gdzieś obok, a jedyne, co mogłem usłyszeć, to przytłumiony jęk wijącego się z bólu kolegi.

– Widzimy go! Jest na ulicy pomiędzy budynkami na południe od celu – przekazałem informację.

Załoga śmigłowca musiała widzieć, jak spada, i poinformowała o tym wszystkich na ziemi. Teraz ratownicy chcieli się dowiedzieć, jak mają do niego dotrzeć.

– Wyjmij GRG i powiedz im, jak się do niego dostać. Musimy go stamtąd zabrać – powiedział kolega.

Wciąż nadchodziły informacje o kolejnych partyzantach w okolicy. Jeśli nawet przypadkiem trafią na Jona, zabiją go. Wyciągnąłem GRG – niewielki fragment mapy najbliższej okolicy celu z ponumerowanymi budynkami – i zacząłem naprowadzać odsiecz na Jona.

Mapy GRG zazwyczaj tworzone są ze zdjęć satelitarnych obszaru i wykorzystywane do naprowadzania wsparcia lotniczego, tak aby piloci i żołnierze na dole mówili dokładnie o tym samym.

– Czekaj. Jest na ulicy na skrzyżowaniu między Echo 4 i Delta 8 – podałem pozycję.

Kiedy tylko zespół naziemny otrzymał współrzędne, błyskawicznie wysłał we wskazane miejsce ratowników medycznych. My zostaliśmy na dachu i osłanialiśmy Jona do momentu przybycia ratowników. Teraz musieliśmy znaleźć nową drogę na dół – na pierwszy budynek już nie mogliśmy wrócić, bo drabina leżała gdzieś na ziemi, roztrzaskana na kawałki. Dach domu był niemal identyczny – na środku też były drzwi. Okazało się, że są otwarte.

Próbowałem się uspokoić i skoncentrować, ale za bardzo martwiłem się o Jona. Przez te kilka miesięcy stał się moim przyjacielem i mentorem. Czułem, że zarówno on, jak i reszta ekipy byli dla mnie jak bracia, dokładnie tak jak moja ekipa Fok. Nie chciałbym, żeby coś mu się stało. Z miejscówki na dachu nie wyglądało to zbyt dobrze, ale to, że jęczał, według wiedzy wyniesionej ze szkoleń medycznych było dobrym znakiem.

– Lecimy – szepnął kolega i ruszył przez drzwi prowadzące w dół budynku.

Powoli, z karabinem gotowym do strzału, pokonywałem klatkę schodową. Wejście do budynku mieszkalnego w Bagdadzie zawsze mnie zaskakiwało. Trudno było ocenić z zewnątrz, co zastaniemy w środku. Wielokrotnie trafialiśmy na domy, które z zewnątrz wyglądały jak ruiny, a w środku znajdowaliśmy marmury i wypasione wnętrza.

Nie miałem pojęcia, że po przejściu po drabinie trafiliśmy na budynek mieszkalny. Schody prowadzące na dach przechodziły w korytarz na drugim piętrze czyjegoś domu. Kiedy ruszyliśmy w stronę schodów na końcu holu, podeszwy moich butów zaskrzypiały na marmurowej posadzce. Kontrolnie zaglądałem go każdego z mijanych pokojów – chciałem mieć pewność, że w żadnym nie czai się uzbrojony typ. Nie czyściliśmy domu, po prostu chcieliśmy jak najszybciej dobiec do wyjścia i dotrzeć do Jona.

Z drugiego piętra zeszliśmy na pierwsze, a stamtąd marmurowymi schodami na parter. Kiedy schodziliśmy, dostrzegłem stojącego niżej mężczyznę, ubranego w tradycyjny muzułmański diszdasz[22] i sandały. Wysunął ręce do przodu, żeby nam pokazać, że nie jest uzbrojony.

– W czym mogę panom pomóc? – zapytał po angielsku z ledwie wyczuwalnym akcentem.

Chciałem do niego wrzasnąć, żeby się położył, ale ten jego niemal perfekcyjny angielski dosłownie zbił mnie z tropu.

– Musimy się dostać na dół.

– Proszę za mną – powiedział.

Podszedłem do niego i tak jak nas szkolono, trzymałem lufę karabinu tuż za jego plecami, kiedy prowadził nas na dół. Nie ufałem mu, ale podejrzewałem, że raczej nie zastaniemy u niego partyzantów. Czułem, że facet chce mieć pewność, że nie rozwalimy mu niczego, szukając wyjścia.

– Jestem profesorem.

Nie odpowiedziałem. Nie miało to dla mnie absolutnie żadnego znaczenia. Chciałem tylko stąd wyjść i dotrzeć do Jona. Misja miała polegać na czymś innym, ale wraz z upadkiem Jona sytuacja uległa zmianie.

Profesor doprowadził nas do drzwi wejściowych i przekręcił klucz w zamku. Otworzył nam drzwi i ustąpił drogi. Kolega powiedział mu, żeby odsunął się od drzwi i nic nie mówił. Zatrzymałem się na stopniu i wyjrzałem w poszukiwaniu zagrożeń. Mając pewność, że jesteśmy bezpieczni, ruszyliśmy w stronę uliczki.

W jej głębi dostrzegliśmy ratownika klęczącego przy Jonie. Ranny był przytomny i wciąż jęczał. Zaliczył upadek z wysokości drugiego piętra i lądowanie w stercie śmieci. To był chyba jedyny przypadek w całym Iraku, kiedy góra syfu uratowała czyjeś życie. Do tej pory martwiliśmy się bombami schowanymi w podobnych hałdach usypanych wzdłuż ulic irackiej stolicy.

Kiedy dotarliśmy na miejsce, medyk rozmawiał z Jonem.

– Możesz wstać?

– Taaaak.

Żadna kość Jona nie uległa złamaniu. Kiedy pomagaliśmy mu się podnieść, żeby zabrać go do czekających samochodów, wydał się z siebie długi jęk. Położyliśmy go na tylnych siedzeniach i pozwoliliśmy wziąć głęboki oddech. Cierpiał, ale nie chciał dać tego po sobie poznać.

– Kurwa, przejebane. Ta drabina pękła – powiedział.

Jon nie widział, skąd wzięliśmy drabinę, i kiedy próbował się do nas dostać, po tym jak usłyszał odgłosy strzelaniny, pomyślał, że jest to jedna z naszych metalowych drabin szturmowych, które zabieraliśmy na każdą robotę. Myślał wtedy tylko o tym, jak mógłby do nas dołączyć i jak nam pomóc.

Zamiast przeczołgać się po drabinie, rozkładając masę ciała tak jak ja, Jon po prostu postanowił po niej przejść. Chodzenie w goglach noktowizyjnych, z trzydziestoma kilogramami gratów po drabince skleconej z drewna i starego drutu, położonej na wysokości drugiego piętra,

nie mogło się okazać dobrym pomysłem. Nawet w tak wysokiej klasy noktowizorach, jakich używamy, głębia widzenia jest ograniczona.

Taki spacer po metalowej drabinie byłby trudny nawet w dzień, a Jon chciał to zrobić nocą, w warunkach bojowych. Udało mu się pokonać połowę odległości i może nawet przeszedłby cały dystans, gdyby drabinka nie pękła pod jego ciężarem.

Byłem zdumiony, kiedy opowiedział nam, co się stało. Trzeba mieć jaja, żeby nocą przejść po drabinie między budynkami, kiedy dokoła strzelają. Zacząłem się z niego nabijać, że drabina pękła pod ciężarem jego *cohones*.

Parę chwil później zakończyliśmy operację i pojechaliśmy do pałacu – za każdym razem, kiedy wpadaliśmy na dziurę w drodze, a irackie drogi były ich pełne, Jon jęczał z bólu. Kiedy dotarliśmy na miejsce, nie chciał pójść do izby chorych – zamiast tego wziął udział w odprawie po akcji, a dopiero potem poszedł do wyrka. Wziął dwa dni wolnego, po których wrócił do służby. Był trochę poobijany, ale nic poważnego mu się nie stało.

Ucieszyłem się, kiedy dwa dni później zobaczyłem go stojącego na płozie little birda podczas wylotu na kolejną robotę. Ale on cieszył się jeszcze bardziej. Świadomość, że nie bierze udziału w operacji, w której my narażamy życie, była dla niego gorsza niż ból po upadku z wysokości.

Do dziś spotykam się z Jonem – rok temu wziąłem nawet udział w imprezie pożegnalnej, kiedy przechodził na emeryturę. Było to bardzo kameralne spotkanie, w którym uczestniczyli tylko najbliżsi przyjaciele. Nadal ma potężną klatkę piersiową, ale nie nosi już brody i podobnie jak ja wygląda na starszego, niż jest w rzeczywistości. Nie chodzi o wiek, raczej o „zużycie materiału”. Swojemu krajowi oddał o wiele więcej niż tylko dwadzieścia lat służby.

Jon nazywa mnie swoją ulubioną Foką – jestem z tego dumny, ponieważ nie tylko jest jednym z najlepszych dowódców, z jakimi miałem przyjemność służyć, ale również wspaniałym przyjacielem. Po powrocie z tamtej tury w Iraku, pomimo mocno wypełnionych kalendarzy, udało nam się utrzymać kontakt. Nie były to tylko zwykłe, okazjonalne spotkania – porównywaliśmy najnowsze techniki i taktyki wykorzystywane przez nasze jednostki. Dla nas rywalizacja między marynarką a wojskami lądowymi była oficjalnie zakończona – jechaliśmy na tym samym wózku. Jon został moim kumplem wśród „zielonych”.

Kiedy wylądowałem w Bagdadzie, byłem zdenerwowanym „tym nowym” i wcale się nie spodziewałem, że uda mi się dograć z gośćmi z armii. Ale już w pierwszym dniu pobytu okazało się, że wszyscy myślimy w ten sam sposób. Mieliśmy wspólne cele i to pozwoliło mi zostać członkiem zespołu. Nie zapędziliśmy się w durną rywalizację na kolory mundurków. Może i używaliśmy innego sprzętu, a selekcje prowadzone były w nieco inny sposób, ale w głowach mieliśmy to samo.

Wszyscy zgłosiliśmy się na ochotnika do wykonywania najbardziej niebezpiecznych zadań, takich, za które Beckwith oferował „medal, worek na zwłoki albo oba powyższe”. Wszyscy zgodziliśmy się na „niską płacę, wściekłe zimno, ciągnące się godziny w zupełnych ciemnościach”, jakie obiecywał Shackleton, bo wolelibyśmy umrzeć, niż się poddać.

Ale najważniejsze jest to, że ponad indywidualizm stawiamy pracę w zespole i oczekujemy, że każdy da z siebie wszystko. Te słowa są łatwe do wypowiedzenia czy zapisania, ale życie zgodnie z nimi już takie łatwe nie jest. Właśnie z takimi ludźmi służyłem w siłach specjalnych – którzy mają taki sam cel i cechuje ich niemal identyczny sposób myślenia.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Zasadzka

Zaufanie

Stałem w centrum operacyjnym i gapiłem się w płaski ekran potężnego telewizora. Obok mnie tkwił Scott, drapiąc się w brodę i kręcąc głową.

– Coś tu jest nie tak – stwierdził.

Scott był jednym ze starszych członków ekipy. Służył już wystarczająco długo, żeby dobrze wiedzieć, kiedy coś nie jest w porządku.

Właśnie minęło dziewięć lat od początku szkolenia i pierwszej tury w Iraku. Ciężar działań wojennych przeniósł się do Afganistanu, potem do Iraku, a następnie znów do Afganistanu. Wziąłem udział w setkach operacji na różnego typu obiekty. Robiłem to na tyle długo, żeby poznać właściwy cel. A ten nie miał żadnego sensu.

Na monitorze wyświetlała się transmisja obrazu wideo z drona – przedstawiała zabudowania, które wyglądały jak każdy inny biszkoptowy dom w Afganistanie. Mierzące trzy, może trzy i pół metra mury zbudowane z gliny i kamieni. Metalowa brama. Obiekt znajdował się w otwartym polu i otoczony był uprawami. Przy polu po jednej stronie rosły drzewa. W odległości około pięciuset metrów od celu dało się zaobserwować kilka mniejszych zabudowań.

Nie było widać żadnych bawiących się dzieci. Nie było też żadnych kobiet krzątających się przy obejściu. Nikt nie wychodził z domu ani do niego nie wchodził. Nie było kóz ani krów pasących się nieopodal. Żadnych mężczyzn pracujących w polu. Dom wyglądał na opustoszały, ale mieliśmy informację, że może się w nim ukrywać ważny dowódca Al-Kaidy.

Na tym etapie wojny znalezienie jakiegokolwiek dowódcy Al-Kaidy w Afganistanie było rzadkością. Zajmowaliśmy się głównie tropieniem i likwidowaniem mniej ważnych talibów, których zaprzątało prowadzenie dżihadu niejako przy okazji – w pierwszej kolejności oddawali się codziennym obowiązkom w polu. Ważniejsi przywódcy talibów ukrywali się w sąsiednim Pakistanie, gdzie byli poza naszym zasięgiem i dobrze o tym wiedzieli. Jeśli szycha z Al-Kaidy miałaby się ukrywać w budynku, to gdzie byli jego ochroniarze? Nikt nie przychodził po rozkazy albo go

odwiedzić? Dlaczego jakiś ważniak z Al-Kaidy miałby przekroczyć granicę bez ochrony i siedzieć w opuszczonym domu?

To było zupełnie bez sensu. Scott miał całkowitą rację. To musiała być pułapka.

To wspólne doświadczenia zdobywane w boju doprowadziły mnie do tej konkluzji. Przez ostatnie lata siły operacji specjalnych polowały na talibów, członków Al-Kaidy i producentów bomb. Ustalaliśmy model ich zachowań i czekaliśmy na najlepszy moment do uderzenia. Kiedy położenie celu było dokładnie określone, wyruszaliśmy i likwidowaliśmy ich albo łapaliśmy. Robiliśmy to już tak długo i tak wiele razy, że zaczęło się to przeradzać w cholernie frustrujące polowanie na krety. Za każdym razem, kiedy rozbijaliśmy jakąś komórkę produkującą bomby, pojawiała się nowa. Nie mogliśmy powstrzymać partyzantki, która była jak Hydra – ucinaliśmy tylko kolejne głowy. Ale partyzantka nie musi wygrać, wystarczy, że przetrwa.

Mnie interesowały tylko zagadnienia praktyczne: bezpieczeństwo mojej sekcji, liczba przewidywanych przeciwników, droga na miejsce i z powrotem. Mieliśmy już spore doświadczenie w tej grze i nagła zmiana jednego elementu w całej układance była jak wielka czerwona flaga ostrzegawcza. Kiedy wpatrywałem się w cel, sprawy strategiczne nie miały dla mnie większego znaczenia – niech zajmują się nimi admirałowie i politycy. Nam, na samym dole, nie były do niczego potrzebne.

Dowódca rejonu podjął decyzję o zaatakowaniu obiektu. Był nim pułkownik z 75. Pułku Rangersów[23] na trzymiesięcznej zmianie, który widział w tej akcji swoją szansę na zlikwidowanie lub schwytanie ważnej postaci z Al-Kaidy.

– Gość chce odhaczyć pole „zabiłem dowódcę Al-Kaidy” na swojej liście, żeby zostać generałem – zażartował Scott. – To co? Dorwijmy typa!

W tamtej chwili byłem wkurzony rozkazem. Dopadnięcie ważnego dowódcy przez jednostkę pod rozkazami aktualnego dowódcy rejonu zawsze świetnie wygląda w jego papierach. Ale domyślam się, że pułkownik potrafił odczytać elementy układanki równie dobrze jak my i wiedział, że nikogo nie będzie na miejscu. Walczyliśmy z tym samym przeciwnikiem, a on i tak robił, co uważał za słuszne. Trudno nie

emocjonować się w takich sytuacjach, zwłaszcza gdy nie ma się zaufania ludzi, a stawka jest wysoka.

Podczas kolejnych lat służby nauczyłem się, że komunikacja jest najważniejsza, gdyż to ona buduje porozumienie między dowodzącymi a dowodzonymi.

Dowódca oraz szef naszej grupy bojowej zrobili, co mogli, aby wyjaśnić pułkownikowi wątpliwości związane z postawionym zadaniem, ale bez powodzenia. Dowódca grupy był naszym najwyższym stopniem oficerem i choć miał wysoką rangę, to zapewne dopiero niedawno ukończył szkolenie. Natomiast szef grupy bojowej prawdopodobnie służył dłużej w samej tylko naszej jednostce niż dowódca w marynarce. Szef był najstarszym stopniem podoficerem i traktowano go niemal jak mafijnego bossa. Ponieważ najważniejsze w naszej robocie jest doświadczenie, to właśnie najstarsi podoficerowie nami dowodzili.

Dowódca z szefem przypomnieli pułkownikowi, że widzieli już podobne budynki w trakcie poprzednich zmian w Afganistanie. Domy te były zaminowane – miały wybuchnąć, dopiero kiedy do nich wejdziemy.

Ponieważ w Afganistanie byliśmy razem z Rangersami, dowódca regionalny zmieniał się co trzy miesiące – raz był to SEALs, a raz Ranger. Z powodu różnic w stylu działania nie było to dobre rozwiązanie – obie jednostki przeznaczone są do skrajnie różnych typów operacji i za każdym razem jedna ze stron próbowała dopasować drugą do siebie. Zadania mieliśmy takie same, ale sposoby na wykonywanie roboty były diametralnie inne.

Wojska lądowe, podobnie jak marynarka wojenna, mają własne sposoby działania. Różnicę można wyjaśnić w bardzo prosty sposób – Rangersi myślą i planują od góry do dołu, podczas gdy SEALsi myślą i planują od dołu do góry.

Zasadniczo rzecz biorąc, kiedy my planujemy szturm, o całej operacji decydują dowódcy poszczególnych sekcji oraz szef grupy bojowej. Jesteśmy szkoleni do samodzielnego myślenia, a nie działania jak roboty. Rangersi działają inaczej – u nich dowódca mówi: „Chcę dziś w nocy uderzyć na ten cel”. U nas dowódca może powiedzieć: „Dobra, panowie, co o tym myślicie? Czy ma sens zrobienie tego obiektu?”.

Każdy gość z mojego zespołu bojowego ma za sobą co najmniej pięć lat służby w zwykłych oddziałach SEALs. Nasi ludzie byli starsi i bardziej doświadczeni, a zaufanie w całym łańcuchu dowodzenia, zarówno w górę, jak i w dół, było budowane przez lata.

Owszem, Rangersi również brali udział w operacjach bojowych i gromadzili doświadczenia, ale zazwyczaj służyli tam znacznie młodsi żołnierze. Większość z nich miała dwadzieścia albo dwadzieścia kilka lat, podczas gdy średni wiek SEALsów z naszej jednostki wynosił trzydzieści jeden lat.

Najważniejszą różnicą było jednak wzajemne zaufanie, a raczej jego brak.

Moja sekcja zaczęła się mocno zastanawiać nad samym celem oraz tajemniczym sygnałem telefonu komórkowego, który nie zmieniał swojej pozycji. To było bez sensu. Nasz instynkt podpowiadał, aby dalej obserwować obiekt, zanim podejmie się decyzję o ataku. W tym rejonie po prostu nic się nie działo, ale nasze argumenty nie trafiały do pułkownika Rangersów. Wyglądało na to, że facet nam nie ufa, choć wydawało się, że powinien. Wreszcie wydał rozkaz przeprowadzenia operacji.

– Kurwa mać, kolejny kanapowy rozgrywający, który mówi nam, co mamy robić, a sam siedzi daleko stąd – powiedział jeden z dowódców sekcji.

– Całe szczęście, że nie jest to sprawa życia lub śmierci – zażartowałem kpiąco, wychodząc z pokoju.

Cała nasza wiara i zaufanie do pułkownika Rangersów wyparowały. Nie chciał wysłuchać tego, co mieliśmy do powiedzenia. Każdy rozsądny argument przemawiający za tym, żeby poczekać i obserwować obiekt jeszcze przez jakiś czas, został po prostu olany.

Zebraliśmy się w centrum operacyjnym, aby jeszcze raz krok po kroku omówić cały plan. Zazwyczaj przed każdą robotą dawało się wyczuć podniecenie. Często żartowaliśmy sobie, że zagraniczne rotacje były jak wyroki w więzieniu o niskim rygorze, ponieważ siedziało się w obozie, jadło się to samo gówniane żarcie jak skazańcy w Stanach i bez zgody nie można było wyjść poza ogrodzenie. Wyjazdy poza bramy bazy były zawsze lepsze niż siedzenie w środku, nawet jeśli ryzykowało się życie.

Gdy zebraliśmy się na finałową odprawę, atmosfera przed akcją była tak gęsta, że w powietrzu można było zawiesić siekierę. Doszedłem do wniosku, że w najlepszym wypadku będzie to po prostu pusta dziura i zwykła strata czasu. W najgorszym – pułapka.

– Panowie, podchodzimy maksymalnie blisko śmigłowcami, zamiast zasuwać tam na piechotę. Mamy nadzieję, że narobimy trochę hałasu i ktoś się zacznie ruszać w obiekcie.

Mieliśmy lądować tuż poza zasięgiem pocisków z granatników przeciwpancernych RPG. Zamiast lądowania daleko, tak żeby nikt nas nie usłyszał, i skradania się do celu, chcieliśmy, aby hałas krążących maszyn wystraszył ludzi w budynku i zmusił ich do ucieczki.

Oczywiście wykrycie ruchu jeszcze nie znaczyło, że nie będzie tam ludzi noszących pasy szahida. Nie byliśmy zbyt entuzjastycznie nastawieni do tego planu, ale nie było innego wyboru.

– Tak wygląda świat, w którym żyjemy, taka jest nasza praca i zrobimy wszystko, co w naszej mocy, żeby wykonać misję dobrze i tak, żeby nikomu nic się nie stało – powiedział szef grupy bojowej.

Jeden z moich mentorów w SEALs oznajmił kiedyś, że narzekanie ma swoje zasady. Każdy ma prawo dzielić się swoją opinią o zadaniu przez pięć minut. Po pięciu minutach: morda w kubeł i do roboty. Mieliśmy całe pięć minut, kiedy jechaliśmy busami do śmigłowców.

Nie miałem czasu na rozwodzenie się nad decyzjami dowódców, kiedy bus tłukł się po żwirowej drodze prowadzącej do lądowiska. Nie myślałem o pułkowniku. Nie myślałem nawet o tym, jak jestem na niego wkurzony za to, że rozkazał nam przeprowadzić działania w taki, a nie inny sposób i ustawił nas na gównianej pozycji. Próbowałem skupić się na swoim małym świecie. W mojej robocie nie ma miejsca na narzekanie – zgodnie z rozkazami miałem opanować wskazany cel. O pułkowniku poglądzimy sobie po powrocie, a jeśli teraz się nie skupię, mogę tego nie doczekać.

Usiadłem, kładąc wytłumiony pistolet maszynowy HK MP7 kaliber 4,6 milimetra na udach. Na boku kamizelki miałem granatnik M79 kaliber 40 milimetrów z obciętą lufą – nasi rusznikarze odpiłowywali kawałek lufy, odcinali kolbę, tworząc z niej chwyt pistoletowy, i dodawali miniaturowy celownik kolimatorowy, żeby zwiększyć celność. Kiedy używałem MP7,

lżejszego i mniej skutecznego na dalszym dystansie, zawsze miałem ze sobą M79 – pirackiego gnata, jak go nazywaliśmy. Gdy miałem do czynienia z celem znajdującym się w odległości powyżej stu pięćdziesięciu metrów, zawsze mogłem strzelić do niego z granatnika.

Cały sprzęt pokryty był pustynnym pikselowym kamuflażem AOR1. Moja skłonność do przejawiania objawów zaburzeń obsesyjno-kompulsyjnych zmusiła mnie do tego, aby dopasować wszystko kolorystycznie, więc część rzeczy pomalowałem. Wyniosłem nauki z pechowego skoku spadochronowego sprzed lat, kiedy przejmowałem się źle dopasowanym sprzętem, a nie samym skokiem. Teraz, lata później, czułem, że cały sprzęt stanowi część mnie. Dopasowany, czysty i dobrze złożony.

Na pokładzie śmigłowca siedzący naprzeciwko mnie strzelcy mieli pod stopami składane drabiny. Pozwalały one wchodzić na mury otaczające zabudowania i prowadzić ogień osłonowy. Wszystko było przygotowane, my również. Miałem nadzieję, że gdy tylko wylądujemy, usłyszymy meldunki z dronów rejestrujących ruch na terenie obiektu.

Usłyszałem wycie silników, kiedy rozpoczęliśmy podejście do lądowania. Tylna rampa była już otwarta, a my niecierpliwie wyczekiwaliśmy chwili, kiedy śmigłowiec wreszcie dotknie podłoża. Gdy załoga, podnosząc ogromną chmurę pyłu, posadziła maszynę na ziemi, poczuliśmy szarpnięcie. Dowódca i szef grupy bojowej cały czas utrzymywali kontakt radiowy z operatorem krążącego nad nami drona.

– Brak ruchu, powtarzam, brak ruchu w rejonie celu – usłyszałem głos szefa przez system wewnętrznej łączności.

Albo talibowie byli cholernie zdyscyplinowani, albo nikogo nie było w domu, pomyślałem, przebiegając po opuszczonej rampie.

Kiedy podążając za kolegami, oddalałem się od śmigłowca, czułem, jak mój umysł gotuje się do walki. Spodziewałem się, a właściwie skrycie liczyłem na to, że zaraz usłyszę znajomy terkot kałasznikowa albo świst odpalonego pocisku RPG. Kiedy wreszcie wyszedłem z tumanów kurzu podniesionych przez łopaty wirników, przyklęknąłem i czekałem na rozwój sytuacji.

Ustawiliśmy się w kształt litery L i wysłuchiwaliśmy hałasu śmigłowca. Kiedy ucichło ostatnie echo pracy wirnika, zapanowała absolutna cisza. Nikt nie biegał ani nie krzyczał. Wszystko robiliśmy powoli i metodycznie. Nie spieszyliśmy się.

Po co pchać się do walki albo w zasadzkę?

Okolica widziana przez gogle noktowizyjne wyglądała jak zielony księżycowy krajobraz. Kilkaset metrów przed sobą dostrzegłem ściany budynków. Wyschnięta ziemia była pełna kolein i kurzu – wyglądało na to, że żaden rolnik nie zajmował się nią od dłuższego czasu. Moje oczy przeczesywały obszar od rogu muru otaczającego zabudowania aż do linii drzew nieopodal. Często znajdowaliśmy partyzantów przyczajonych wśród drzew, ale żaden z dronów nie wychwycił obecności przeciwników przed naszym przybyciem ani po odlocie śmigłowca. Spodziewałem się, że mogą gdzieś czekać w zasadzce i uderzą na nas dopiero, kiedy wejdziemy między zabudowania. Jeśli faktycznie był to cel, ochrona dowódcy Al-Kaidy musiała być gdzieś w okolicy.

Drony nad nami nadal niczego nie zwęszyły. Wykryły jedynie dwa źródła ciepła – ludzi, najprawdopodobniej mężczyzn, stojących na dachu budynku znajdującego się ponad pięćset metrów od nas. Mogli to być niewinni rolnicy, których obudził hałas naszych śmigłowców, ale mogły to być czujki, informatorzy prawdopodobnej zasadzki.

Patrzyłem, jak snajperzy powoli wyprzedzają kolumnę i ostrożnie przemierzają pole, idąc w kierunku murów otaczających zabudowania. Dotarli do podstawy muru, rozstawili drabiny i zajęli pozycje strzeleckie. Z punktu obserwacyjnego mogli zobaczyć, co się dzieje za murami, i osłaniać nasze podejście do obiektu.

Nie ruszaliśmy się ze swoich pozycji, czekając, aż każdy ze snajperów zgłosi gotowość przez radio. Wszyscy meldowali to samo:

– Brak ruchu na terenie obiektu.

– Snajperzy, zrozumiałem. Zespół szturmowy: naprzód! – powiedział szef po radiu.

Byłem w składzie zespołu szturmowego i moja pozycja była niemal na przodzie szyku. Przed sobą widziałem Scotta. Powoli zaczęliśmy się zbliżać

do celu. Ostrożnie wybierałem drogę, stąpając po piachu i wielkich kamieniach.

– Nadal brak ruchu – powiedział szef, przekazując nam wiadomości od operatorów dronów i od naszych strzelców.

Kiedy dotarłem do muru, podążyłem za kolegami w kierunku frontowej ściany celu. Do bramy pierwszy dotarł Scott. Szedłem tuż za jego plecami, dostrzegłem więc, że brama była lekko uchylona – wręcz zapraszała do wejścia do środka. Brakowało tylko czerwonego dywanu rozwiniętego, aby uczcić nasze przybycie.

Scott przyjrzał się dokładnie bramie, poszukując śladów pułapek. Błyskawicznie rozejrzał się po podwórzu, sprawdzając, czy nikogo nie ma w środku, i powolutku zaczął otwierać bramę, wciąż obserwując podwórko.

Nie było powodów, żeby ze sobą rozmawiać, odpuściliśmy sobie nawet te wszystkie znaki rękoma à la wojownicy ninja – pracowaliśmy ze sobą już długo i dokładnie wiedzieliśmy, że jak Scott skończy swoje magiczne sztuczki, da znać, że jest gotowy. Wreszcie machnął lekko ręką, abyśmy ruszyli naprzód, i powoli wkroczyliśmy przez bramę na teren obiektu.

Minąłem go i wszedłem na podwórze. Zaraz po lewej stronie bramy zauważyłem dwie pary drzwi prowadzących do wnętrza parterowego budynku. Obórka dla zwierząt znajdowała się po prawej, w głębi podwórza. Była pusta.

Przeszedłem podwórko i ruszyłem za kolegami w stronę chaty. Gość przede mną otwierał właśnie drewniane drzwi prowadzące do pierwszego pomieszczenia. Zbliżając się do drugich drzwi, dostrzegłem, że w pierwszym pokoju świeci się światło.

Światła włączone – dobry znak, pomyślałem. Zazwyczaj oznaczało to, że ktoś jest w domu. W Afganistanie elektryczność nadal jest rzadkością, więc raczej nikt nie zostawia włączonych świateł w pustym domu.

Zatrzymałem się przed drzwiami, czekając, aż partner za plecami ściśnie mnie za ramię, dając znak, że jest gotów.

– Dajesz! – szepnął i ścisnął mój bark.

Lewą dłonią powoli otworzyłem drewniane drzwi. Stare zawiasy zaskrzypiały. W pokoju dało się wyczuć zapach kurzu, a nie typowej mieszanki gnoju i oleju do smażenia. Pokój był zupełnie ciemny.

Zanim wszedłem do środka, upewniłem się, czy nie widać żadnego ruchu. Pokój był zupełnie pusty. W większości afgańskich chat panuje straszny bajzel. Zawsze coś tam jest – koce, skrzynki z pordzewiałymi częściami, puszki po oleju – niezależnie od tego, gdzie wejdziesz. W tym pokoju nie było absolutnie niczego – poza kawałkiem kartonu na środku.

W pierwszej chwili nie byłem pewien, że to karton – w goglach noktowizyjnych ciężko było mi to ustalić. Zupełnie nie pasował do tego miejsca, zwłaszcza że wyglądał na całkiem nowy. Rzadko kiedy widzi się w Afganistanie coś zupełnie nieużywanego, więc nowy kawałek kartonu w pustym pomieszczeniu od razu stawał się podejrzany.

– Stój! – szepnąłem do kumpla za mną.

Sięgnąłem na dół i podniosłem za jedną krawędź. Okazało się, że przykrywa jakąś dziurę, ale widziałem tylko jej brzeg. Uniosłem więc większy kawałek, ale nadal niczego nie widziałem. Kątem oka dostrzegłem ostro zakończony fragment – spojrzałem nieco dalej i okazało się, że mam przed sobą spasione cielsko bomby lotniczej.

Bomba miała szary kolor i naniesione na korpusie amerykańskie oznaczenia oraz ostrzeżenia. Dziura, w której ją umieszczono, była na tyle głęboka, że stateczniki bomby znajdowały się równo z podłogą. Puściłem karton i odsunąłem się od otworu.

Zanim zdążyłem cokolwiek powiedzieć, aby ostrzec kolegów, usłyszałem krzyki na podwórzu. Dosłownie tuż przed tym, jak dotarło do mnie, że pod kartonem leży bomba. Z tego, co widziałem, przygotowana do zdalnego odpalenia.

Później się dowiedziałem, że ekipa wkraczająca do pierwszego pomieszczenia z zapalonym światłem znalazła kolejny pokój – również zupełnie pusty. Z sufitu zwisała tylko żarówka, a pod nią rozłożony był dywan. Na nim leżały dwa skrzyżowane pociski do granatnika RPG.

W tym samym momencie, w którym ja znalazłem bombę lotniczą, oni znaleźli pociski.

To była pułapka!

Widziałem, jak koledzy za mną wycofują się w stronę głównej bramy. Tak cicho i powoli, jak podeszliśmy do obiektu.

Kiedy dotarłem do bramy, Scott wciąż trzymał przy niej pozycję. Miał pilnować tyłów, ale dostrzegł dwa kable biegnące od bramy w kierunku ziemi – okazało się, że była zaminowana tak, aby eksplodować po pełnym jej otwarciu. Cieszyłem się, że uchyliliśmy ją dosłownie na kilka centymetrów więcej, niż potrzebowaliśmy. Ładunek w bramie potwierdził tylko nasze podejrzenia.

Telefon.

Pociski.

Brama.

Cały teren był jedną wielką bombą czekającą na nasze przybycie.

Pierwszy w sytuacji zorientował się Scott, kiedy zobaczył kable na tyle bramy – nie chciał zostawić jej bez kontroli, bo ktoś mógłby przez przypadek zainicjować wybuch. Kiedy każdy ze szturmowców przechodził obok niego, wchodząc i wychodząc z terenu obiektu, trzymał bramę w tak bezpiecznej pozycji, jak tylko było to możliwe.

Ostrożnie przecisnąłem się przez wyjście i ruszyłem pędem w kierunku pola. Chyba jeszcze nigdy w życiu nie biegłem tak szybko. Aż się za mną kurzyło. Dotarłem do miejsca, gdzie zostawił nas śmigłowiec, i przyklęknąłem w niewielkim wgłębieniu. Usta miałem wyschnięte na wiór – pociągnąłem wody z rurki camelbaku[24] i wyplułem na ziemię. Scott poczekał, aż wszyscy opuszczą zagrożony rejon, i jako ostatni przeszedł przez bramę. Biegiem ruszył w naszą stronę.

– Sprawdzenie stanu – powiedział szef, kiedy wracaliśmy na pozycje wyjściowe.

Byłem członkiem sekcji bojowej Alpha. Dostrzegłem, jak nasz dowódca przechodzi obok i ustala pozycję każdego z nas. W noktowizji wyglądaliśmy identycznie, więc podbiegłem do niego i zgłosiłem, że jestem. Pokazał mi kciuk i skierował się w stronę szefa zespołu.

– Alpha cała! – zameldował dowódca sekcji.

Wróciłem na swoje miejsce w płytkim rowie. Radio ożyło i usłyszałem wymianę zdań pomiędzy szefem a dowódcą zespołu, którzy z naszym nawigatorem JTAC[25] ustalali szczegóły nalotu.

Nad nami krążyły dwa samoloty szturmowe A-10 Thunderbolt – mogłem usłyszeć warkot silników, kiedy zaczęły lecieć nad cel. JTAC prowadził z nimi rozmowę, podając współrzędne położenia celu oraz punkty charakterystyczne, żeby mieć pewność, że bomby spadną na właściwy obiekt.

Zasadniczym celem naszej akcji stało się wysadzenie znalezionych ładunków wybuchowych. Nikt nie miał zamiaru ich rozbrajać – byłoby to po prostu zbyt niebezpieczne. Dom był niezamieszkany i nie było obaw o przypadkowe zniszczenia. Pozostałe zabudowania znajdowały się w bezpiecznej odległości, kobiety, dzieci i inne niewinne osoby nie były więc narażone.

– Bomby w drodze, dziesięć sekund! – usłyszałem, jak JTAC melduje przez radio.

Po linii, tak aby każdy usłyszał, przekazaliśmy sobie ostrzeżenie o nalocie. Leżąc maksymalnie mocno przytulony do dna rowu, nie zdawałem sobie jeszcze sprawy z tego, jak blisko otarliśmy się o śmierć. Stawiałem sobie tylko pytanie, czy pułkownik Rangersów wyniesie jakieś wnioski z tej nauczki.

– Pięć sekund!

Staraliśmy się leżeć tak płasko jak to tylko możliwe i być tak małym jak tylko się da, bo znajdowaliśmy się stosunkowo niedaleko od celu. Charakterystyczny i do niczego innego niepodobny ryk silników A-10 stawał się coraz głośniejszy. Mimo hełmu na głowie wcisnąłem twarz głęboko w ziemię, kiedy czarne niebo rozbłysnęło, a zabudowania zniknęły w potężnej kuli ognia. Sekundy później eksplozje dwóch precyzyjnie naprowadzanych 250-funtowych bomb[26] odbijały się echem po całej dolinie. Kiedy grzmot wybuchu powoli się przetaczał, za moimi plecami A-10 poderwały się i ostro wzbiły ku górze.

Powoli się podnosiłem zza mojej osłony, kiedy nastąpiła kolejna eksplozja wzbijająca lawinę odłamków – wybuch wtórny bomby lotniczej, która czekała specjalnie na nas.

Kawałki gliny i kamieni lądowały z głuchym tąpnięciem na ziemi dookoła nas. Rzuciłem się z powrotem do rowu, próbując trzymać głowę możliwie nisko. Poczułem, jak coś ukłuło mnie w udo, przeniosłem więc

ciężar ciała na drugą stronę. Pomyślałem, że wpadłem na jakiś ostry krzak albo kolec, ale cały czas czułem coś w nodze. Przesunąłem się nieco w rowie, szukając krzaka, ale nie znalazłem niczego poza piachem. Potarłem ukłute miejsce i znowu to poczułem.

Włożyłem odzianą w rękawicę dłoń do kieszeni i wyciągnąłem z niej odłamek wielkości małej monety. Miał nieregularny kształt, a jego poszarpana krawędź wbiła mi się w nogę. Kawałek metalu był tak rozgrzany, że stopił zatyczki do uszu, które zawsze trzymałem w lewej kieszeni. Kiedy ostygł, obróciłem go między palcami i zastanawiałem się, jak w ogóle dostał się do wnętrza kieszeni. Miałem fart, że nie był większy albo nie poruszał się z większą prędkością, kiedy we mnie trafił.

– Niezłe gówno, co nie? Nie mogę się doczekać, aż nasz wódz powie pułkownikowi: „A nie mówiłem?” – usłyszałem od jednego z kolegów, kiedy przemieszczaliśmy się w kierunku lądowiska.

Czułem się dokładnie tak samo. Wszyscy byliśmy wkurwieni. Pułkownik Rangersów powinien zaufać naszej ocenie sytuacji. Trzeba było przełożyć operację o jeszcze jeden dzień i zebrać nieco więcej danych wywiadowczych. Wiedzieliśmy, że namierzony telefon był włączony i nie zmieniał pozycji. Czy trzeba było tak się spieszyć z robotą? Pułkownikowi ewidentnie brakowało czegoś, co nazywaliśmy taktyczną cierpliwością.

Powrót śmigłowcem zajął nieco czasu. Widziałem, jak w chłopakach siedzących obok mnie po prostu wrze. Było zbyt głośno, aby rozmawiać, ale z gestów i mowy ciała dało się wyczuć gniew. Ta operacja od samego początku nikomu się nie podobała – powiedzieliśmy o swoich obawach, ale nasze uwagi zostały zignorowane. Podczas gdy my narażaliśmy tyłki, oficer odpowiedzialny za wydanie rozkazu przeprowadzenia akcji najprawdopodobniej obserwował ją z bezpiecznego biura setki kilometrów stąd.

Po raz kolejny przekonywałem się, że wzajemne zaufanie jest podstawą wszystkich relacji. Nasi dowódcy musieli nam ufać, kiedy wyznaczali zadania, a jednocześnie uważnie nas słuchać, gdy mówiliśmy, że plan wymaga poprawek. Kiedy działa to wyłącznie w jednym kierunku, system po prostu się sypie. Schodząc po rampie śmigłowca, wiedziałem już, że nigdy więcej nie zaufam temu pułkownikowi.

Po powrocie jeszcze przez wiele godzin rozmawialiśmy o obawach zgłaszanych przed robotą. Oczywiście pułkownika nie było – wrócił już do Bagram. Jedną z najważniejszych lekcji wyniesionych z pierwszych lat służby było to, aby się nie poddawać emocjom – nawet jeśli racja była po mojej stronie. Pamiętam, że podczas odprawy po tej konkretnej misji parę razy musiałem się uspokajać, właściwie za każdym razem, kiedy przechodziliśmy przez etap planowania oraz działań na obiekcie.

W trakcie odprawy obracałem odłamek w dłoniach. Przypominał mi nie tylko o tym, że miałem ogromne szczęście. Przypominał, że w prosty sposób mogliśmy zginąć tylko dlatego, że jakiś niedoświadczony oficer nie chciał posłuchać rad doświadczonych specjalistów.

– No i co z tym, kurwa, zrobimy?! – wybuchł jeden z chłopaków.

– Serio, mogliśmy zginąć – dodał drugi.

Wreszcie odezwał się szef grupy bojowej:

– Dobra, panowie, wszyscy jesteśmy już zmęczeni. I wkurzeni, bo mamy ku temu powody. Zbierzemy opinie wszystkich i damy sobie dzień lub dwa na przemyślenia – powiedział.

Szef miał rację – nie było sensu dalej przeklinać pułkownika i powtarzać, że mogliśmy przez niego zginąć. Zbytnie poddawanie się emocjom zakłóca przekaz – ten będzie czytelniejszy, gdy nieco ochłoniemy. Było mało prawdopodobne, że będzie otwarty na nasze komentarze, jeśli podejdziemy do niego w sposób nieprofesjonalny.

Kilka dni później dowódca grupy bojowej miał sposobność porozmawiać z pułkownikiem i wyjaśnić mu – tak szczegółowo i spokojnie, jak tylko mógł – dlaczego decyzja o podjęciu ataku była błędna. Pozwalając opaść emocjom, dowódca mógł przejść do sedna. Jeśli w przyszłości jakaś sprawa byłaby równie niejasna, to od teraz pułkownik miał świadomość, że zawsze może skorzystać z naszej oceny danego zadania, ponieważ potwierdziliśmy, że można nam ufać przy wyborze właściwego celu. Rozmowa ta była szansą na rozpoczęcie dialogu pomiędzy naszym dowódcą a pułkownikiem Rangersów. Owszem, nadal byliśmy na niego wkurzeni, ale dla naszych wodzów nie było to pierwsze szarpanie się za rogi z wyższym dowództwem. Pamiętam, że byłem pod wrażeniem, gdy zauważyłem, że dowódca i szef są tacy ogarnięci. Oni już dawno doszli do wniosku, że

poddawanie się emocjom nikomu nie pomoże. Zamiast tego wykorzystywali spokój, opanowanie, szczerość opinii i jasny przekaz, które są kluczowe, jeśli chodzi o budowanie wzajemnego zaufania. Byłem zdumiony, że potraktowali pułkownika tak, jak traktowali młodszych SEALsów w zespole. To były umiejętności, które przez całą moją karierę wojskową chciałem opanować – a przynajmniej chciałem się nauczyć, jak nie poddawać się emocjom.

Zaufanie to jedna z tych rzeczy, których nie da się zdobyć wraz ze stopniem czy stanowiskiem. Można na nie zasłużyć na drodze prób i błędów, przez wspólne doświadczenia oraz nieustanną komunikację. Pułkownik Rangersów przez tę operację utracił moje zaufanie i musiał się bardzo starać, aby je odzyskać. Na szczęście dzięki reakcji i argumentom moich dowódców wiedział już, że następnym razem może nam ufać w kwestiach operacji. Zaufanie, jakim darzyłem Scotta i resztę ekipy, rosło wraz z każdą kolejną akcją.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Odprawa

Komunikacja

Próbowałem powstrzymać długie ziewnięcie, kiedy wreszcie dotarłem do głównej sali, gdzie zrzuciłem cały zakurzony i przepocony sprzęt. Byłem sterany, adrenalina już ze mnie zeszła, ale czułem się źle, bo nie udało nam się dopaść celu.

Zebraliśmy się w sali odpraw, gdzieś we wschodnim Afganistanie. Był środek lata 2010 roku – panował niemiłosierny upał, z powodu którego musieliśmy zabierać ze sobą dodatkowe zapasy wody. Tyle dobrego, że chociaż część zdążyłem wypić w trakcie operacji – teraz cały sprzęt ważył nieco mniej.

Dostrzegłem słońce powoli wyłaniające się zza górskich szczytów. To była naprawdę długa noc, a odprawa podsumowująca akcję nie zapowiadała się miło.

Gdzieś na północ od miasta Chost tropiliśmy dowódcę talibów. W dolinie znajdowało się mnóstwo kryjówek oraz składów z bronią i materiałami wybuchowymi. Początkowo śledziliśmy przeciwnika za pomocą środków rozpoznania i obserwacji pola walki, czyli bezzałogowych dronów. Kiedy przestali się wreszcie przemieszczać od wioski do wioski i zatrzymali się na dłużej w budynkach na końcu doliny, ruszyliśmy na nich.

Zaraz po lądowaniu, tuż poza zasięgiem pocisków z granatników przeciwpancernych, dotarły do nas meldunki o kilku uciekinierach oddalających się od celu. Ścigaliśmy ich przez parę godzin, ale w końcu główny cel nam umknął. Po powrocie do bazy spodziewałem się, że padnie wiele konkretnych pytań o to, co się stało i dlaczego przeciwnik zbiegł. Chcieliśmy wykonać robotę szybko i dobrze, ale zasady otwarcia ognia trzymały nas w ryzach – obiekt prysnął. Czym innym było trafić na miejsce, gdzie nikogo nie było, czym innym zaś świadomość, że gość tam był, a nam nie udało się go dorwać. Nie ryzykowaliśmy życia po to, żeby ponosić porażki.

Szczerze mówiąc, po długiej robocie, kiedy jesteś zmęczony, wkurzony i zły z powodu niepowodzenia, siedzenie i gadanie o tym, co się stało, jest ostatnią rzeczą, na jaką masz ochotę. Ale wziąłem już udział w wielu

odprawach podsumowujących przebieg operacji i wiedziałem, jak niezwykle ważne są one w naszej pracy.

To dzięki nim udawało się naprawiać błędy. Był to czas na zadawanie pytań i weryfikowanie, czy wszystko wykonywaliśmy tak jak trzeba. Odprawy mogą być emocjonujące, ale też całkowicie frustrujące. Mogą się przeciągać w nieskończoność i być śmiertelnie nudne. Ale nieważne, co się o nich myśli, bo prawda jest taka, że mają dla nas nieocenione znaczenie.

Wydawało mi się, że mając na względzie sytuację oraz zasady zaangażowania[27], nasza decyzja była słuszna. Wszyscy zgadzaliśmy się, że lądowanie poza zasięgiem granatników było właściwym wyborem, ale jak widać, myliliśmy się. Bez względu na to, jak bardzo może ucierpieć na tym ego, istotne było to, aby wykryć każdy element, który mógł doprowadzić do niepowodzenia operacji. Musieliśmy naprawiać błędy, a najważniejsze rzeczy dawało się ustalić właśnie podczas takich odpraw. Wyobraźcie sobie, co by było, gdyby amerykańskie wojsko nie wyciągnęło wniosków z fiaska operacji Eagle Claw (Szpon Orła), nieudanej próby odbicia zakładników w Iranie w 1980 roku.

Śledztwo przeprowadzone po akcji zakończonej niepowodzeniem wykazało istotne błędy jeszcze w fazie jej planowania – od braku spójnego punktu widzenia pomiędzy poszczególnymi rodzajami sił zbrojnych, aż do potrzeby użycia lepszego sprzętu. To właśnie ta klęska doprowadziła do tego, że dziś [redacted] jest tak skuteczną jednostką.

Odprawy pooperacyjne to czas wyciągania wniosków i modyfikowania procedur albo ich tworzenia na nowo – a wszystko to ma na celu poprawienie skuteczności. W tych dyskusjach biorą udział wszyscy w łańcuchu dowodzenia, niezależnie od stopnia i funkcji, poczynając od dowódców, a na operatorach kończąc. Podstawowym założeniem jest zebranie w jednym pokoju jak największej liczby osób – trzeba pamiętać, aby zostawić swoje ego na zewnątrz, bo inaczej nie będzie miejsca na konstruktywną i szczerą krytykę.

W drodze na spotkanie wpadłem na kumpla, Walta. Był niewysoki, ledwie sięgał mi do ramienia, ale jego pewność siebie i twardy charakter rekompensowały niski wzrost. Miał też (zdrowo) rozwinięty syndrom Napoleona i niesamowitą ilość włosów na całym ciele. Był jednym z moich

najlepszych przyjaciół i nigdy nie ukrywał się ze swoimi opiniami i przemyśleniami.

Od stóp do głów był pokryty błockiem, tak gęstym, że jego brody nie dałoby się rozczesać nawet grzebieniem. Uśmiechnąłem się na jego widok. On potrząsnął tylko głową i wykrzywił usta w grymasie. Widziałem, jak gdzieś między gęstymi kudłami błysnęły białe zęby.

– Tylko nic, kurwa, nie mów. To była kompletna bzdura. Teraz musimy ustalić, o co chodzi. Nie możemy ciągle latać i pokazywać, gdzie jesteśmy. Zwłaszcza że nie pozwalają nam zrzucić na nich bomb – powiedział.

Dowódca talibów na kilka minut przed naszym przybyciem musiał usłyszeć szum wirników śmigłowców odbijających się echem o zbocza doliny. Zadziałało to jak system wczesnego ostrzegania – gdy tylko usłyszeli śmigłowce, prysnęli. Walt i jego paka próbowali dorwać partyzantów, którzy uciekli z obiektu, ale w górach zgubili trop.

Kiedy wchodziło się na salę odpraw, można było zauważyć, że wszyscy są przybici, źli i wpienieni. Każdy z nas wyglądał inaczej, miał inny mundur, często bluzę niepasującą do spodni, niektórzy nosili brody, inni długie włosy. Każdy też trzymał coś do picia – kawę, wodę, napój energetyczny. Zapowiadało się długie zebranie.

Razem z Waltem zajęliśmy miejsca w pokoju. Chwilę później dołączył któryś z chłopaków z jego sekcji w czarnej koszulce Van Halen, którą włożył zamiast bluzy mundurowej. Białe logo zespołu wciąż było jasne i czyste – do tej pory zakrywała je kamizelka kuloodporna. Poza tym, tak jak Walt, był cały w błocie.

– Pasuje ci taka stylówa – powiedziałem, uśmiechając się do niego.

Nie odwzajemnił uśmiechu.

Nikt z nas nie chciał ryzykować, że zginie z powodu pomyłki. Jeśli mieliśmy dobrze wykonywać swoją pracę, musieliśmy znaleźć jakiś sposób, by działać zgodnie z zasadami zaangażowania, ponieważ talibowie dobrze znali nasze ograniczenia i wykorzystywali je przeciwko nam. Doskonale wiedzieli, że jeśli pozbędą się broni i zaczną uciekać, nie będziemy mogli do nich strzelać. Wiedzieli też, że jeśli wmieszają się w tłum cywilów, uda im się wymknąć. Jeśli w grę wchodziłoby tylko strzelanie albo bombardowanie wyłącznie złych gości, wojna byłaby znacznie łatwiejsza.

Ale, niestety, jest inaczej i nikt z nas nie będzie przecież strzelał do bezbronnych. Co więcej, jeśli ktoś kiedykolwiek choć nieznacznie przekroczyłby wyznaczone granice, co najmniej trzydziestu prawników pracujących dla dowództwa zajęłoby się tą sprawą.

Podczas ostatniej zmiany nie mogliśmy nawet wejść do afgańskiej chaty lub budynku bez zgody góry. Walka stawała się przez to właściwie niemożliwa do prowadzenia.

Z Waltem przyszliśmy na odprawę jako jedni z ostatnich. Zanim się zaczęła, mieliśmy minutę na uspokojenie się i odetchnięcie. Frustrację z powodu ucieczki przeciwnika musiałem zostawić za drzwiami. W trakcie odprawy pooperacyjnej nie ma miejsca na emocje, tu podstawą jest dobra komunikacja. Wziąłem dwa głębokie wdechy i wypchnąłem z głowy wszystkie myśli o porażce. Stałem się adeptem sztuki trzymania rzeczy w oddzielnych przegródkach – teraz moje myśli nie mogły być zajęte innymi sprawami.

Na jednej ze ścian namiotu przyklejono kartkę o rozmiarach plakatu, na której zapisano przebieg odprawy uwzględniający poszczególne elementy operacji:

PLANOWANIE ZADANIA
PODEJŚCIE DO CELU
DZIAŁANIA NA OBIEKCIE
ZBIERANIE DANYCH WYWIADOWCZYCH
ODWRÓT
ŁĄCZNOŚĆ
DANE WYWIADOWCZE
DOWODZENIE

Po kolei każdy z nas omawiał swoje zadanie w trakcie operacji. Jako dowódca sekcji zacząłem od omówienia naszej części, a jeśli zachodziła taka potrzeba, koledzy dodawali swoje komentarze. Nie tylko wszyscy mogli się swobodnie wypowiedzieć, ale wręcz byli do tego zachęcani.

Szef grupy streścił fazę planowania operacji, potem wszyscy przeszliśmy do poszczególnych jej elementów, zaczynając do sposobu dotarcia do celu. Przylecieliśmy na pokładach dwóch śmigłowców CH-47, lądując poza zasięgiem granatników.

Ten sposób dotarcia w rejon celu nie różnił się od metody stosowanej wcześniej. Gdy tylko śmigłowce wylądowały, w radiu usłyszeliśmy meldunki o uciekających przeciwnikach. W trakcie schodzenia po rampie byłem tuż za plecami operatora, pełniącego funkcję czujki. Zaraz po wyjściu skręciliśmy ostro w prawo i ustawiliśmy się na pozycji.

W radiu słyszałem, jak Steve, dowodzący sekcją Walta, wydaje zgodę na ruszenie w pościg za zbiegami. Jego sekcja ruszyła przez zabudowania w stronę wzgórz, poruszając się według namiarów wskaźnika laserowego zamocowanego na pokładzie drona. Czekałem na hasło rozpoczęcia szturmu na cel. Pozostałe sekcje zajęły pozycje oskrzydlające i zaczęły osłaniać podejście.

– OK, naprzód! – powiedział szef przez radio.

Ruszyliśmy w kierunku celu. Widziałem, jak inne sekcje, wraz z afgańskimi komandosami, znikają w labiryncie zabudowań. Moja ekipa okrążyła chatę i zatrzymaliśmy się przed drzwiami. Pociągnęliśmy za klamkę – drzwi były otwarte. Idący na szpicy je otworzył.

Panowały całkowite ciemności, ale przez gogle noktowizyjne widziałem całkiem nieźle. Pomieszczenie składało się z jednego dużego pokoju z kuchnią w rogu. Miejsce było zupełnie puste. Żadnych partyzantów, żadnej broni i materiałów wybuchowych. Nic.

Na zewnątrz dostrzegłem afgańskich komandosów pilnujących grupy kobiet z dziećmi. W słuchawkach wciąż słyszałem głos Steve’a ścigającego uciekających partyzantów. Zauważyłem promień lasera z drona, podążający za zbiegami. Daleko za nim byli Steve ze swoją sekcją – mogłem dostrzec markery stroboskopowe na ich hełmach, błyskające światłem widocznym jedynie w noktowizji. Próbowali zasuwać zygzakiem, żeby zdążyć przeciąć drogę wrogowi.

– Do dupy. Kiepsko to wygląda, mam nadzieję, że ich dorwą – powiedział kolega, który razem ze mną obserwował ekipę pościgową.

Przez radio Steve poprosił o udzielenie wsparcia z powietrza. Chciał, aby samolot AC-130 Spectre otworzył ogień w kierunku celu, ale nie otrzymał zgody. Ostatecznie po trwającym godzinę pościgu prowadzonym po zboczu góry i przeciągającym się w stronę nierozpoznanego terenu dowódca i szef podjęli decyzję o przerwaniu akcji. Nie było sensu dalszego ścigania partyzantów, zwłaszcza że wciąż nie otrzymaliśmy zgody na rozpoczęcie ataku z powietrza.

Dowódca zespołu bojowego wezwał śmigłowce ewakuacyjne i pierwsza maszyna wylądowała chwilę później w okolicy budynków, które opanowaliśmy. Weszliśmy po rampie i zajęliśmy siedziska z pomarańczowej taśmy. Kilka sekund później poczułem, jak wzbijamy się w powietrze i rozpoczynamy lot z powrotem do bazy.

Kolejny śmigłowiec poleciał w kierunku sekcji Steve'a i Walta. Byli zbyt daleko, żeby wracać na lądowisko pieszo, a my nie mieliśmy czasu, żeby czekać, aż zejdą z gór. Nie były to jakieś tam pagórki, tylko górskie szczyty, zimą pokryte śniegiem. Zgarnięcie ekipy przez śmigłowiec nie zapowiadało się łatwo.

Zespół Steve'a musiał się wspiąć na jeszcze jedną górę i poczekać na przybycie śmigłowca CH-47, ale okazało się, że załoga nie jest w stanie posadzić maszyny w celu podjęcia grupy. Pilot ze 160. Lotniczego Pułku Operacji Specjalnych zdecydował się wlecieć nad klif, zawisnąć w miejscu i delikatnie wysunąć klapę, tak aby znalazła się na krawędzi półki skalnej. Wirniki maszyny niemal dotykały skał. Załogi z tego pułku to najlepsi piloci na świecie – tylko oni potrafili wykonać taki manewr. Sekcja Steve'a patrzyła, jak piloci tyłem parkują maszynę wielkości szkolnego autobusu przy skalnej ścianie. Podmuch z wirników podniósł chmurę żwiru i błota, które obsypały czekających na ewakuację operatorów.

Pilot ustawił otwartą rampę około metra od przepaści. Jeden po drugim ludzie z sekcji Steve'a wskakiwali na pokład śmigłowca.

– Gościu, gdyby załoga nie otworzyła wam tej rampy, to chyba do tej pory tłuklibyście się pieszo? – spytałem Walta, kiedy skończył opowiadać o przygodzie, jaka ich spotkała.

– Przez co najmniej pięć minut napierdalało w nas kamieniami. Nie wiem, czy gorsze byłoby schodzenie z gór, czy te siniaki po kamieniach, które mam teraz na całym ciele – odpowiedział Walt.

– Może to przez tę koszulkę Van Halena – rzucił jeden z SEALsów.

– Jasne, Walt. To pewnie broda i błoto spowalniały cię po drodze – dorzuciłem.

Dla nas było to śmieszne, bo sami nie musieliśmy się wspinać. Mieliśmy niezły ubaw z sekcji Steve'a, ale im nie było do śmiechu. Robili, co mogli, żeby dorwać przeciwnika, ale musieli odpuścić, bo nie było zgody na użycie lotnictwa.

– Po co to robiliśmy, tak w ogóle? Taka taktyka nie ma sensu. Nie chce mi się wierzyć, że zapierdalaliśmy po górach, a ci goście nam zwiali – stwierdził Walt.

Dołączył do niego Steve, pytając, dlaczego nie było zgody na AC-130.

– Jaki jest sens mieć Spectre nad celem, skoro i tak nie możemy go użyć? Czy ktoś nie widział, że ci goście byli partyzantami?

Steve znał odpowiedź. Nie było wątpliwości, że zbiegowie byli tymi złymi, ale zgodnie z obowiązującymi zasadami zaangażowania musieliśmy widzieć u nich broń. Kiedy drony ich namierzyły, nie było pewności, czy są uzbrojeni. Ja nie miałem żadnych wątpliwości, moi kumple również. Ale to nie my decydowaliśmy o wydaniu zgody.

– Ci goście zwiali przez nasze podejście. Nasi chłopcy zbierają baty, a ci dwaj szuszwole powinni być złapani albo załatwieni.

Talibowie wyciągali wnioski z lekcji wyniesionych przez mudżahedinów w walkach z Sowietami. Wybierali takie miejsca, do których w łatwy sposób mógł dostać się wyłącznie śmigłowiec. Czasem nie mieliśmy po prostu innego wyboru, jak tylko wylądować tuż poza zasięgiem granatników.

– Panowie, decyzję o takim sposobie lądowania podjęliśmy ze względu na ukształtowanie terenu w okolicy celu. Wiedzieliśmy, jakie niesie to ze sobą ryzyko i że mogą nas usłyszeć i uciec.

Zaczęliśmy się zastanawiać, czy dalsze stosowanie tej metody lądowania ma sens, ponieważ przeciwnik będzie się spodziewał ataku i w momencie gdy zostaniemy usłyszani, od razu rzuci się do ucieczki albo przynajmniej oddali się z rejonu celu. Jedynym sposobem, który wydawał się skuteczny, było opanowanie celu i zablokowanie wszystkich potencjalnych dróg ucieczki. Jeśli bylibyśmy w rejonie celu przed śmigłowcami, mielibyśmy

szansę ich dopaść. W przeciwnym razie czekało nas całonocne uganianie się za zbiegami.

Preferowanym sposobem podejścia do celu był pieszy patrol, który zapewniał element zaskoczenia oraz możliwość rozstawienia pozycji blokujących drogi ucieczki w momencie rozpoczęcia strzelaniny. Spojrzałem na dowódcę sekcji rozpoznania – jego zespół odpowiadał za wyznaczanie dróg podejścia oraz pozycji snajperów w rejonie celu.

– Liczba dróg umożliwiających dostęp do tej konkretnej doliny jest bardzo ograniczona. Dotarcie tam patrolu we wskazanym przedziale czasu byłoby cholernie trudne – powiedział dowódca rozpoznania.

Droga w górę doliny i przejście przez góry zajęłyby nam sześć godzin i chłopaki z rozpoznania nie mieli pewności, że uda nam się dotrzeć na czas, zwłaszcza biorąc pod uwagę liczbę ludzi w zespole szturmowym. Musieliśmy mieć ze sobą afgańskich komandosów – naszych koalicjantów – oraz dwóch żołnierzy z regularnej jednostki wojsk lądowych, odpowiedzialnej za ten rejon.

Żaden z nas nie miał wątpliwości co do tego, że ani Afgańczycy, ani żołnierze nie poradzą sobie jako uczestnicy forsownego patrolu, a tym bardziej nie było szans zmieścić się w krótszym czasie, w którym mielibyśmy dotrzeć do celu.

Od rozpoczęcia wojny co rok zmieniano obowiązujące nas zasady zaangażowania, aby lepiej pasowały do politycznych wiatrów. W momencie prowadzenia tej operacji udział afgańskich żołnierzy był konieczny. Robotę, którą wcześniej zajmowały się siły specjalne wojsk lądowych, zrzucono teraz na wszystkich, od spadochroniarzy aż po jednostki SEALs. Musieliśmy zabierać ze sobą Afgańczyków, którzy nie znali słowa po angielsku i nie wytrzymaliby dwóch minut na kursie BUD/S. Oficjalnie byli afgańskimi jednostkami elitarnymi, ale w rzeczywistości ich poziom był zaledwie nieco lepszy od zwykłych żołnierzy ANA[28].

Obowiązkowo musieliśmy zabierać stadko gości z tyłów, na przykład takich BSO[29], którzy uczestniczyli w operacji jako obserwatorzy pola walki. Byli to amerykańscy żołnierze z jednostki stacjonującej najbliżej rejonu celu. Jeśli starszyzna z wioski przyszłaby do bazy złożyć skargę czy

oskarżyć nas o zabicie niewinnych rolników, żołnierze mogliby im odpowiedzieć, że byli świadkami wydarzeń, i załagodziliby sytuację.

Nagle proste rzeczy stały się bardzo trudne. Parę razy, ze względu na ograniczenia w udźwigu śmigłowców, musieliśmy zostawić naszych operatorów w bazie, żeby to afgańscy komandosi i amerykańscy obserwatorzy mogli polecieć na akcję.

– Obserwatorzy i Afgańczycy w niczym nam nie pomagają. Czy jest jakiś sposób, aby wytłumaczyć tym na górze, że w ten sposób ograniczają nam możliwości prowadzenia operacji? – odezwałem się.

Szef niemal się zaśmiał.

– Jesteś tutaj wystarczająco długo, żeby wiedzieć, że tego nie da się zmienić. Tak już jest i musimy sobie z tym jakoś radzić – odpowiedział.

Potrząsnąłem głową i upiłem łyk kawy. Oczywiście znałem odpowiedź na swoje pytanie, ale czułem, że warto je zadać. Szczególnie że wywołana przez nie dyskusja trwała teraz w najlepsze. Wiedzieliśmy, że patrol z takim stadem ludzi się nie uda. Jeśli użyjemy śmigłowców i wylądujemy poza zasięgiem granatników, wystraszymy partyzantów i nam uciekną. Wreszcie włączył się szef i sprowadził nas na ziemię. W trakcie odprawy udało się bowiem ustalić winnych – byliśmy to my. Nikt nie rozkazał nam lądować w ten konkretny sposób. Byliśmy coraz bardziej wkurwieni na ograniczające nas zasady i na to, że cel uciekł nam sprzed nosa. Przechodziliśmy do kolejnych rund, ludzie gadali coraz głośniej i głośniej, aż w końcu cała odprawa się posypała – było w niej więcej emocji niż suchych faktów i nowych pomysłów.

– Panowie, pamiętajcie, mamy pewne zasady. Nie są nigdzie spisane, ale musimy się ich trzymać. Najważniejsze, że przedyskutowaliśmy wszystko, co zostało zrobione dobrze, i wszystko, co poszło źle. Złożymy to teraz do kupy, wyciągniemy wnioski i już nigdy więcej nie popełnimy tych samych błędów – odezwał się szef grupy bojowej.

Rozejrzałem się po pokoju i zauważyłem, jak kilku chłopaków przytakuje głowami. Ja też zgadzałem się z szefem. Nie mogliśmy cofnąć czasu i czegokolwiek naprawić.

– Pozostaje nam ustalić, czy istnieje lepszy sposób na podejście do celu. Ci goście dobrze wiedzieli, co robią. Dali nogę, kiedy usłyszeli nadlatujące

śmigłowce. Teraz niech każdy z was zastanowi się nad tym przez chwilę. Nie pokazujcie palcami na swoich kolegów ani nie zwalajcie wszystkiego na zasady. Skupcie się na szerszej perspektywie. Było jak było i wiemy już, co nie zadziałało. Pomyślmy, jak następnym razem rozwiązać to lepiej.

Odprawa pooperacyjna pozostawiła kilka otwartych kwestii i zmusiła nas do myślenia w sposób mniej konwencjonalny oraz do komunikowania się. Nadal musieliśmy znaleźć sposób, jak dostać się do celu z chmarą ludzi, których musieliśmy ze sobą zabrać.

Ponadto odprawa ucięła wszelkie spory wewnętrzne. Każdy miał możliwość wypowiedzenia się i rozwiania swoich wątpliwości. Wszyscy mogliśmy mówić otwarcie i choć w powietrzu nadal było czuć frustrację, unosiła się ona jednak wyłącznie w tamtym pomieszczeniu. Nikt jej nie wynosił poza salę odpraw, bo wszyscy dobrze wiedzieli, że podczas odprawy jest czas na jej uzewnętrznienie. Na szczerą rozmowę, bez słodzenia, bez zwracania uwagi na stopnie. Otwarta i szczera atmosfera jest tym, czego potrzeba do rozwiązywania dużych i małych problemów.

Szczególnie zapamiętałem jedną, niezbyt dla mnie komfortową odprawę, która dotyczyła właśnie mnie, gdy byłem dowódcą sekcji. Było to w Afganistanie, krótko po tym jak dowodzący moją sekcją Phil został ranny w nogę. Byliśmy już w połowie zmiany i nie spodziewałem się, że zostanę tak szybko wyznaczony na to stanowisko – liczyłem, że obowiązki te przejmę dopiero w trakcie kolejnej tury. Musiałem się oswoić z dodatkową odpowiedzialnością, a ponieważ byłem nowym dowódcą sekcji, nie chciałem niczego spartolić – wiedziałem, że szef grupy bojowej będzie wyjątkowo uważnie mnie obserwował. Na szczęście moja ośmioosobowa paka była bardziej ogarnięta niż ja, więc bycie jej wodzem stało się dla mnie znacznie łatwiejsze, niż przewidywałem.

Celem, jak zwykle, był dowódca albo sojusznik talibów. Namierzyliśmy jego kryjówkę w wiosce niedaleko granicy pakistańskiej i dopadliśmy go niemal w wyrku. Po zdobyciu obiektu i aresztowaniu typa szef rzucił hasło przygotowania do odwrotu.

Każdy z nas miał standardowy zestaw sprzętu – broń, noktowizory, kamizelki kuloodporne – i dodatkowe graty, takie jak drabiny czy młoty wyważeniowe do pokonywania drzwi. Ponadto każdy niósł coś ekstra – na moich plecach znajdowały się szczypce do cięcia metalowych prętów. Nie

pamiętam już, ile razy ktoś je wyciągał, wykorzystywał, a potem odkładał gdziekolwiek, zamiast mi je oddać. Tak działo się właściwie zawsze z całym dodatkowym wyposażeniem, które zabieraliśmy ze sobą na czas operacji. Kiedy nadszedł czas zwijania się z rejonu celu, nie mogłem znaleźć całego ekwipunku, za który byłem odpowiedzialny.

Wszyscy szykowali się do wyjścia. Była noc, panowały egipskie ciemności, a ja chciałem się upewnić, że każdy ma ze sobą swój sprzęt. Ustawialiśmy się w szyku, żeby ruszyć w kierunku lądowiska – wszedłem na kanał radiowy swojej sekcji i wywołałem Jake'a, znak wywoławczy: Alpha 8.

Jake niósł drabinę naszej sekcji i chciałem mieć pewność, że o niej nie zapomniał. Ale przypadkiem włączyłem kanał, na którym mogli mnie usłyszeć wszyscy biorący udział w akcji.

– Alpha 8, tu Alpha 1.

– Alpha 1, tu Alpha 8, dawaj.

– Wziąłeś drabinę?

– Wziąłem – odpowiedział niemal natychmiastowo.

Pozostało mi jeszcze sprawdzenie, czy zgadza się stan mojej sekcji, po czym dałem znać szefowi, że wszystko gra.

– Echo 12, tu Alpha 1. Alpha gotowa do wyjścia.

Wszyscy dowódcy pozostałych sekcji zgłosili się po kolei, ale żaden z nich nie dopytywał się swoich chłopaków, czy zabrali cały bajzel ze sobą.

– Przyjąłem. Rozpoznanie, wyprowadźcie nas stąd.

Zaraz po powrocie do bazy zrzuciliśmy cały sprzęt i usiedliśmy na odprawie. Kiedy doszliśmy do części poświęconej odwrotowi, Jake uniósł rękę.

– Słuchaj, mam pytanie. Dlaczego przez radio spytałeś mnie, czy wziąłem drabinę?

– Ale o co ci chodzi?

– To mój sprzęt i moja odpowiedzialność. Jeszcze nigdy o niej nie zapomniałem.

Trochę mnie zatkało i na początku naprawdę nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Byłem dowódcą sekcji i właściwie to miałem prawo pytać

jej członków o wszystko, na co miałem ochotę. Mogłem włączyć radio i zadać pytanie o rozmiar buta albo o to, czy rano zdążyli umyć zęby. Wtedy zrozumiałem. I od razu poczułem się jak dupek.

– Zgadza się – wydusiłem wreszcie.

Siedziałem przed całą ekipą i czułem się jak ostatnia łajza. Tak bardzo się przejmowałem tym, czy mój team robi wszystko jak należy, że zapomniałem zwrócić uwagę na swoje zachowanie. Stałem się typem dowódcy, jakim nigdy nie chciałem być – takim mikromanagerem[30]. Jasne, gdzieś z tyłu głowy wydawało mi się słuszne spytać gościa o drabinę, ponieważ był to duży grat i chciałem mieć pewność, że go nie zostawi. Ale źle zrobiłem, że nie zaufałem swojemu człowiekowi, który za ten sprzęt odpowiadał. Phil właściwie zawsze zostawiał nam załatwianie naszych spraw – ufał nam, że wykonamy swoją robotę, i odzywał się wyłącznie wtedy, kiedy musiał coś po nas poprawić. Jeśli podchodził do mnie, żeby coś mi powiedzieć, od razu wiedziałem, że nawaliłem. Mniejsza o to, wszyscy spodziewali się od nas, dowódców sekcji, że wiemy, co mamy robić. Zmarnowałem tylko czas i powietrze na pytanie Jake’a o drabinę. Teraz, na odprawie, musiałem ponieść odpowiedzialność za swój błąd.

– Czy dziś w nocy przypominałem ci o zabraniu szczypiec albo nawet broni? – spytał Jake.

– Nie.

– Właśnie. Drabina to mój sprzęt i ja za nią odpowiadam, więc ją zabrałem.

Oczywiście wiedziałem, jaki ekwipunek miał ze sobą. Moje pytanie zabrzmiało jak przejaw braku zaufania wobec kolegów, a przecież to ma dla nas ogromne znaczenie.

– Mój błąd. Zrozumiałem. Jestem dupkiem i kumam, o co ci chodzi. Nigdy więcej już tak nie zrobię.

Nie wkurzyłem się na Jake’a. Czułem wstyd i byłem na siebie wściekły.

Za to jemu należały się wyrazy uznania. Wiedział, że właściwym czasem na wypomnienie mojego błędu będzie właśnie odprawa. Gdyby nie zakomunikował mi tego szczerze i otwarcie, najprawdopodobniej przy następnej okazji postąpiłbym tak samo i istniało ryzyko, że wejdzie mi to w krew.

Zarówno odprawa po akcji z drabiną, jak i ta po nieudanej próbie pochwycenia dowódcy talibów miały duże znaczenie.

Dzień po nieudanej robocie ruszaliśmy na nowy cel. Nie było czasu zajmować się tym, co było wczoraj. Przestaliśmy się zastanawiać nad tamtą operacją, ponieważ właśnie szykowała się kolejna niebezpieczna akcja, w której musieliśmy wziąć udział jako zespół – pozbawieni wątpliwości wobec wszystkich kolegów.

Miesiąc później szef grupy bojowej wrócił do tamtej nieudanej operacji.

– Chłopy, robimy drugie podejście do tamtego tematu? – zapytał.

– Jasne! Oczywiście!

Siedziałem ze Steve'em w centrum operacyjnym. Obecni byli również szef zespołu bojowego i dowódca sekcji rozpoznania. Na płaskim monitorze wyświetlone były zdjęcia satelitarne przedstawiające cel oraz dolinę.

– Gość wrócił. Wywiad namierzył go dokładnie w tym samym domu, do którego wtedy wpadliśmy. Siedzi tam teraz z kilkoma kolesiami – powiedział szef, wskazując na jeden z budynków.

Spojrzałem na obiekt, a potem na dolinę, żeby mieć obraz całości. Chciałem jeszcze raz spróbować. Dałbym akcji kolejną szansę i nie skupiałbym się na tym, że dupek znów nam może zwiać. Ale tym razem nie chciałem dać mu okazji do tego, żeby znowu uciekł nam sprzed nosa.

– Twoja paka ma pierwszeństwo – odezwał się szef, wskazując na mnie.

Mogliśmy zdecydować, co chcemy zrobić w trakcie tej misji.

– Chcę wbić się mu na chatę.

Uwielbiałem ciężką robotę. Im większe było wyzwanie, tym bardziej chciałem się go podjąć. Im trudniejsze było zadanie, tym bardziej mi się podobało. Wiedziałem, jakie przeszkody na nas czekają – wcześniejsza odprawa pokazała problemy poprzedniego planu. Musieliśmy znaleźć sposób, aby zachować element zaskoczenia, albo kolejna próba pojmania lub zlikwidowania tamtego typa nie miałaby sensu.

Spojrzałem na dowódcę sekcji rozpoznania. Uśmiechał się.

– Znalazłem drogę, ale nie damy rady jej przejść dużym patrolem.

– Zgadzam się. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebujemy, jest pielgrzymka wędrująca przez góry. Nie ma takiej opcji – odpowiedziałem.

Z poprzedniej akcji wynieśliśmy cenną nauczkę – wróciłem myślami do odprawy i przypomniałem powody, dla których użyliśmy śmigłowców.

– Co robimy z Afgańczykami i obserwatorami? Jakaś szansa, żeby dotarli w inny sposób?

Gadaliśmy ponad godzinę i wreszcie stworzyliśmy zarys planu zgodnego z zasadami zaangażowania.

Moja sekcja wraz z sekcją rozpoznania, ratownikiem bojowym z sił powietrznych i szefem naszej grupy bojowej miała polecieć do doliny obok, a potem pieszo dotrzeć do celu. Pomysł był taki, że kiedy zajmiemy pozycje wokół zabudowań, zgłosimy gotowość, a wtedy następna sekcja plus afgańscy komandosi i obserwatorzy przylecą kolejnymi maszynami i wylądują poza zasięgiem ostrzału z granatników. My będziemy już czekać na miejscu, żeby wyłapać ewentualnych uciekinierów i przeprowadzić szturm na budynek, w momencie gdy śmigłowce dotkną kołami ziemi. Wreszcie udało się obejść dotychczasowe trudności – i to dzięki odprawie pooperacyjnej.

Przedstawiliśmy plan całej grupie bojowej i poszliśmy po sprzęt. Moja sekcja zapakowała się do śmigłowców. Zaczęliśmy akcję kilka godzin przed głównymi siłami i skierowaliśmy się na piechotę w stronę celu. Było gorąco – przeszliśmy tylko kilometr, a moja bluza była już całkowicie przesiąknięta potem. Księżyc ledwie świecił i gdyby nie gogle noktowizyjne, to właściwie nic nie byłoby widać. Przejście pasma górskiego zajęło nam parę godzin.

Patrol był długi, ale w zasadzie nic szczególnego się nie wydarzyło w jego trakcie. Cały czas byłem skoncentrowany, licząc, że cała ta ciężka praca zaowocuje sukcesem. Ostatnią rzeczą, jaką chciałem zobaczyć, była ucieczka tamtych skurwieli. Mieliśmy dobry plan, a teraz robiliśmy wszystko, żeby się udał.

Wreszcie zdobyliśmy ostatnie wzgórze, z którego widziałem splątany labirynt zabudowań gdzieś w dole. Spojrzałem na zegarek – zmieściliśmy się w czasie. Szybko zeszliśmy z gór i ruszyliśmy w kierunku dróg prowadzących do mniejszych zabudowań. Na podstawie zdjęć satelitarnych

udało się ustalić, że istnieje kilka tras prowadzących na zewnątrz. Zdecydowaliśmy się podzielić sekcje i każda z grup ustawiła się przy trasie wylotowej.

Cichaczem podeszliśmy bliżej. Kiedy zbliżaliśmy się do murów, trzymałem karabin w pełnej gotowości. Szedłem razem z innym SEALsem, swoim partnerem nurkowym – zajęliśmy pozycję i przykucnęliśmy. Nad nami krążył dron obserwujący zabudowania – nie było żadnych meldunków o ruchu przeciwnika. Kiedy wszystkie sekcje znalazły się na pozycjach, w słuchawce usłyszałem głos szefa zespołu bojowego:

– Ptaki w drodze, dwie minuty – powiedział o zbliżających się śmigłowcach.

Ponownie spojrzałem na zegarek. Już słyszałem przytłumione dudnienie łopat wirników, kiedy maszyny wleciały w dolinę i zaczęły się do nas zbliżać. Rękawem otarłem pot z twarzy. Jeśli na terenie obiektu byli jacyś partyzanci, w każdej chwili mogłem się spodziewać, że zaczną uciekać.

Sekundę później usłyszałem głos operatora bezpilotowca:

– Dwa cele opuściły obiekt i kierują się na wschód – powiedział.

To właśnie chciałem usłyszeć. Byliśmy we wschodniej części i już czekaliśmy na nich w pełnej gotowości.

Na podstawie zdjęć satelitarnych wiedziałem, że kierują się teraz w stronę długiej drogi dzielącej obszar sześciu zabudowań na pół. Tej samej trasy użyli, kiedy za pierwszym razem uderzyliśmy na cel. Na końcu ścieżki czekali Bert, jeden z nowych chłopaków w mojej sekcji, oraz ratownik bojowy z sił powietrznych.

– Alpha 4, idą do was – powiedziałem przez radio.

– Zrozumiałem – potwierdził Bert.

Śmigłowce podeszły do lądowiska na zachód od zabudowań, zrobiło się głośno. Ledwie widziałem je w tumanach kurzu, które unosiły się w powietrzu. Przez radio płynęły meldunki, kiedy reszta kolegów i afgańscy komandosi ruszyli w stronę budynków.

Chwilę później usłyszałem suche trzaski wytłumionych strzałów z karabinków – Bert z partnerem otworzyli ogień. Uzbrojeni w kałasznikowy goście wyszli z uliczki na odległość zaledwie kilku kroków i tam dopadły ich kule. Biegli szybko – zdążyli się tylko rozejrzeć na końcu

ulicy i zobaczyli Berta oraz ratownika. Próbowali się zatrzymać, by podnieść broń i złożyć się do strzału, ale nie mieli żadnych szans. Chłopaki wpakowali w nich po kilka kul, natychmiast padli martwi.

– Dwa trupy – zgłosił Bert.

Dwóch przeciwników zostało zabitych. Poczułem ulgę – dorwaliśmy ich. Za pierwszym razem się nie udało, ale nie daliśmy za wygraną. Odrobiliśmy lekcję wyniesioną z nieudanej operacji, skoncentrowaliśmy się na tym, co poszło dobrze, i na tym, co poszło źle, aż ostatecznie udało się znaleźć nowy sposób przeprowadzenia akcji.

W boju zazwyczaj nie dostaje się od losu drugiej szansy. Nie liczyliśmy, że jeszcze kiedyś uda nam się dorwać tych typów, ale zdawaliśmy sobie sprawę z tego, że wiedza wyniesiona z poprzedniej operacji będzie przydatna przy kolejnych.

Dyskusja w trakcie odprawy przyniosła upragnione korzyści – dwóch ważnych talibów już nigdy nie będzie zagrożeniem. Udało nam się wymyślić sposób, jak skutecznie zadziałać pomimo nałożonych na nas ograniczeń wynikających z zasad zaangażowania. Ta operacja oraz płynące z niej lekcje były właściwie bardzo proste. Często jednak bywa, że zarówno odprawy, jak i lekcje wcale nie są łatwe. Czasem, jeśli nie wyciągnęliśmy odpowiednich wniosków i brakowało dobrej komunikacji, ginęli ludzie.

Choć krytykowanie działań kolegów oraz przyjmowanie cudzych uwag jest bardzo trudne, to konstruktywna krytyka stanowi jedno z najważniejszych narzędzi, które pozwalają operatorom zdobyć większą skuteczność. Najtrudniejsze są szczere rozmowy z ludźmi, zwłaszcza jeśli samemu popełniło się błąd. Oczywiście wszyscy to robimy. Trzeba pamiętać, że wszelkie dyskusje i odprawy mają zasadniczy cel – zespół staje się dzięki nim lepszy. Zrozumienie, że nie chodzi tu wyłącznie o ciebie, nie jest łatwe i było jedną z najtrudniejszych rzeczy, których musiałem się nauczyć w trakcie służby. Z biegiem lat zacząłem pojmować coraz więcej i rozumieć, jak ważne są pokora i zaakceptowanie, że każdy ma prawo popełniać błędy. Nie możesz się odwrócić do nikogo plecami tylko dlatego, że coś mu nie wyszło, ale powinieneś wyciągnąć z tej sytuacji lekcję – żebyś to ty następnej nocy nie popełnił podobnego błędu.

Nauki wyniesione z boju, czasem okupione krwią, należy przekazywać dalej.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Strzelanie – manewr – komunikacja

Relacje międzyludzkie

Psy nie przestawały ujadać, kiedy zbliżaliśmy się patrolem w kierunku zabudowań.

Słyszałem je od chwili, gdy tylko ucichł odgłos łopat wirników śmigłowców. Pierwsze szczeknięcie odbiło się echem o ściany doliny zaraz po tym, jak po długim locie dokonaliśmy rytualnego siknięcia po lądowaniu. Chwilę potem usłyszałem kolejne. Kiedy ustawiliśmy się w szyku patrolowym i ruszyliśmy, brzmiało to tak, jakby każdy pies informował swojego właściciela i wszystkich partyzantów w okolicy o naszej obecności.

Za mną było już jedenaście lat służby w oddziałach SEALs i był to wystarczająco długi czas, aby objąć funkcję dowódcy sekcji. Dobrze znałem również podstawy planowania bardziej skomplikowanych operacji. Lęki nie przeszkadzały mi w podejmowaniu decyzji. Wiedziałem też, że podstawą sukcesu na polu bitwy są łączność i praca zespołowa.

To wszystko nie przyszło mi jednak łatwo.

Polecieliśmy do Kunduzu w północnym Afganistanie – oddziały niemieckie oraz innych państw koalicji zajmowały się tą częścią kraju od wielu lat, ale działania ofensywne przeprowadzano tu wyjątkowo rzadko, może zdarzyło się to kilka razy. Skupiano się głównie na budowaniu sieci dróg, szkół oraz szpitali. Przeciwnik traktował tę prowincję jako bezpieczną przystań, ponieważ właściwie nikt na niego tutaj nie polował. Mając do dyspozycji ogródek piwny oraz parę knajp na terenie bazy, też nie chciałoby mi się wystawiać nosa poza jej teren. Ale to temat na oddzielną opowieść.

Do północnego Afganistanu zostaliśmy przerzuceni po uzyskaniu informacji od służb wywiadowczych, że w tym rejonie przebywa jeden z wyższych rangą dowódców talibów. Kiedy lecieliśmy na miejsce, analitycy wciąż zbierali dane. Jeśli padłoby hasło, że mamy zielone światło do przeprowadzenia akcji, chcieliśmy być jak najbliżej celu.

Nie mieliśmy choćby bladego pojęcia o tym, jak wygląda poszukiwany typ, więc na odprawach za jego portret pamięciowy służyła jedynie sylwetka bez twarzy.

W ciągu dnia wywiadowi udało się namierzyć pozycję celu i rozpoczęto jego śledzenie z pokładu bezzałogowca – przemieszczał się z miejsca na miejsce, po drodze dołączali do niego kolejni partyzanci. Wreszcie, po zachodzie słońca, zaobserwowaliśmy, że cel wraz z obstawą zatrzymał się na noc – zazwyczaj wróg wybierał w takich sytuacjach tereny osłonięte drzewami lub pozycje, które zapewniały jaką taką ochronę i mogły służyć do obrony. Tu nasi przeciwnicy planowali odpocząć i rano ruszyć dalej. Drzewa, między którymi się ukryli, przylegały do zabudowań – była to standardowa metoda stosowana przez partyzantów. Zawsze tak robili, zmuszając ludność cywilną, by ich nakarmiła, a potem z już pełnymi brzuchami kładli się spać między drzewami. Północna część Afganistanu jest pokryta gęstą roślinnością, dlatego talibom znacznie łatwiej poruszać się tam poza czujnym wzrokiem dronów, korzystając z osłony drzew.

Kiedy przeciwnicy wieczorem dotarli na miejsce, operatorzy bezzałogowców obserwowali, jak najpierw talibowie wchodzą między budynki, a po kilku godzinach wychodzą spomiędzy nich i kierują się do lasu. Nigdy nie wyściubiali stamtąd nosa, ale nie oznaczało to, że zatrzymali się w miejscu. Równie dobrze mogli opuścić teren. Przeciwnik był wystarczająco sprytny, aby domyślać się, że jest obserwowany z powietrza, dlatego często rozbijał nie jedno, a kilka obozowisk.

W tym konkretnym przypadku wywiad był pewien, że partyzanci pozostali wśród drzew, podjęliśmy więc decyzję o rozpoczęciu operacji.

Jako dowódca sekcji korzystałem z dwóch systemów łączności równocześnie. Do jednej słuchawki miałem podpiętą radiostację do łączności wewnątrz mojej sekcji, która umożliwiała mi porozumiewanie się bezpośrednio z ekipą. Do drugiej słuchawki podłączona była radiostacja pozwalająca na kontakt z dowódcą oraz szefem zespołu bojowego, a także z operatorami dronów i lotnikami oddelegowanymi do operacji.

– Brak ruchu. Wszyscy nadal pod drzewami. Wygląda na to, że białe kombi wciąż w tym samym miejscu – powiedział operator bezzałogowca.

Do przemieszczania się pomiędzy wioskami dowódca talibów i jego obstawa używali samochodu oraz kilku motocykli. Samochód nadal był zaparkowany w tym samym miejscu obok budynków, więc mieliśmy niemal pewność, że partyzanci są nieopodal.

Przemaszerowaliśmy siedem kilometrów – ujadanie psów nie ucichło ani na moment. Próbowaliśmy robić wszystko, co w naszej mocy, aby nikt nas nie wykrył, a nasi snajperzy wybierali trasę tak, aby uniknąć okolicznych wiosek. Ale po każdym kroku słyszeliśmy szczekanie. Nie czuliśmy się z tym komfortowo.

– Wkurwiają mnie te psy. Zawsze tak wyją czy pracują dla szuszwoli? – spytał mnie Steve w trakcie krótkiej przerwy.

Steve był dowódcą kolejnej sekcji i jednym z moich najlepszych kumpli. Wyglądał jak prawdziwy chłop ze wsi – wielka klata i olbrzymie łapy. Miał też krzaczastą brodę porastającą całą twarz, przez którą wyglądał trochę jak świstak. Tyle razy robiliśmy sobie jaja z tej brody, że ostatecznie taką dostał ksywkę.

Świstaka poznałem jeszcze w trakcie Selekcji do Firmy. Kiedy codziennie pytano nas o pięciu najsłabszych i pięciu najlepszych z naszej tury, zawsze wybierałem Steve'a do najlepszej piątki. Miałem szczęście i trafiłem do tego samego szwadronu – Zespołu Bojowego – co on. Chociaż byliśmy w innych sekcjach, to właściwie „dorastaliśmy" razem – byliśmy na wszystkich zmianach bojowych i na szkoleniach. To do Steve'a szedłem po opinię na temat każdego pomysłu, który przychodził mi do głowy. Rozumieliśmy się niemal bez słów i jeśli mówił mi, że nie zgadza się w czymś ze mną albo ma dla mnie jakąś wskazówkę, zawsze go słuchałem. Jego pierwsza porada zawsze brzmiała tak samo: „Wrzuć na luz. Jak będziesz się gorączkował, to nikt cię nie będzie słuchał".

Steve był jednak w sumie bardzo podobny do mnie. I on, i ja prawie zostaliśmy raz odesłani do domu, kiedy odważyliśmy się skrytykować taktykę działania zaproponowaną przez jednego z szefów grup specjalnych. Szef ów nie wysłuchał rad i sugestii żadnego z dowódców sekcji – wymyślił plan i nie podjął dyskusji z innymi szychami w jednostce. Byliśmy świeżo upieczonymi żołnierzami, więc szef niezbyt miło przyjął słowa krytyki jego planu – groził nam odesłaniem do kraju, ale wstawili się za nami dowódcy naszych sekcji.

Zanim ja i Steve dostaliśmy własne sekcje w grupie bojowej, przez sześć lat działaliśmy razem. Jako dowódcy sekcji współpracowaliśmy niemal koncertowo – on był w stanie przewidzieć moje ruchy, a ja jego. Znaliśmy

się tak dobrze, że gdy zaczynała się strzelanina, to dokładnie wiedziałem, jak zareaguje i jakie będą dalsze kroki jego i sekcji.

W społeczności operatorów mówimy, że każdy członek zespołu musi umieć jednocześnie strzelać, przemieszczać się i utrzymywać łączność z pozostałą częścią ekipy. Strzelanie – manewr – komunikacja. Strzelanie obejmuje wszystkie umiejętności niezbędne do prowadzenia skutecznego i bezpiecznego ognia. Manewr oznacza poruszanie się i pracę zespołu w warunkach bojowych. Komunikacja zaś – wyraźne i dokładne przekazywanie kolegom tego, co chcesz zrobić.

Po wielu latach spędzonych razem w boju mogliśmy instynktownie poruszać się i reagować na sytuację. Poszukiwaliśmy SEALsów, którzy nie tylko opanowali owe umiejętności w mistrzowski sposób, ale po prostu pasowali do paki. W trakcie akcji nigdy nie musiałem się martwić o chłopaków – doskonale wiedzieli, co należy robić, kiedy w powietrzu zaczynają latać kule. Moim największym wyzwaniem jako dowódcy było uczenie ich i bycie ich mentorem także poza służbą.

Zasiadałem w komisji, która zajmowała się dopuszczaniem gości do udziału w Selekcji. Rozmowa kwalifikacyjna odbywała się po teście sprawności fizycznej – tym, który sam niemal oblałem – a jest ona chyba najbardziej stresującym elementem całego procesu. Do szybkiego biegania i robienia dużej liczby pompek nie potrzeba głowy. Tutaj chodzi o silną wolę i przygotowanie.

Większość pytań w trakcie rozmowy była skonstruowana według schematu: „Co byś zrobił, gdyby…?” i sprawdzały one uczciwość kandydata. Kluczowe było, by podać powody takiego a nie innego działania, oraz umiejętność logicznego wyjaśnienia dokonanego wyboru. Jednym z najlepszych pytań było to dotyczące czasu spędzanego na strzelnicy. Zadano mi je podczas rozmowy kwalifikacyjnej, gdy ubiegałem się o możliwość wystartowania w Selekcji i teraz ja zadawałem je innym kandydatom jako członek komisji.

– W trakcie szkolenia przygotowującego do wyjazdu na zmianę zauważasz, że zbyt mało czasu poświęca się na trening strzelecki. Chcesz strzelać więcej. Czy bierzesz z roboty amunicję do pistoletu i jedziesz na prywatną strzelnicę? – zapytała komisja.

Do dziś pamiętam moją odpowiedź.

– Tak, oczywiście! – wypaliłem błyskawicznie, siedząc w wyjściowym mundurze, świeżo ogolony i prosto po wizycie u fryzjera, i próbując wyglądać na wyluzowanego.

– A czy byłoby to zgodne z prawem? – spytał jeden ze starszych bosmanów zasiadających w komisji.

– Nie kradnę tej amunicji. Strzelam z niej. Logistyka mojego zespołu nie pozwala na trening. Nie mogę używać służbowej broni na wojskowej strzelnicy, bo najbliższa znajduje się w Camp Pendleton, czyli przeszło godzinę drogi od miejsca, w którym stacjonuję. I prawie zawsze jest zajęta. Strzelanie tą amunicją pozwoli mi na lepsze wykonywanie roboty. Poza tym, oczywiście, poinformowałbym odpowiednich ludzi w zespole o swoich zamiarach związanych z amunicją – wytłumaczyłem.

Najwidoczniej moja odpowiedź była prawidłowa, choć wtedy nie bardzo wiedziałem dlaczego. Ale po czasie spędzonym w Firmie wreszcie zrozumiałem. Takie słowa potwierdzały determinację oraz inicjatywę do przekraczania minimalnych wymagań szkoleniowych – czyli kluczowe cechy ochotnika do Selekcji. Była również świetnym przykładem tego, jak pokonywać przeszkody stojące na drodze do bycia lepszym i potwierdzała, że mogę się okazać wartościowym uzupełnieniem zespołu.

Chcieliśmy wewnętrznie zmotywowanych kandydatów, którzy staną na głowie, żeby wykonać powierzone im zadanie. Kiedy byłem członkiem komisji, chciałem dogłębnie poznać poszczególnych kandydatów, a zwłaszcza dowiedzieć się, czy będą pasowali do sposobu funkcjonowania jednostki. Przecież kiedyś któryś z tych gości mógł trafić do mojej sekcji.

„Co wnosisz do zespołu? Dlaczego to ciebie mamy wybrać do udziału w Selekcji?” – zawsze zadawałem te pytania w trakcie rozmowy.

Najczęstszą odpowiedzią kandydatów było: „Ciężko pracuję”, a zaraz po niej: „Jestem świetny w CQB”. CQB oznacza walkę w pomieszczeniach zamkniętych – czyszczenie pomieszczeń.

– I co, kurwa, z tego? – odpowiadałem. Wszyscy u nas ciężko pracują i są świetni w walce w pomieszczeniach. Chciałem mieć gości, którzy robią więcej, niż tylko wykonują polecenia. Podstawy były. Ale chciałem, żeby

każdy z nich zadawał sobie codziennie to samo pytanie: „Jak mogę się stać cennym nabytkiem dla zespołu?”.

Chcieliśmy mieć facetów, którzy cały czas prą naprzód, takich, którzy robią coś więcej niż tylko to, co wypisano w minimalnych wymogach. Każdy SEALs wykonywał swoją robotę, ale w naszej jednostce potrzebowaliśmy takich, którzy oprócz tego zapytają, co jeszcze należy zrobić. Tak właśnie zostaje się członkiem zespołu.

Jedyną drogą do sukcesu było maksymalne poświęcenie ze strony każdego z naszych ludzi, i to przez cały czas. W odróżnieniu od innych jednostek, które rekrutują kandydatów we wszystkich rodzajach sił zbrojnych, do naszej Selekcji przystąpić mogą wyłącznie komandosi z oddziałów SEALs. Mamy podobne doświadczenia wyniesione z poprzedniej służby w jednostkach morskich sił specjalnych, a właściwie każdy operator musiał spełnić podobne standardy, aby dostać się do oddziału. Wszystkie te elementy tworzą z naszej jednostki bardzo zżytą grupę. Relacje te są nie tylko bardzo ważne dla morale i środowiska pracy, ale także niezwykle cenne w walce. Wzajemna bliskość pozwala nam przewidywać ruchy kolegów, co – jak czas wielokrotnie pokazał – decydowało o sukcesie lub porażce operacji.

Kiedy dotarliśmy do skraju wielkiego błotnistego pola położonego naprzeciwko zabudowań i linii drzew, psy wciąż szczekały. W duchu pragnąłem tylko, aby w końcu się zamknęły, ale pomyślałem sobie, że być może psy zazwyczaj tak ujadają. Na szczęście przeciwnik nadal był głuchy na ich szczekanie.

Wraz z nami w akcji uczestniczyli drużyna Rangersów wojsk lądowych i paru afgańskich komandosów. Wykorzystywali różnorakie uzbrojenie, ale na tę konkretną operację wzięli ze sobą większe i cięższe karabiny maszynowe Mk48[31] strzelające amunicją kaliber 7,62 mm, które świetnie sprawdzały się przy ostrzeliwaniu miejsc porośniętych gęstą roślinnością i drzewami. Czekaliśmy, aż Rangersi i Afgańczycy cicho przejdą przez pokryty sięgającą do piersi trawą odcinek i zajmą pozycję, z której będą w stanie prowadzić ogień osłonowy. Jeśli wpadlibyśmy w szambo, mogliby nam udzielić wsparcia ogniowego ze swoich wielkich giwer. Kiedy dotarli

na miejsce, nasza ekipa ruszyła w kierunku prawej strony pola, oskrzydlając przeciwnika ukrywającego się gdzieś między drzewami.

Teren był bardzo grząski i dotarcie na pozycję zabrało nam trochę czasu. Przy linii drzew biegły rowy irygacyjne – jeśli wpadlibyśmy na kogoś pomiędzy drzewami, znalazłby się wtedy w pułapce między nami i rowem. W radiu słyszałem głos dowódcy Rangersów – jego ludzie wypatrywali wroga, ale nie wykryli żadnych śladów jego aktywności. Ruszyliśmy.

Moja sekcja szła środkiem, a przed nami poruszała się sekcja Steve'a. Panowały całkowite ciemności i nawet w goglach noktowizyjnych poruszanie się po wąskiej ścieżce było bardzo utrudnione – gałęzie skutecznie blokowały światło Księżyca i gwiazd. Wszyscy przemieszczaliśmy się ostrożnie i prawie bezszelestnie.

Doskonale wiedzieliśmy, że wystarczy jeden fałszywy ruch i partyzanci zostaną zaalarmowani o naszej obecności. Starałem się stąpać niemal na czubkach palców, żeby każdy krok był jak najlżejszy. Dookoła mogłem zauważyć promienie wskaźników laserowych widzialnych wyłącznie w noktowizji. Każdy z operatorów miał zainstalowany na broni laserowy wskaźnik celu działający w dwóch trybach. Illuminator, czyli podświetlacz laserowy IR, działa trochę jak latarka, oświetlając duży obszar, natomiast pointer, czyli wskaźnik IR, wyznacza punkt celowania. Wskaźniki pomagały nam się poruszać, zwłaszcza w gęstwinie leśnej.

Jakieś czterdzieści pięć metrów od linii drzew kątem prawego oka dostrzegłem, że Walt się zatrzymał i zamarł. Pracowałem z nim wystarczająco długo, aby rozumieć jego mowę ciała – zapewne coś dostrzegł. Nie musiał nic mówić – wiedzieliśmy, że ma kogoś na muszce.

Cały oddział się zatrzymał, a Walt z kolejnym SEALsem powoli, krok po kroku, ruszyli naprzód. Wreszcie dostrzegłem, jak Walt macha do nas ręką, ale wciąż trzyma karabinek wycelowany w podstawę wielkiego drzewa. Kiedy podszedłem bliżej i minąłem jego pozycję, dostrzegłem dwóch partyzantów śpiących na ziemi. Ich karabinki AK leżały w pobliżu, a wokół legowiska rozrzucone były śmieci – butelki po wodzie, puszki i kawałki papieru. Walt zrobił kilka kroków w głąb lasu, z bronią w gotowości – widziałem jego wskaźnik laserowy wycelowany w pierś taliba. Wraz z jeszcze jednym SEALsem został, by pilnować śpiących. Pomimo że używaliśmy wytłumionej broni, Walt podjął słuszną decyzję – wolał

obserwować przeciwników i zareagować dopiero, gdy zaczną się budzić. Nie chcieliśmy ryzykować, że strzelimy do nich, a odgłos strzału obudzi resztę.

Spotkanie śpiących talibów było zarówno dobrą, jak i złą nowiną. Dobrą, bo goście wciąż byli w pobliżu i nie uciekli. Złą, gdyż wchodziliśmy na ich teren, co w każdej chwili mogło przerodzić się w strzelaninę. W absolutnej ciszy ruszyliśmy dalej, próbując nie obudzić śpiących. Jakieś dwadzieścia pięć metrów za obozowiskiem dostrzegłem drogę prowadzącą do zabudowań, gdzie talibowie zdobyli zaopatrzenie. Przed chatą, pod wielkim drzewem, stały zaparkowane białe kombi i motocykle.

Idąc w stronę drogi, moja sekcja przemieszała się wraz z sekcją Steve'a, nie licząc Walta i innego operatora, którzy zostali przy śpiących wartownikach. Drogą w kierunku domu ruszyliśmy w piątkę – zerknąłem na lewo i zauważyłem Steve'a. Doskonale rozumiałem jego gesty. Myślał dokładnie o tym samym co ja – zaraz staniemy twarzą w twarz z przeciwnikiem. Steve przykucnął z gotowym do strzału karabinkiem HK416 przyciśniętym do ramienia. Jego wskaźnik laserowy przeczesywał ciemne drzewa na wprost nas.

Steve i strzelec karabinu maszynowego Mk46 z jego sekcji przeszli na lewe skrzydło, a moja ekipa ruszyła naprzód wzdłuż drogi. Sekcja przemieszczała się w kierunku zabudowań i kępy drzew znajdujących się za nimi. Wiedzieliśmy, że partyzanci nie mieli wystarczająco dużo czasu, aby daleko odejść. Nie spodziewaliśmy się też zastać ich na otwartej przestrzeni, ponieważ obawiali się naszych dronów. Gdyby jednak spróbowali się wydostać, wpadliby pod ogień Rangersów rozlokowanych na skraju pola. Jeśli miałoby dojść do bezpośredniego starcia, to jedynie wśród drzew, które były przed nami.

Niemal u szczytu drogi dostrzegłem leżące na ziemi koce i materace. Koce były rozrzucone i wyglądało to tak, jakby ktoś, kto jeszcze przed chwilą pod nimi leżał, bardzo szybko wstał. Na pierwszy rzut oka doliczyłem się co najmniej pięciu materacy, ale nie przejmowałem się tym, bo mój mózg szykował się do walki.

No dobra, gdzie oni, kurwa, są? – myślałem.

W tej samej chwili, w której dostrzegłem materace, zatrzymałem się i wskaźnikiem laserowym pokazałem je kolegom z sekcji. Wszyscy zastygli

i zaczęli obserwować otaczające nas drzewa. Widziałem, jak wskaźniki ich laserów prześlizgują się po pniach i konarach. Powoli przeniosłem swój wskaźnik na ciemne drzewa po lewej stronie, gdy nagle tuż przede mną wychynęła głowa i prawie natychmiast zniknęła. Zbyt szybko, aby mógł zidentyfikować, czy jest to mężczyzna, kobieta, czy może dziecko.

Ze względu na stale modyfikowane i coraz bardziej restrykcyjne zasady zaangażowania nie mogłem strzelić, ponieważ nie byłem pewien, czy cel jest partyzantem. Najprawdopodobniej jednak głowa należała do kogoś, kto przed chwilą korzystał z materacy. Jeśli tak rzeczywiście było, to przypuszczalnie ten ktoś był uzbrojony, podobnie jak wartownicy, których namierzył Walt. Nie widziałem broni, więc nie mogłem strzelić. Zaraz wszystko miało się rozstrzygnąć. To musieli być ci goście – widziałem już samochód, motocykle i puste materace i byłem prawie pewien, że łeb należał do jednego z typów, których szukaliśmy.

Nie mogąc dostrzec niczego więcej, połączyłem się przez radio.

– Panowie, mam tu jakiś ruch – szepnąłem.

Kiedy skończyłem mówić, dostrzegłem wyraźnie sylwetkę partyzanta podnoszącego się z rowu dwanaście metrów przed nami. Od razu zaczął strzelać z zasilanego taśmowo karabinu maszynowego PK.

Płomień wylotowy z lufy wyglądał tak, jakby pochodził z haubicy. Kiedy padłem na plecy, widziałem półtorametrowy ogień ziejący w naszą stronę – w goglach noktowizyjnych obraz dosłownie eksplodował jasnym błyskiem światła. Partyzant strzelał na oślep, a pociski przecinały powietrze nade mną. Huk wystrzałów skutecznie zagłuszył wszystko, łącznie z moimi rozważaniami nad zasadami zaangażowania i nad tym, co teraz zrobić. Usłyszałem, jak kumple padają, szukając osłony. Automatycznie włączył się nam tryb walki o przeżycie – niemal natychmiast musiałem wykonać serię ruchów wymijających kule rodem z *Matriksa* i twardo wylądowałem na plecach. Gdybym się rzucił głową w przód, wylądowałbym w miejscu, w którym pociski rozrywały ziemię. Tak szybko jak to możliwe, starałem się przywrzeć jak najbardziej do podłoża. Zostaliśmy przygwożdżeni w miejscu kompletnie pozbawionym jakiejkolwiek osłony. To była kwestia czasu, aż pociski z PKM zaczną trafiać w członków zespołu.

Zblokowałem karabin między nogami i otworzyłem ogień w kierunku przeciwnika. Czułem, jak łuski naboi uderzają mnie w uda. Nie celowałem

przez celownik EOTech ani nie widziałem, gdzie pada wiązka wskaźnika laserowego. Po prostu strzelałem na oślep metodą „módl się i wal”. Moja ekipa również odpowiedziała ogniem – musieliśmy posłać jak najwięcej pocisków w jego stronę, może któryś trafi.

Pociski z karabinu orały ziemię przed nami. Pociski smugowe przelatywały obok mojej twarzy, siekąc drzewa i sypiąc fragmentami gałęzi na kumpli. Jeśli któryś by się podniósł, od razu zarobiłby kulkę. Talib miał problemy z celowaniem z powodu potężnego odrzutu, ale z każdą chwilą odzyskiwał kontrolę nad bronią i strzelanie szło mu coraz lepiej.

Nagle, nie wiadomo skąd, usłyszałem coś nieopodal po lewej stronie. Cudowny dźwięk strzelającego karabinka maszynowego Mk46[32]. Zazwyczaj strzelaliśmy seriami po sześć, osiem pocisków, co pozwalało oszczędzać amunicję i lepiej kontrolować prowadzony ogień. Ale to nie były krótkie serie. Kaemista z sekcji Steve’a wcisnął spust i nie miał zamiaru przerwać. Wystrzelił jedną megadługą serię. On i Steve byli około dziewięciu metrów od nas, po lewej stronie, skąd kaemista miał doskonałą pozycję do ostrzelania przeciwnika. Widziałem, jak pociski smugowe tną drzewa i posyłają w powietrze fragmenty kory, kiedy kierował ostrzał w stronę taliba.

Ostrzał kompletnie ucichł, ale Steve z kumplem wciąż strzelali. Zaczęliśmy się wycofywać.

– W tył! – krzyknąłem do kolegów, nadal strzelając. Przy mnie był kolejny kumpel, który pomagał mi osłaniać odwrót pierwszej dwójki.

Kiedy pierwsza para uciekła kilka metrów, zajęła bezpieczną pozycję. Teraz przyszła kolej na nas. Przeturlałem się na bok i poderwałem do biegu, próbując jednocześnie trzymać się maksymalnie nisko. Wiedziałem, że mam tylko chwilę, zanim karabin maszynowy zacznie znowu strzelać. Mieliśmy szansę zejść z linii ognia. Biegnąc sprintem wzdłuż drogi, zatrzymałem się dopiero po minięciu pierwszej pary. Wycelowałem i zacząłem strzelać, aby osłonić kolejny odskok kolegów.

– Jestem! Tył, tył, tył! – krzyczałem.

Kiedy cała sekcja znalazła się ponownie przy krawędzi pola na bezpiecznych pozycjach, zaczęliśmy prowadzić ostrzał, aby Steve i strzelec karabinu maszynowego mogli się teraz wycofać. Kaemista zużył całą

dwustunabojową skrzynkę amunicji jednym pociągnięciem spustu. Kiedy wraz ze Steve'em przebiegli obok mnie, widziałem, jak gość zakłada nową skrzynkę i w biegu przeładowuje karabin.

Kiedy wszyscy byli już bezpieczni, szef grupy bojowej wydał Rangersom zgodę na otwarcie ognia. Rozpoczął się ciężki ostrzał z karabinów maszynowych, granatników i broni ręcznej. W huku wystrzałów nie dało się usłyszeć niczego innego. Rangersi postawili zasłonę ogniową – rzuciłem okiem w kierunku, z którego właśnie uciekliśmy, i dostrzegłem, jak od eksplozji drzewa rozrywają się na kawałki.

Dowódca i szef grupy siedzieli niedaleko, rozmawiając przez radiostacje.

– Przelicz ludzi i daj znać, czy wszyscy są – polecił dowódca.

Obowiązkiem dowódcy sekcji jest sprawdzenie, czy zgadza się stan osobowy ekipy. Nie mogliśmy nikogo zostawić. Doszedłem do miejsca, gdzie zebrała się moja paka.

– O kurrrrwaaa – powiedział jeden z chłopaków. Mogłem tylko dostrzec grymas jego ust, bo resztę twarzy zasłaniały mu gogle noktowizyjne.

– Co to kurwa było, chłopie?! – spytałem.

Nie wydaje mi się, żebym był wtedy w stanie wydusić z siebie jakieś w miarę sensowne zdanie, nawet gdybym bardzo chciał. Na głowie miałem teraz inne sprawy i wiedziałem, że muszę przeliczyć stan sekcji, zanim nasz JTAC wezwie wsparcie lotnicze. Jeśli ktoś z naszych został ranny gdzieś w okolicy drzew, będziemy musieli tam wrócić i zabrać go, zanim lotnictwo przeprowadzi nalot. Na szczęście wszyscy wrócili.

Włączyłem radio.

– Alpha gotów.

– Charlie gotów – powiedział Steve.

Wstrzymywałem oddech, kiedy każda z sekcji zgłaszała swój stan. Wydawało mi się niemożliwe, żeby nikt nie został ranny. Partyzanci strzelili pierwsi. To oni nas zaskoczyli, a ponieważ PKM wystrzeliwuje od sześciuset pięćdziesięciu do siedmiuset pocisków na minutę, ktoś musiał zostać trafiony.

Wszystkie sekcje się zameldowały. Nikt nie został ranny. Nie musieliśmy być dobrzy przez cały czas. Czasem po prostu lepiej jest mieć szczęście. Wciąż mieliśmy fart.

Steve i jego kaemista ocalili nam życie. Wszyscy widzieliśmy, jak rozwija się sytuacja i gdzie znajdowała się moja sekcja, a ich ekipa była na miejscu i zapewniła nam osłonę. Jeśli nie byłaby to grupa Steve'a i nie istniałaby między nami ta niezwykła więź, to na pewno ponieślibyśmy jakieś straty. Koledzy instynktownie wyczuli, co robić, biorąc pod uwagę ukształtowanie terenu i naszą reakcję na ogień przeciwnika. Myśleliśmy w ten sam sposób i znaliśmy swoje miejsce, bez zastanawiania się nad tym, kto gdzie jest.

Pomyśl o tym jak o podwórkowej i całkiem spontanicznej grze w koszykówkę, ale rozgrywanej przez zawodowców z NBA. Żaden z nich nie będzie rozrysowywał planów, siedząc na linii bocznej. Każdy z nich jest świetnym sportowcem i bez słowa potrafi zrozumieć pozostałych graczy. My robimy dokładnie to samo, tylko że nie na boisku i na pewno nie za taką kasę jak oni.

– CAS[33] w drodze – usłyszałem w radiu.

JTAC nawiązał właśnie łączność z lotnictwem – myśliwce zaczęły krążyć nad nami, przygotowując się do przeprowadzenia nalotu.

– Trzy minuty – powiedział szef grupy bojowej.

Jeśli jacyś partyzanci wciąż byli gdzieś pomiędzy drzewami, to zostały im trzy minuty na ucieczkę, zanim zaczną spadać bomby. Upewniłem się, że moja sekcja znalazła osłonę, i przygotowałem się do nalotu.

Zanurkowałem do małego rowu w oczekiwaniu na świst bomby lotniczej tuż przed eksplozją. Chwilę potem zobaczyłem rozświetlający niebo potężny błysk, ułamki sekund przed grzmotem. Mogłem rozpoznać sylwetki drzew i zabudowań na tle wybuchu, a zaraz potem zasypały nas pył i odłamki.

– Zgoda na powtórny nalot. Trzy minuty – powiedział głos w radiu.

Wybuch bomb pomiędzy drzewami po raz kolejny przekonał mnie, że lepiej nie być po tamtej stronie. Po każdej eksplozji czuło się falę sejsmiczną trzęsącą ziemią. Wydawało się, że jakiś olbrzym uderza w ziemię pięściami.

Po drugiej fali nalotu spotkałem się z dowódcą i szefem grupy bojowej oraz z dowódcami pozostałych sekcji.

– Sprawdzimy teraz tamte drzewa. Dajcie znać, kiedy wasze ekipy będą gotowe – powiedział szef.

Sekcje moja i Steve’a podniosły się z wykopu i przygotowały do ponownego wyjścia w górę drogi. Ustawiliśmy się w kolumnę i powoli ruszyliśmy w stronę drzew. Im bardziej zbliżaliśmy się do celu, tym bardziej widok kojarzył mi się z krajobrazem pól bitewnych z czasów pierwszej wojny światowej. Leje po bombach wciąż się tliły, a nadpalone i ogołocone pnie przepołowionych drzew wyglądały jak połamane zęby. Nad wszystkim unosiła się gęsta chmura dymu. Drzewa wciąż płonęły, stwarzając oślepiającą zieloną łunę w naszych goglach noktowizyjnych – właściwie nic nie było wyraźnie widać.

Gdzieś w połowie drogi zauważyłem miejsce, w którym doszło do kontaktu ogniowego – wyglądało zupełnie inaczej niż jeszcze kilka minut temu. Po gęstwinie drzew została tylko ziejąca pustką dziura. Z przodu dostrzegłem kształt o rozmiarach człowieka, leżącego w rowie. Skierowałem tam broń. Kiedy podszedłem bliżej, okazało się, że był to jeden z partyzantów. Jego ciało było mocno poparzone, a ciuchy jeszcze się dymiły. Widziałem miejsce, gdzie odłamek przeciął jego długą, workowatą koszulę. Kamizelka z magazynkami zwisała z piersi. Kolejne poparzone ciało leżało tuż obok.

Kontynuowaliśmy przeszukiwanie wypalonej okolicy, stąpając po rumowisku, omijając większe leje pozostawione przez wybuchy. Już chciałem wycofać sekcję i ruszyć w stronę obozowiska oraz zabudowań w poszukiwaniu partyzantów i danych wywiadowczych, kiedy w radiu usłyszałem głos operatora drona krążącego tuż nad nami:

– Mamy wiele poruszających się obiektów sto pięćdziesiąt metrów na zachód – ostrzegł.

Sześciu partyzantów wyskoczyło z linii drzew tuż po ostatniej fali nalotów. Była to chyba szóstka najbardziej fartownych talibów na świecie. Jakimś cudem udało im się przeżyć pierwsze starcie, nawałę ogniową Rangersów i dwa naloty bombowe.

W chwili gdy usłyszałem komunikat, spojrzałem przez ramię i po lewej dostrzegłem Steve’a i jego sekcję. Obaj myśleliśmy o tym samym – nie damy tamtym gościom żadnych szans na ucieczkę.

– Sekcja Alpha, zrozumiałem – przekazałem szefowi grupy.

Zaraz po mnie zgłosił się Steve:

– Sekcja Charlie, zrozumiałem.

Szef ucichł na chwilę.

– Przyjąłem. Alpha i Charlie, przejmujecie drona i AC-130. Dajcie znać, jeśli jeszcze czegoś potrzebujecie.

Połączyłem się z operatorem bezzałogowca.

– Tu Alpha 1. Moja sekcja to ośmiu ludzi i pies. Idziemy w kierunku zachodnim. Podaj liczbę i pozycję przeciwnika.

Operator naprowadził nas na cel, więc błyskawicznie oba zespoły wyruszyły w stronę partyzantów. Przewodnik psa bojowego puścił go przodem, widziałem, jak zwierzę przywiera nosem do ziemi w poszukiwaniu śladów zapachowych. Przez radio otrzymywaliśmy meldunki z drona.

– Alpha 1, tu dron. Mam wiele poruszających się obiektów na południowo-zachodniej krawędzi pola, mniej więcej pięćset metrów na zachód od waszej pozycji.

– Zrozumiałem. Oświetl ich.

Operator bezzałogowej maszyny uruchomił wskaźnik laserowy widoczny wyłącznie w noktowizji, który niczym gigantyczny wskaźnik do tablicy dokładnie naprowadził nas na pozycję przeciwnika. W goglach noktowizyjnych wyglądało to jak wielki palec wskazujący nam cel. Prawie jak w grze komputerowej.

Po przekroczeniu linii drzew nieco zwolniliśmy. Przed nami znajdowało się duże pole z niewielkim obwałowaniem i gęstymi drzewami na południowym skraju. Dostrzegłem, że przewodnik spuszcza psa ze smyczy i pozwala mu wyprzedzić grupę idącą w kierunku drzew. Sekcja Steve’a poruszała się prostopadle do linii drzew. Szerokim łukiem odeszli na lewo, osłaniając nasze skrzydło.

Moja sekcja skierowała się nieco bardziej na prawo w poszukiwaniu lepszej pozycji, umożliwiającej zaatakowanie przeciwnika. Tym razem nie mieliśmy do dyspozycji Rangersów – w akcji uczestniczyły tylko nasze dwie sekcje bojowe. Jeśli dojdzie do kontaktu, obie będą w stanie prowadzić ogień.

Skupiłem się na wskaźniku laserowym. Od momentu gdy minęliśmy drzewa, nie zmienił swojego położenia, co było dobrym znakiem. Ale chciałem maksymalnie się zbliżyć do talibów, zanim jeszcze będą w stanie zająć pozycje do obrony. Miałem nadzieję, że chcą się ukryć, a nie walczyć.

Rozejrzałem się. Rozproszona sekcja w ciszy przemieszczała się przez pole. Zerknąłem w lewo, w kierunku ekipy Steve'a, i zobaczyłem, jak nasz pies, Hair Missile[34], zanurkował w kępę drzew. Kiedy zniknął pomiędzy drzewami, usłyszałem krzyk przerażonego mężczyzny. Pies wyczuł zapach partyzanta i usłyszałem warczenie psa i wrzaski gościa.

Nasza sekcja pilnowała partyzantów znajdujących się przed nami. Steve i jeden ze snajperów ruszyli na pomoc psu – słyszeli krzyki przeciwnika atakowanego przez zwierzę. Ustały po kilku szybkich strzałach z wyciszonego HK416.

Steve odezwał się w radiu.

– Chłopy, uważajcie. Trafiliśmy właśnie na typa, który chował się w rowie z RPG gotowym do strzału.

Partyzanci, których ścigaliśmy, zostawili jednego ze swoich, aby czekał na nas w zasadzce, ale pies go wyczuł i najprawdopodobniej ocalił nam życie. Ci goście nie byli żółtodziobami. Nie uciekali w przerażeniu – chcieli zastawić na nas pułapkę.

– Tu Alpha 1, czy przeciwnik się rusza?

– Alpha 1, tu dron. Brak ruchu. Siedzą w miejscu, tam gdzie jest wskaźnik.

Sekcja Steve'a zaczęła się przemieszczać w stronę krawędzi drzew. Nie potrzebowałem radia, aby wiedzieć, co teraz myśli Steve. Wystarczały mi jego gesty, dlatego przemieściłem swój zespół dalej na prawe skrzydło, żeby mieć lepszą pozycję do oskrzydlenia przeciwnika. Ustawiliśmy się w perfekcyjny szyk w kształcie litery L, co pozwalało nam zaatakować talibów z dwóch stron. Bezzałogowiec wciąż wskazywał pozycję przeciwnika, a ponieważ było zupełnie ciemno, nie miał on szans nas dostrzec.

Krok po kroku doszliśmy na odległość około stu czterdziestu metrów. Nasze wskaźniki połączyły się ze wskaźnikiem laserowym drona.

Talibowie byli bez szans.

W strumieniu promieniowania podczerwonego, rozjaśniającego nam ciemności, w goglach noktowizyjnych mogliśmy doskonale odróżnić poszczególnych partyzantów. Cała piątka zajęła niewielką przestrzeń i leżała u wylotu rowu, czekając na nas.

Jeszcze tego nie wiedzieli, ale dla nich było już za późno. Nie widzieli nas, ale my widzieliśmy ich. Pierwsze strzały zabiły dwóch. Ich upadek wyglądał tak, jakby ktoś ściągnął ich niewidzialnym sznurkiem do ziemi. Wskaźniki naszych laserów tańczyły wokół nich, partyzanci uginali się i znikali w rowie. Jeden z nich zaczął na oślep pruć w naszą stronę z kałasznikowa, ale pociski z karabinka pomknęły wysoko ponad naszymi głowami. Gość padł, gdy trafiło go kilka kul.

Całe starcie trwało zaledwie kilka sekund, a jego wynik był z góry przesądzony. Ruszyliśmy do przodu i przeszukaliśmy ciała, zabierając całą broń, aby wysadzić ją w powietrze. Kiedy my zajmowaliśmy się sprawdzeniem terenu, pozostała ekipa SEALsów wraz z Rangersami zabezpieczyła rejon pierwotnego celu.

Po skończonej robocie wymaszerowaliśmy w stronę zabudowań, a potem skierowaliśmy się do śmigłowców.

Wszystko, co robimy, to nie fizyka kwantowa, ale praca zespołowa, wpajana nam przez cały okres służby w jednostkach SEALs. Jest kluczem do sukcesu. Opisana akcja była niczym spontaniczny mecz w kosza, tyle że musieliśmy się skupiać na strzelaniu, przemieszczaniu się i komunikacji.

Nie ma w tym żadnej tajemnej receptury. Każdy operator przeszedł ten sam proces szkoleniowy, sprawdził się w tych samych ekstremalnych warunkach i trenował tak intensywnie, że dochodził do punktu, w którym podstawowe zadania wykonywał na wyjątkowo wysokim poziomie. To wszystko daje nam poczucie ogromnego zaufania wobec siebie. Relacje pomiędzy Steve’em a mną wykształciły się przez wiele lat wspólnej pracy, tak że teraz potrafiliśmy stawić czoło każdej sytuacji, a wzajemne zaufanie pozwalało nam wygrywać nawet wtedy, gdy sytuacja nie rozwijała się tak, jak planowaliśmy. Ogromna waga, jaką przykładamy do tych niezwykle bliskich stosunków, często przeważała szalę na naszą korzyść i chroniła od klęski.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Idź za kumplem

Odpowiedzialność za czyny

W noc przed operacją, którą planowaliśmy przeprowadzić, zostałem wezwany do centrum koordynacyjnego. Był rok 2007 i była to moja szósta zmiana bojowa. Zamiast działać ze swoją sekcją i prowadzić akcje szturmowe, zostałem wydelegowany do pracy z różnymi agencjami rządowymi jako łącznik.

Koordynowałem wsparcie lotnicze i wspierałem planowanie na poziomie taktycznym. Byłem również odpowiedzialny za więźniów, aby zostali przekazani do właściwego miejsca osadzenia kontrolowanego przez siły koalicyjne.

Relacje pomiędzy CIA, armijnymi siłami specjalnymi oraz 82. Dywizją Powietrznodesantową były, delikatnie mówiąc, napięte. Zespół sił specjalnych chciał zorganizować patrol, ale nie miał pieniędzy dla szkolonej przez nich jednostki afgańskiej policji. Żeby ustawić zasadzkę wzdłuż szlaku używanego przez partyzantów do przekraczania granicy, musieliśmy przedstawić CONOP – dokument wyjaśniający koncepcję działań operacyjnych, który stwierdzał, że będziemy „trenować zasadzki”, aby dostać zgodę na działanie w terenie.

W tym okresie wojny wszystko spowalniała biurokracja. Żeby przeprowadzić jakąkolwiek akcję, najpierw trzeba było przygotować parę slajdów w PowerPoincie, które wyjaśniały, o co nam chodzi. Prezentacja musiała być zaakceptowana przez cały łańcuch dowodzenia, co mogło potrwać nawet kilka dni.

Gdzieś w połowie naszej zmiany dostałem rozkaz z zespołu bojowego, aby stawić się w bazie we wschodnim Afganistanie. Wiadomość była krótka i jasna.

Właściwie nikt nie słyszał o tym, żeby odwoływano nas z przydzielonych funkcji. Reszta gości z mojego zespołu bojowego była rozsiana po całym Afganistanie i zajmowała się podobną robotą. Kiedy padło polecenie powrotu, nie czułem się źle. Moje zadanie przypadło mi do gustu, a myśl, że wracam do reszty ekipy jako szturmowiec, również mnie cieszyła.

Kiedy zespół bojowy ponownie się zebrał, spotkaliśmy się w głównej sali odpraw. Odprawy odbywały się w długim, wąskim pomieszczeniu, gdzie na środku rozstawiono samodzielnie sklecone drewniane ławki. Od razu skojarzyły mi się z kościołem. Z przodu umieszczono duże, płaskie ekrany telewizyjne, na których prezentowano slajdy, nagrania wideo zarejestrowane przez drony oraz zdjęcia satelitarne. Na przeciwnej ścianie rozwieszono mapy Afganistanu oraz rejonów przygranicznych. Oprócz tego pełno było diagramów przedstawiających kluczowych graczy w różnych komórkach talibów i Al-Kaidy, których mieliśmy dorwać.

W sali było mnóstwo osób, brakowało miejsc siedzących. Odprawę rozpoczął dowódca zespołu bojowego, który poinformował nas, że według źródeł wywiadowczych w rejonie Tora Bora widziano przywódcę Al-Kaidy Osamę bin Ladena. W tym samym miejscu, gdzie w 2001 roku wymknął się siłom amerykańskim.

Bitwa o Tora Bora rozpoczęła się 12 grudnia 2001 roku i trwała pięć dni. Podejrzewano, że bin Laden ukrywa się w kompleksie jaskiń Tora Bora (nazwa ta w języku paszto oznacza „czarny pył”), położonym w Safed Koh (Biała Góra), nieopodal Przełęczy Chajberskiej. Plotki głosiły, że jego kwatera główna mieści się w wielopoziomowym labiryncie skalnym, zasilanym przez hydroelektrownię napędzaną przez górskie strumienie, z niemal hotelowymi korytarzami i pomieszczeniami dla tysiąca partyzantów. Jaskinie te były historycznym, bezpiecznym schronieniem dla Afgańczyków – w latach osiemdziesiątych XX wieku CIA zafundowało im wiele usprawnień w ramach wspierania mudżahedinów walczących z radzieckimi wojskami, które najechały Afganistan.

W trakcie walk w 2001 roku żołnierzom udało się odkryć potężne składy broni, wśród których znajdowały się pociski Stinger[35] pochodzące z amerykańskich dostaw. Połączone siły amerykańskie i afgańskie zdobyły pozycje talibów i Al-Kaidy, ale nie udało im się wtedy zabić ani pojmać bin Ladena, który uciekł do Pakistanu. Teraz źródło CIA informowało, że wrócił do Afganistanu.

– W Tora Bora widziano wysokiego mężczyznę w powiewającej białej szacie. Prawdopodobnie wraca z planem ostatecznej rozgrywki – powiedział dowódca.

Ja nie byłem takim optymistą.

Coś tu było nie tak. Cała operacja miała się opierać na informacjach uzyskanych od kogoś, kto twierdził, że widział wysokiego człowieka w „powiewającej białej szacie”. Dane wywiadowcze pochodzące tylko z jednego źródła informacji rzadko kiedy okazywały się trafne i zazwyczaj było to za mało, aby przekonać nas do przeprowadzenia operacji.

Nie mając innych możliwości ich potwierdzenia, we wskazany rejon wysłanych zostało mnóstwo bezzałogowców, które dzień i noc przelatywały nad Tora Bora, ale nie zaobserwowały niczego szczególnego. Śmieszna sprawa – wyglądało na to, że ludziom z wywiadu oraz planistom wysokiego szczebla wydawało się, że drona nie da się usłyszeć. W rzeczywistości jest zupełnie inaczej. Latające gdzieś pomiędzy afgańskimi górami maszyny bezzałogowe brzmią jak krążąca nad głowami kosiarka do trawy. W Afganistanie ten dźwięk oznaczać może tylko jedno – amerykańskiego drona. Jeśli nagle w jednym miejscu pojawi się kilkadziesiąt takich obiektów latających, zaraz wszyscy w okolicy wiedzą, że ktoś ich obserwuje.

Akcja miała się rozpocząć dopiero za kilka dni, ale my już pierwszej nocy byliśmy w stanie gotowości. Siedzieliśmy w temacie tak długo, że nie potrzebowaliśmy dużo czasu, żeby się przygotować do działania. Potrafiliśmy błyskawicznie myśleć i szybko zaplanować i wykonać robotę. Ale prędkie osiągnięcie stanu gotowości nie miało żadnego znaczenia, ponieważ cała operacja zaczęła się opóźniać.

Każdego dnia słyszeliśmy inną wymówkę: „Czekamy na bombowce B-1”, „Rangersi jeszcze nie dotarli”, „Siły Specjalne kierują się w ten rejon z ich afgańskimi jednostkami”.

Opóźnienia powodowane były przez szczyty wojskowej hierarchii dowodzenia i wyglądało na to, że każdy generał w Afganistanie chciał wziąć udział w tej operacji. Włączono w nią jednostki z wszystkich rodzajów sił zbrojnych, nie zapominając nawet o artyleryjskich wyrzutniach rakietowych M142 HIMARS[36] wojsk lądowych, wystrzeliwujących pociski rakietowe na spory dystans. Dla każdego znalazło się miejsce. Wyrzutnie miały wystrzelić salwę rakiet w ramach przygotowania artyleryjskiego tuż przed lądowaniem śmigłowców przewożących SEALsów.

Każdego kolejnego dnia „wujkowie dobra rada” mieli coraz to nowe pomysły. Oficerowie i sztabowcy opracowywali mniej lub bardziej porąbane scenariusze zadań do wykonania w trakcie operacji i nie wiadomo dlaczego zawsze oznaczało to więcej klamotów do zabrania.

Oprócz dodatkowych jednostek z Waszyngtonu wysłano ekspertów FBI od ludzkiego DNA. Ktoś wydał trzydzieści tysięcy dolarów na trójwymiarową mapę doliny. Używano jej tylko przez jeden dzień, a potem trafiła na tył sali odpraw, gdzie wisiała zapomniana. Zaprezentowano ją zatem jeden jedyny raz, i to prawdopodobnie wyłącznie po to, aby dokładnie nam pokazać, jak wygląda mapa kosztująca takie pieniądze.

Po kilku dniach oczekiwania siedzieliśmy przy ognisku na środku obozu, gadając o całym tym szaleństwie wokół nas, gdy podszedł do mnie jeden z kumpli.

– Siema, Master Chief[37] już cię namierzył?

– Nie, a o co chodzi?

– Nie jestem pewien, ale chyba nigdzie nie lecicie i mają dla was jakąś inną robotę.

Zaciekawiło mnie to. Poszedłem do centrum operacyjnego i kiedy tam dotarłem, wewnątrz cały czas jeszcze coś się działo. Było tam chyba ze dwanaście płaskich ekranów, a na każdym pokazywano inny rejon. Dostrzegłem chorążego na siedzeniu w rogu i skierowałem się w jego stronę.

– O co chodzi, brachu? Słyszałem, że mnie szukasz – zapytałem.

– Coś się dzieje, więc ty i Walt będziecie pracować z jakimiś gośćmi, którym pomożecie ustalić parę celów. Wieczorem macie samolot. Stamtąd ruszycie na spotkanie z łącznikiem, który poprowadzi was do granicy, niedaleko Tora Bora. Potrzebujemy was tam, żebyście skoordynowali operację blokującą. Jeśli ktoś nam pryśnie, dzięki wam nie ucieknie zbyt daleko – wtajemniczył mnie chorąży.

– Zabieram swoje graty?

– Jasne, bierzesz cały sprzęt. Ty i Walt jesteście JTAC-ami, będziecie więc mogli pomóc koordynować wsparcie lotnicze i przekazywać informacje z dronów do sił lądowych.

Walt miał być moim *swim buddy*, czyli partnerem nurkowym, według metodyki wpajanej nam w trakcie kursu BUD/S. W trakcie pierwszego dnia na plażach BUD/S dostajemy partnera. W innych jednostkach działa to tak samo, choć pod różnymi nazwami. Zarówno w walce, jak i na treningu twój partner zawsze cię ubezpiecza.

Ale idea partnera to jednak coś więcej – zawsze ma on na względzie twoje dobro i zawsze powie ci prawdę. Partner nie jest przełożonym ani podkomendnym. Jesteście równi. To on sprawdza twój spadochron, słucha twoich planów i zazwyczaj to on jest tym, który pierwszy powie: „No nie, to głupota”.

Droga do odniesienia sukcesu jest znacznie łatwiejsza, kiedy masz kogoś, kto cię pilnuje i za ciebie odpowiada. Partnerstwo jest jak droga w dwóch kierunkach. Nie możesz być wyłącznie szczery – trzeba też słuchać. W przeciwnym razie przekaz ginie gdzieś po drodze. W trakcie służby nauczyłem się, że posiadanie partnera jest czymś cennym, kiedy negocjowaliśmy zasady dowodzenia. Potrzebowałem kogoś na tym samym poziomie co ja, kto będzie mnie popierał.

Steve, dowódca sekcji Walta, był moim partnerem nurkowym przez większość służby. Razem przeszliśmy Selekcję i trafiliśmy do tego samego zespołu bojowego. Mogliśmy być ze sobą zupełnie szczerzy i kiedy mówił mi, że coś spieprzyłem albo zbyt emocjonalnie do czegoś podchodzę, słuchałem go.

W czasie pracy lub służby zawsze chce się mieć kogoś, kto będzie szczery i da ci do zrozumienia, że gadasz bzdury. Ale *swim buddy* to nie tylko gość, który cię skrytykuje, ale też bez wahania stanie za tobą murem, jeśli sprawy zaczną wymykać się spod kontroli. Nie odwróci się od ciebie, jeśli popełnisz błąd. Nie zostawi, gdy będziesz potrzebował pomocy. Jest przyjacielem, mentorem i ostatnim psychicznym bezpiecznikiem. Możesz mu bezgranicznie ufać i tak jak w trakcie kursu BUD/S możesz być pewien, że kiedy kule zaczną latać, będzie blisko ciebie.

[redacted]

[redacted]

[redacted]

Więc teraz moim partnerem miał być Walt.

Pobiegłem do pokoju i spakowałem cały sprzęt. Baza została zbudowana tak, aby pomieścić około dwustu osób, ale w ostatnim tygodniu liczba mieszkańców zwiększyła się do niemal siedmiuset. Podczas każdego posiłku w stołówce panował chaos, nie było żadnego wolnego miejsca. Gorący prysznic stał się towarem deficytowym. Najpierw skończyła się ciepła woda, potem wody nie było już wcale. Wreszcie przestały działać toalety.

W nocy siadaliśmy przy ognisku rozpalonym w środku naszego obozowisku, gdzie nabijaliśmy się z tego, jak rozrosła się nasza operacja. Teraz miała się przerodzić w kampanię zmasowanych nalotów bombowych. Na Tora Bora miało spaść teraz więcej bomb niż na cały Afganistan od samego początku działań wojennych.

– Już dawno byłoby po sprawie, gdybyśmy tam polecieli. Cały ten młyn zaraz doprowadzi do tego, że wszyscy będą wiedzieć, że kroi się coś ważnego. Kurwa, będę zdziwiony, jak jeszcze ktoś będzie w tych górach. Jeśli usłyszałbym drony krążące nad moim domem przez tydzień, to sam uciekłbym z wioski – powiedział Walt.

Całe zamieszanie panujące w naszej bazie przykuwało również uwagę Afgańczyków pracujących na jej terenie. Trudno jest utrzymać coś w całkowitej tajemnicy, jeśli ma się co najmniej pięćdziesięciu lokalnych mieszkańców zatrudnionych w obozie, zajmujących się szambem, napełnianiem beczek z wodą i pracami budowlanymi. Nie mieliśmy żadnych wątpliwości, że wszyscy dobrze wiedzą, kim jesteśmy i że szykujemy się do jakiejś poważnej roboty.

Na dodatek wraz z każdym kolejnym dniem opóźnienia operacji wzrastała możliwość przecieków. Kiedy siedzieliśmy na lądowisku

w oczekiwaniu na nasz samolot, zarówno Walt, jak i ja mieliśmy dokładnie te same przeczucia odnośnie do całej akcji. Obstawialiśmy, że nic z tego nie wyjdzie.

– Powiem ci, co się teraz stanie. Wreszcie wylądują i przez tydzień będą się szwendać po górach. Taki biwak za kilka baniek – odezwałem się wreszcie.

Walt przytaknął.

– Trochę mi ich szkoda. Ale przynajmniej będziemy mieć jakąś przygodę – powiedział.

Zostaliśmy wysłani do innego kraju Azji Centralnej. Po drodze spędziliśmy jeszcze noc w stolicy sojuszniczego państwa, a potem ruszyliśmy na granicę. Na pierwszym przystanku opiekunowie z goszczącego nas kraju powiedzieli Waltowi, że musi tu zostać. Tylko jednemu z nas pozwolą dołączyć do oddziałów operujących wzdłuż granicy. Byłem wyższy stopniem, więc padło na mnie. Pomysł z wyjazdem w stronę granicy bez kumpla wcale mi się nie podobał, ale nie miałem innego wyboru.

Po spędzeniu kolejnej nocy w Peszawarze trafiłem na lotnisko, skąd miałem złapać śmigłowiec lecący do bazy położonej przy granicy, po przeciwnej stronie Tora Bora. Zamiast Walta moimi towarzyszami zostali agent CIA przedstawiający się jako Harvey oraz specjalista od łączności z jednostki. Z Harveyem spotkałem się w ambasadzie. Był wysoki, szczupły i wciąż preferował krótką fryzurę z czasów służby w piechocie morskiej.

Były oficer artylerii ubrany był w typowy mundur „wybieramy się na wojnę” noszony przez agentów – spodnie taktyczne 5.11, polo The North Face i buty trekkingowe. Już wcześniej pracowałem z CIA i na początku chciałem nieco wyczuć tego gościa. Mieliśmy pracować razem przez co najmniej tydzień, a ja nie byłem pewien, czy rozumiał koncepcję partnerstwa tak samo jak ja.

– No to powiedz, chłopie, co masz tu do roboty? – zapytałem.

Harvey wzruszył tylko ramionami.

– Byłeś już wcześniej w tej okolicy? – dodałem.

– Nie. Siedziałem trochę w ambasadzie, ale w tej części kraju jestem po raz pierwszy – odpowiedział.

Wspaniale, jeszcze jeden typ bez pojęcia o czymkolwiek, pomyślałem. To będzie jego pierwszy raz tak blisko rejonu działań zbrojnych. Pracowałem trochę poza jednostką, spędziłem więc nieco czasu z Agencją. Wyglądało na to, że większość szpionów miała ukończone różne studia, ale w Afganistanie brakowało im zdrowego rozsądku. Więcej czasu spędzali na wewnętrznej rywalizacji. Z moich doświadczeń wynika, że CIA to jeden wielki konkurs „kto ma większego”.

Na lotnisku czekaliśmy na pasie startowym na śmigłowiec. Trzymanie się wyznaczonych ram czasowych i punktualność to coś, do czego gospodarze w goszczącym nas kraju zdecydowanie nie przywykli.

Po kilku godzinach czekania spotkaliśmy rozgadanych oficerów, którzy usadowili nas w chyba najbardziej zajeżdżonym śmigłowcu transportowym Mi-17, jaki w życiu widziałem. Mi-17, zbudowany przez Rosjan, nie miał sznytu amerykańskich maszyn. Wyglądał jak gruby owad z bąblastym kadłubem i wystającą z niego belką ogonową. Z boków odpadała farba, a pokład w kabinie był śliski od oleju i innych płynów technicznych. Znalazłem kawałek wolnego miejsca na podłodze z tyłu i liczyłem na szczęście.

Zaraz za mną na pokład wszedł Harvey, a za nim podążał nasz spec od łączności.

Maszyna powoli ożyła i wreszcie wzbiliśmy się w powietrze. Próbowałem się nieco zrelaksować i nie zwracać uwagi na płyn hydrauliczny skapujący na podłogę podczas lotu. Coś jeszcze było nie w porządku. Wydawało się, że cały śmigłowiec przechylony był na lewo – ciężar nie został właściwie rozłożony.

Szef załogi zaczął przestawiać kartony z racjami żywnościowymi, skrzynie Pelican i torby ze sprzętem, próbując rozłożyć masę ładunku. Choć mocno się starał, jego wysiłki spełzły na niczym. W międzyczasie zajął się też gotowaniem herbaty w małym elektrycznym czajniku. Pierwsze dwie szklanki trafiły, na niewielkiej srebrnej tacy, do kabiny pilotów. Dwie kolejne, podane w ten sam sposób, do Harveya i do mnie.

Upiłem łyk herbaty i starałem nie myśleć o tym, że się rozbijemy. Obok mnie siedział Harvey i w ciszy patrzył przez okno. Przez hałas silników właściwie nie dało się rozmawiać.

Bez przeszkód wylądowaliśmy w bazie. Od naszego przylotu oficerowie zachowywali się nerwowo. Kiedy chciałem pomóc przy rozładowaniu transportu, jeden z nich błyskawicznie mnie odsunął i odprowadził do stojącej nieopodal terenówki. Przywitał nas kapitan o ciemnej i wysuszonej słońcem skórze. Jego usta skrywały się pod perfekcyjnie zadbanymi wąsami.

Wyglądał na zdenerwowanego i poruszonego.

– Lepiej, żebyście zostali w wozie. Moi ludzie zabiorą wasze rzeczy na miejsce – powiedział.

Konwój wymknął się z lotniska i skierował pełną kolein drogą w kierunku budynków. Baza wyglądała zupełnie inaczej niż nasza – była właściwie otwarta, bez żadnych murów, i położona w dolinie otoczonej górami. Byliśmy tak blisko Tora Bora, że mogliśmy patrzeć na góry przed nami i obserwować, gdzie wybuchają bomby.

Samochód zatrzymał się przy budynku osłoniętym płotem. Wciąż znajdował się na terenie bazy, ale był tak daleko od miejsca, z którego przyjechaliśmy, że zasadniczo nie było nas już widać dla osób postronnych. Kiedy specjalista od łączności zajął się rozstawianiem radiostacji i komputerów, znalazłem wolny pokój i zacząłem się rozpakowywać.

Betonowy budynek zbudowany był na planie litery U. Większość pomieszczeń była pusta – każdy z nas otrzymał pokój z piętrowym łóżkiem, ale bez materaca. Była tylko rama ze sprężynami. Wkrótce przyszedł do mnie Harvey.

– Dali ci jakieś koce? – spytał, rzucając wzrokiem na mój sprzęt i karabin leżący na łóżku.

– Nie, spakowałem swój śpiwór i karimatę. Będę ich używał.

Wyglądał na wkurzonego. Spojrzał na korytarz, a potem na mnie.

– Myślisz, że mają dla nas jakieś koce?

Jako ochrona został nam przydzielony pluton żołnierzy. Mieszkali naprzeciwko, ale przez dwadzieścia cztery godziny na dobę pełnili warty na

dachu i wokół naszego budynku. Nie spodziewałem się, żeby mieli dla nas jakieś koce.

– Wątpię, ale możesz spytać – odpowiedziałem.

Wyszedł i mniej więcej pół godziny później był z powrotem. W rękach trzymał kilka koców.

– Mają ich jeszcze kilka, jeśli chcesz. Musieli obejść całą bazę, żeby je znaleźć. Nie są zbyt mili.

Nie było mowy, żebym poszedł dopytywać się o koce. Jeśli Harvey byłby moim prawdziwym partnerem nurkowym, to najpewniej zaraz bym go przywołał do porządku, ale wydaje mi się, że byłem chyba zbyt zaskoczony tym, jak bardzo nie liczył się z innymi. Prawdopodobnie wydawało mu się, że żołnierze są tu po to, aby nam usługiwać. Byliśmy gośćmi i powinniśmy się cieszyć z tego, co dostajemy. Byłem pewien, że nie będziemy spać w pięciogwiazdkowym hotelu, więc spakowałem odpowiednie rzeczy i nie miałem się zamiaru awanturować. Mój nowy kolega już dawał poznać się jako ten zły Amerykanin.

Szybko się okazało, że zadanie daleko wykracza poza poczucie komfortu i bezpieczeństwa Harveya. Nie szkolono go do takich misji, przez co wyglądał na bardziej zainteresowanego zapewnieniem sobie wygodnych warunków niż akcją. Moim zadaniem było budowanie relacji z żołnierzami, żeby w momencie gdy natkną się na zbiegów uciekających przed nalotami, pozwolili mi wyruszyć razem z nimi do walki.

W pierwszą noc po przybyciu dołączyłem do żołnierzy jedzących kolację. Podano rosół z kurczaka, chlebki *nan* i kilka talerzy świeżych warzyw. Usiedliśmy bez butów w krąg na dywanie i jedliśmy rękoma. Kilku z nich mówiło po angielsku, rozmawialiśmy więc o rejonie i o tym, jak dawno temu było to świetne miejsce na wakacje. Teraz kontrolowali je talibowie i nie było bezpieczne.

Harvey również został zaproszony na kolację, ale odmówił i został w pokoju, gdzie zjadł rację żywnościową. Pokazał się po posiłku, kiedy szukał cukru do kawy. Był tylko brązowy, który niechętnie wsypał sobie do kubka.

– Wolę kryształ. Czy mógłbyś przynieść mi trochę takiego cukru? – spytał oficera dowodzącego naszą ochroną.

W ten sposób zmarnował wszystkie szanse na przyjacielskie stosunki i już trzeciego dnia dało się zauważyć, że oficerowie z goszczącego nas kraju odnoszą się do niego z niechęcią. Jeśli Harvey nie był na swojej zmianie w centrum operacyjnym, siedział w pokoju. Wieczorami często nosił bardzo krótkie spodenki do biegania, które ledwie przesłaniały mu jajka, i koszulkę bez rękawów, odsłaniającą jego szczupłe i blade ramiona. Nie mogłem uwierzyć, że jest tak kiepski w budowaniu dobrych stosunków z innymi ludźmi. To przecież nie jest aż tak trudne.

Siły Specjalne wojsk lądowych przechodzą rozbudowane szkolenie, jak postępować z tubylcami, ale dla mnie to było coś zupełnie nowego. Wydaje mi się jednak, że i w tym wypadku moje podejście wynikało z dorastania w wiosce Eskimosów na Alasce. Czułem się dobrze wśród przedstawicieli innych kultur. Nie różniło się to zbytnio od poznawania nowych ludzi w pracy lub szkole. Bądź sobą, pozostań otwarty i szanuj swoich gospodarzy.

Harvey, mimo że pracował dla agencji zajmującej się zdobywaniem źródeł informacji i budowaniem dobrych stosunków z miejscowymi, nie miał o tym bladego pojęcia. W każdy możliwy sposób obrażał naszych gospodarzy. Od koców, przez cukier, aż po koszulkę – burzył każdy most, który udawało mi się zbudować.

Przez niego nie mogłem utrzymać dobrych stosunków z tymi ludźmi. Choć udało mi się nawiązać przyjazne relacje z żołnierzami, to w momencie gdy pojawiał się Harvey, ich zachowanie ulegało całkowitej zmianie. Ich mowa ciała zdradzała, jak bardzo nim gardzą. Facet nie czuł się odpowiedzialny za swoje czyny, myślał wyłącznie o sobie, a nie o misji. Z takim nastawieniem – zupełnie wbrew filozofii SEALsów – skazywał na klęskę powodzenie całej operacji. W jego środowisku niewiele zależało od pracy zespołowej, co mnie było zupełnie obce – dla SEALsów to zespół jest fundamentem. Do tej pory służyłem wyłącznie z ekipami prawdziwych wymiataczy, sprawdzonych profesjonalistów. Wspólne akcje z polskim GROM-em podczas mojej pierwszej zmiany w Iraku pokazywały, że świetnie potrafią oni współpracować z plutonami SEALs. Doszedłem do wniosku, że wszyscy są tacy jak my.

Wiedziałem, że jeśli moi kumple zmuszą partyzantów do ucieczki przez granicę, to nie będę mógł się wlec gdzieś z tyłu. Teraz nie byłem nawet

pewien, czy chcę ruszyć w pole z Harveyem jako partnerem. Tęskniłem za Waltem.

Kiedy ruszyła operacja po afgańskiej stronie, siedziałem w małym centrum dowodzenia i wpatrywałem się w transmisje z bezzałogowców. Komunikaty radiowe i obrazy przede mną wskazywały na to, że nikt nie rusza się w żadnym kierunku. W całym rejonie kompleksu Tora Bora nic się nie działo.

Mój zespół bojowy wylądował na szczycie opustoszałej góry dzień po moim wyjeździe. Założył tam bazę patrolową, skąd wyprowadzał patrole przeczesujące okolicę. Z trzecią falą śmigłowców przybył ekspert FBI od spraw DNA i niemal od razu dopadła go choroba wysokościowa. Dwanaście godzin później trzeba go było ewakuować z powodów medycznych. „Wujkowie dobra rada”.

Kilka razy w trakcie działań musiałem wzywać oficerów, po tym jak jeden z bezzałogowych Predatorów wykrył dużą grupę uzbrojonych ludzi poruszających się przy granicy, ale zostałem poinformowany, że to ich żołnierze. Kiedyś dron zauważył coś, co wyglądało jak obozowisko przy granicy. Mogłem dostrzec namioty oraz kilku ludzi z bronią kręcących się po okolicy. Nie wyglądali na umundurowanych, ale po małym śledztwie, w rozmowie z jednym z gospodarzy, wyszło, że jest to po prostu posterunek graniczny.

Po kilku kolejnych dniach, kiedy aktywność była niewielka lub nie było jej wcale, operacja zaczynała wytracać tempo. W końcu Pakistańczycy zadzwonili do ambasady, że już nas tu nie chcą. Następnego dnia razem z Harveyem spakowaliśmy swoje graty i załadowaliśmy się na pokład tego samego gruchota Mi-17. Pomiędzy kolejnymi filiżankami herbaty patrzyłem na góry mijane podczas lotu śmigłowcem – wciąż przekrzywionym – w kierunku stolicy, gdzie spotkałem się z Waltem. Obaj byliśmy wkurzeni, ale gotowi wrócić do prawdziwej roboty.

Powiedziałem Waltowi o przygodach z Harveyem. Uświadomiliśmy sobie, jakie mamy szczęście, że służymy w jednostce, gdzie partner odda ci wszystko, nawet ostatnią koszulę. Z Harveyem nie zrobiliśmy sobie odprawy po operacji, nie było więc możliwości przedyskutowania pewnych kwestii. Nie chciał zostać dobrym członkiem zespołu i nie czułem, żeby był po mojej stronie. Cieszyłem się, że już nigdy go nie spotkam.

Weszliśmy na pokład samolotu lecącego z powrotem do Afganistanu – podróżowaliśmy razem z kilkoma dyplomatami i żołnierzami. Ledwie zająłem swoje miejsce, gdy otworzyły się drzwi i młody pracownik Departamentu Stanu, który przed chwilą nas odprowadzał, wszedł do samolotu.

To on zorganizował nasz lot, a teraz był blady i wyglądał na zdenerwowanego. Zaraz za nim stało kilku celników z kałasznikowami. Z tego, co zrozumiałem, chcieli dokładnie wiedzieć, kto się znajduje na pokładzie, a pracownik nie potrafił im udzielić odpowiedzi. Na oko miał dwadzieścia pięć lat i pewnie przebywał na placówce zaledwie parę miesięcy.

Razem z Waltem mieliśmy w naszym bagażu broń, amunicję i cały niezbędny sprzęt bojowy. Zabraliśmy ze sobą wszystko, czego moglibyśmy potrzebować w polu – zgodnie z rozkazem.

– Zostawcie wszystkie swoje rzeczy. Powiedzieli mi, że samolot może lecieć, ale musicie najpierw wyjść. Proszę natychmiast opuścić pokład – powiedział facet z ambasady.

Na jego twarzy widać było napięcie. Wciąż spoglądał na celników. Coś było bardzo nie w porządku. Spojrzałem na celników – wyglądali na wściekłych.

Kiedy pozostali zaczęli się podnosić, Walt i ja pozbyliśmy się pistoletów, chowając je do toreb. Ruszyliśmy za pracownikiem Departamentu Stanu. Na zewnątrz, na pasie startowym, jeden ze strażników przyłożył mi karabin do głowy i zaczął krzyczeć. Podniosłem ręce i starałem się uśmiechać. Czułem się dziwnie bez pistoletu – i nie chodzi o to, że chciałem zacząć strzelać do celników. Z bronią czułem się bezpiecznie, a bez niej tak, jakbym był nagi. Walt mierzył wzrokiem strażników, oceniając sytuację. Zawsze był małym gościem z wielką osobowością.

Kilka lat wcześniej zaprosiłem Walta na SHOT Show – wielkie targi broni w Las Vegas. Zazwyczaj wybieramy się tam, aby odwiedzić różne firmy i zobaczyć, jaki nowy i przydatny sprzęt i broń są dostępne na rynku.

Pierwszego dnia przedstawiłem przyjaciela ludziom na różnych stoiskach. Drugiego dnia wszyscy pytali, co się stało z Waltem. Po trzecim dniu targów, w nocy, znalazłem go zabawiającego działaczy NRA[38].

W zębach trzymał cygaro, poklepywał się z innymi po plecach i ściskał ich dłonie – wyglądał, jakby startował w wyborach.

Wystarczyło wszakże jedno spojrzenie na strażników i już byłem pewien, że ujmująca osobowość Walta tym razem na nic się nie zda. Byliśmy w poważnych tarapatach. Nie do końca wiedzieliśmy o co w tym wszystkim chodzi, ale pewne było, że na pogadance się nie skończy.

Zapędzono nas do poczekalni obok pasa startowego. Walt usiadł na krześle obok i pod gęstą brodą mogłem zauważyć grymas irytacji. Głowę miał pochyloną i spuścił wzrok.

– To jakaś bzdura – burknął.

Na obliczach kilku dyplomatów i młodych żołnierzy zauważyliśmy stres – byli coraz bardziej zdenerwowani. Pracownika Departamentu Stanu, który zabrał nas z samolotu, nie było w pomieszczeniu, co uznałem za dobry znak. Miałem nadzieję, że pracuje nad rozwiązaniem problemu, jakikolwiek on był. Spojrzałem na naszą grupkę i muszę przyznać, że było tam kilka bardzo przestraszonych osób.

– Hej, panowie! Spokojnie, pewnie za chwilę będzie po wszystkim. Siedźmy wszyscy cicho i czekajmy na rozwój wydarzeń – powiedziałem.

W sali stało wielu uzbrojonych w karabinki AK strażników i bez wątpienia mówili po angielsku. Nie tylko mieli nas pilnować, ale także słuchać naszych rozmów – a nuż komuś by się wymsknęło coś nieodpowiedniego.

Siedzieliśmy tak niemal godzinę. Strażnicy wchodzili, domagając się okazania naszych wojskowych identyfikatorów albo paszportów. Kiedy wykonali ich kopie – a przynajmniej tak mi się wydawało – zażądali naszych praw jazdy i wszystkich innych dokumentów, jakie mieliśmy przy sobie.

Gdy unosiłem dokument w górę, zaraz strażnik wyrywał mi go z ręki. Warczał wtedy coś na mnie w urdu i odchodził. Po głowie krążyły mi różne myśli – dlaczego pozwolił odlecieć samolotowi, a nam nie? Czego właściwie szukają? Czy próbują nas zastraszyć? Zacząłem się zastanawiać, czy mam immunitet dyplomatyczny.

Wreszcie wrócił pracownik Departamentu Stanu ze strażnikami. Nikt się nie uśmiechał, ale przynajmniej twarz naszego znajomego odzyskała kolor. Już nie wyglądał na zmordowanego, raczej po prostu na zmęczonego.

– OK, możemy jechać. Idźcie do busa, zabierają nas do ambasady – powiedział.

Kiedy mijaliśmy strażników, ich niezadowolone twarze stały się jeszcze groźniejsze. Walt i ja wepchnęliśmy gościa z Departamentu Stanu do środka samochodu. Chcieliśmy wiedzieć, co się stało i gdzie jest nasz sprzęt. Nigdy nie wyjeżdżaliśmy bez broni i wyposażenia, więc czuliśmy się źle, że musieliśmy ją zostawić.

– O co chodzi? – spytał Walt.

– Udało mi się wreszcie dodzwonić do mojego szefa w ambasadzie, a on wykonał parę telefonów. Samolot mógł polecieć, ale ze swoimi bagażami spotkacie się dopiero w Afganistanie.

– OK, nasze graty są bezpieczne. O co, do kurwy nędzy, chodziło z tą całą szopką? – spytałem ze złością.

Pytanie zbiło go z tropu. Coś tam wydukał o pomyłce. Odwróciłem się do Walta i zauważyłem, że dokładnie takiej wymówki się spodziewał.

– Idę o zakład, że coś spierdoliłeś i źle wypełniłeś kwity – powiedziałem.

Nic nie odpowiedział i powtarzał tylko, że wrócimy do domu.

– Muszę posprawdzać parę rzeczy i pewnie potrwa to kilka dni, zanim będę mógł was wysłać z powrotem do Afganistanu.

Po kilku dniach pobytu na terenie ambasady dostaliśmy wreszcie zgodę na wyjazd. Po tygodniu wylądowaliśmy z Waltem w Afganistanie i nie było niczego, co mogłoby nas bardziej uszczęśliwić. Obaj przekonaliśmy się na własnej skórze, jak to jest pracować bez partnera, i żaden z nas nie miał ochoty na powtórkę. Kiedy ja doświadczałem życia z archetypem antypartnera, Walt siedział w ambasadzie. Nie miał żadnego zadania i musiał jakoś zabijać czas. Cieszyliśmy się nie tylko z tego, że znowu jesteśmy razem, ale też ze wzajemnego wsparcia.

Kiedy wreszcie doszło do tego, do czego miało dojść – zmasowanego ataku z ziemi i powietrza, siły powietrzne w zasadzie oderwały bombami szczyty od kilku gór w Tora Bora, a moi kumple ruszyli na tygodniowy camping. Po mężczyźnie w „powiewającej białej szacie” nie było śladu. Idę

o zakład, że informacje wywiadowcze z jednego źródła były błędne od samego początku. O „powiewającej białej szacie” nigdy nie zapomnieliśmy – od tego momentu stała się określeniem na operacje, które były spieprzone już u podstaw.

To konkretne zadanie zapadło mi w pamięć również z innych powodów. Praca bez wzajemnego zaufania, sprawnej komunikacji i możliwości podzielenia się szczerą opinią z partnerem – i otrzymania od niego równie szczerej odpowiedzi – była dla mnie ciężka. Dobry, zły czy jakikolwiek inny partner jest po to, aby chronić, motywować, doradzać, stawiać do pionu i – co najważniejsze – żeby być przy tobie, kiedy potrzebujesz pomocy.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Wygoda bez wygód

Dyskomfort

Było zimno jak na Syberii.

Nie bardzo zimno. Nawet nie tak zimno jak wtedy, gdy nie możesz sobie pozwolić na wyjście z domu bez czapki i rękawiczek.

Panował potworny ziąb, mróz przenikał do szpiku kości.

Nie czułem palców u stóp, a moje dłonie były odrętwiałe pomimo grubych rękawic i ogrzewaczy. Dotykanie gołymi rękami metalowych powierzchni karabinu powodowało taki ból, że wolałem trzymać dłonie w kieszeniach, licząc, że będę w stanie prowadzić ogień, kiedy wreszcie dotrzemy do celu.

Była to zimowa zmiana w 2009 roku. Wywiad śledził grupę partyzantów w dolinie na południe od Kabulu. Przeprowadziliśmy szturm na kilka ważnych obiektów, ale większość z nich okazała się pusta. W zimie wszystko spowalniało – z powodu pogody. Półetatowi partyzanci odkładali karabiny na półkę, gdy tylko robiło się zimno, i czekali na wiosenny sezon walk.

Analitycy próbowali wytropić dowódcę talibów wysokiego szczebla. Dzięki wykorzystaniu licznych źródeł, w tym dronów, udało im się ustalić miejsce jego pobytu. Na nagraniach wideo z bezzałogowców można było dostrzec, że podróżował z dużą grupą partyzantów, z którymi zatrzymał się w budynku w centrum wioski.

Powiedziano nam, że gość i jego obstawa odpowiadają za serię ataków przeprowadzonych w dolinie, w wyniku których zginęło paru żołnierzy sił koalicyjnych. W tym momencie były to dane wywiadowcze, które w zupełności wystarczały do przeprowadzenia ataku pociskami rakietowymi. W sumie nie było żadnego powodu wystawiać się na zimno i ryzykować życie w strzelaninie, skoro ktoś mógł po prostu nacisnąć guzik i zrzucić bomby na cel.

Ale ci goście nie byli zwykłymi partyzantami. Dowódca przemieszczał swoich ludzi od meczetu do meczetu i od wsi do wsi, nigdy nie zostając dłużej w jednym miejscu. Grupa była wyszkolona i znała ograniczające nas reguły. Talibowie stawali się coraz sprytniejsi i coraz skuteczniej znajdowali

metody przeciwdziałania naszej taktyce. Dobrze wiedzieli, że ze względu na zasady zaangażowania nie możemy zbombardować meczetu, ani nawet do niego wejść. Dlatego nigdy nie wystawiali z nich nosa na dłużej, niż było to konieczne.

Oznaczało to mniej więcej tyle, że będziemy musieli ruszyć w środku zimy i ich dorwać. Walka sama w sobie jest zagrożeniem, ale śnieg po pas i bardzo niskie temperatury są jeszcze groźniejsze.

Już na kursie BUD/S SEALsi szkoleni są, jak dobrze zaadaptować się w złych warunkach. Kursantów uczy się, jak się zachować w przypadku tonięcia, kiedy instruktorzy wiążą uczestnikom szkolenia ręce i wrzucają ich do wody. Podczas Piekielnego Tygodnia przez pięć i pół dnia nieustannie pływamy, biegamy i maszerujemy, mając zaledwie cztery godziny na sen każdego dnia. SEALsi działają wtedy w bardzo niesprzyjających warunkach.

Częścią bycia członkiem SEALs jest pokonywanie zimna, wyczerpania, strachu, stresu i bólu. Łatwo jest stracić cel, chęć i determinację, jeśli działa się w poczuciu dyskomfortu. Od samego początku wiemy, że nie wszystko w naszej robocie będzie łatwe i przyjemne.

Podczas kursu BUD/S koncentrowałem się na przetrwaniu do kolejnego posiłku. Jeśli doczekałem śniadania, myślałem o obiedzie. Po obiedzie myślałem o kolacji. Gdybym zaczął myśleć o tygodniach i miesiącach niełatwych wyzwań, straciłbym cel. Dlatego o nich nie myślałem.

Ten sposób rozumowania przydawał się w trakcie tur operacyjnych. Prąc w kierunku wioski, podzieliłem całe zadanie na malutkie elementy. Najpierw dojść do celu. Przeprowadzić szturm. Wrócić do domu i się ogrzać. Ale w tej chwili byłem dopiero w pierwszym punkcie. Wiedziałem, że muszę stawiać sobie małe cele i je osiągać. A po drodze może uda się zapomnieć o wszystkich trudach.

Nie bez powodu nasze motto brzmi: „Jedyny łatwy dzień był wczoraj”. Czasem żartowaliśmy, że każdy chce być SEALsem w piątek. Łatwo jest być morskim komandosem w barze albo relaksując się w gronie kolegów. Ale czymś zupełnie innym jest bycie komandosem gdzieś w środku afgańskiej zimy, gdy ma się przed sobą długą, szaloną i zimną noc.

Wywiad przez cały dzień obserwował przemieszczanie się dowódcy talibów z jednego budynku do drugiego. Wraz z nastaniem zmierzchu grupa skierowała się w głąb doliny i weszła do obiektu, który mógł być meczetem. Na obrazie przesyłanym z drona ciężko było odróżnić, która z glinianych chat pełni funkcję świątyni.

Razem ze Steve'em spotkaliśmy się w centrum operacyjnym i obserwowaliśmy nagrania z przemarszu partyzantów szlakiem poganiaczy kóz od chaty do chaty. Partyzant idący jako ostatni zostawał nieco z tyłu i sprawdzał, czy nikt za nimi nie podąża. Szli szykiem patrolowym – nie była to zgraja wieśniaków. Po kolei patrzyłem na sylwetki każdego z talibów, aż w końcu doszedłem wzrokiem do człowieka idącego jako szpica. Poruszał się przed całą grupą i czujnie wypatrywał potencjalnych oddziałów koalicyjnych, które mogłyby ich zaatakować.

– Po prostu ich zbombardujmy – powiedział Steve, kiedy patrzyliśmy, jak przeciwnik dochodzi do wsi.

– Nie widać broni. Nie ma broni, nie ma nalotu. Poza tym to ewidentnie budynki cywilne. Jest ich zbyt wiele, aby skoordynować atak – odparł jeden z analityków wywiadu.

Mogliśmy tylko bezradnie patrzeć, jak partyzanci przechodzą do kolejnego budynku, który znowu mógł być meczetem. Większość weszła do środka, aby się ogrzać, jednak na zewnątrz pozostało trzech wartowników. Dwóch zaczęło chodzić wzdłuż głównej drogi, trzeci natomiast przysiadł obok wejścia. Nie zauważyliśmy żadnej broni, ale na pewno byli strażnikami. Niby dlaczego mieliby zostać na dworze w taką pogodę? A jak często talibowie trzymali wartę bez broni? Nigdy.

Szef grupy bojowej spytał każdego z nas o zdanie.

– Chłopy, co o tym myślicie? Damy radę? – zapytał.

Spójrzmy prawdzie w oczy – jeśli nie dogadamy się w sprawie tej operacji, tamci goście uciekną. Przeprowadzą kolejne ataki albo podłożą kolejne IED[39], od których zginą amerykańscy lub koalicyjni żołnierze.

– Coś mi się zdaje, że prędzej wystawią nas na ostrzał, niż spuszczą na nich bombkę. Wszyscy zgadzamy się co do tego, że trzeba działać. Jeśli odpuścimy dzisiaj, to już później ich nie znajdziemy – powiedział Steve z niezadowoloną miną. Po chwil jednak dodał: – Wchodzę w to.

W pewnym sensie byłem zadowolony. Podczas tej zmiany niewiele się działo i wszyscy chcieliśmy ruszyć w teren. Nasza robota jest niebezpieczna – dobrze o tym wiedzieliśmy – ale lepsze to niż siedzenie na tyłkach. Nuda była gorsza niż niebezpieczeństwo.

Steve był moim partnerem i wiedziałem, że w głowie przeprowadza te same kalkulacje co ja – obaj myśleliśmy tak samo.

Cel był dobry. Poziom natężenia światła księżycowego z kolei niski – nie zero procent, ale blisko. Dowódca talibów znajdował się tak głęboko na terenie doliny kontrolowanej przez przeciwnika, że na pewno się nas nie spodziewał. Dodajmy do tego przeraźliwe zimno, silny wiatr oraz śnieg… Trzeba być nienormalnym, żeby w takich warunkach próbować ataku. Zawsze jednak wolałem trudniejsze roboty. Myślami cofnąłem się do wspomnienia zimna i trudnych warunków życia na Alasce. W takim świecie się wychowałem.

– OK. Działamy.

Wszyscy dowódcy sekcji podnieśli kciuki w górę na znak zgody.

Dowódca i szef grupy bojowej planowanie pozostawili nam. Usiadłem ze Steve’em i dowódcą sekcji rozpoznania, żeby ustalić wszystkie możliwe sposoby dotarcia do wioski i wycofania się z niej.

Aktualnie nasz cel przebywał w miejscu położonym w głębi doliny. Nie mogliśmy wylądować śmigłowcami nad celem, a jeśli wylądowalibyśmy na grzbiecie górskim w kolejnej dolinie, nie byłoby możliwości przeprowadzenia nocnego patrolu przez bardzo strome góry i konieczność marszu w głębokim śniegu. Nie zdążylibyśmy przed świtem.

Zdawaliśmy sobie sprawę z konsekwencji, jakie może spowodować wykrycie nas w dolinie wraz z nastaniem dnia. Nasz oddział był niezbyt liczny i szybko znaleźlibyśmy się na przegranej pozycji. Dodatkowo śniegu było tak dużo, że każda próba poruszania się poza szlakiem byłaby bardzo mozolna.

Mieliśmy wyłącznie jedną możliwość – wlecieć do doliny i wylądować w niej tak daleko od wioski, jak to tylko możliwe, aby talibowie nie usłyszeli odgłosu przelatujących maszyn. W tym planie nie było niczego szczególnego, polegaliśmy na naszych podstawowych zasadach – strzelaniu, manewrze i komunikacji. Nic skomplikowanego, zwłaszcza że

tego typu akcje przeprowadzaliśmy już od lat. Jedynie śnieg i mróz odróżniały dzisiejszą noc od innych.

Niezbyt cieszyłem się na myśl o uciążliwym marszu przez dolinę, ale miałem nadzieję, że pogoda zapędzi złych typów do środka budynku. Liczyliśmy, że tylko my będziemy tak głupi, żeby szwendać się na zewnątrz.

W śmigłowcach zainstalowane były nagrzewnice, ale nigdy nie działały tak jak trzeba, więc przelot był straszny. Siedzieliśmy na taśmowych siedziskach przytuleni jeden do drugiego, owinięci wielkimi kurtkami puchowymi. Trik polega na noszeniu właściwej liczby warstw odzieży, tak aby nie przegrzewać się w trakcie marszu, ale też nie zamarzać podczas postojów. Miałem ze sobą kurtkę Arc'teryx oraz rękawice, a na nogach nic oprócz spodni od munduru i dodatkowego kompletu zimowej bielizny. Część z chłopaków nosiła długie spodnie z goreteksu, które chroniły ich przed śniegiem i wiatrem, ale mnie było w nich zawsze za gorąco.

– Minuta! – usłyszałem okrzyk członka załogi śmigłowca, kiedy tylna rampa zaczęła się powoli opuszczać.

W chwili gdy ściągałem z siebie puchową parkę, do środka wpadł podmuch lodowatego powietrza.

Będzie hardcorowo, pomyślałem.

Z natężenia hałasu silników mogłem wywnioskować, że wkrótce wylądujemy. Podczas ostatniej minuty przed lądowaniem zawsze patrzyłem przez okno. Chciałem zebrać jak najwięcej informacji o najbliższym otoczeniu. Nigdy nie wiadomo, co się przyda w trakcie walki, zwłaszcza jeśli wpadniemy w zasadzkę tuż po tym, jak znajdziemy się na ziemi.

Teraz widziałem jedynie wszechogarniającą biel. Śnieg pokrył wszystko i ledwie mogłem dostrzec światło księżyca połyskujące na lodzie. Było po prostu pięknie. Śnieg i góry Afganistanu mogą konkurować z najlepszymi stokami narciarskimi w świecie. To miejsce mogłoby być świetnym ośrodkiem narciarskim, gdyby nie miejscowi, którzy zazwyczaj próbują cię zabić.

Dookoła mnie koledzy pod kurtkami wstrząsali ramionami i próbowali przywrócić krążenie w nogach. Położyłem karabin na udach i złapałem się poprzeczki siedziska. Podczas tej zmiany wykorzystywaliśmy maszyny

należące do Gwardii Narodowej, a ich śmigłowcom brakowało zaawansowanej awioniki, takiej jak ta używana przez lotnictwo operacji specjalnych. Powiedzmy tylko, że lądowanie nie wyszło im najlepiej. Z hukiem walnęliśmy w ziemię i mogłem poczuć, jak koła śmigłowca łapią poślizg.

Ze swojego miejsca na pokładzie dostrzegłem, że rampa chyba do końca się nie otworzyła. Poprawiłem ostrość widzenia w goglach noktowizyjnych i zauważyłem, że wylądowaliśmy w bardzo głębokiej zaspie śnieżnej, która zablokowała otwarcie rampy. Ekipa rozpoznania wspięła się na nią i zaczęła się wyczołgiwać przez wąską szparę między nią a górą kabiny.

Kiedy wreszcie wydostaliśmy się na zewnątrz, uderzyło nas ostre powietrze. Brnąłem przez głęboki po pas śnieg, aby wydostać się spod podmuchu generowanego przez wirniki. Spojrzałem w tył: chłopaki jeden po drugim wyskakiwali ze śmigłowca i znikali w śniegu. Podmuch od wirnika wciąż sypał śnieg na moją twarz, na sprzęt i za kołnierz.

Moje zmysły zaczęły wracać do siebie. Zespół snajperów zajął pozycje przede mną. W tej samej chwili śmigłowiec zwiększył moc i kolejny raz sypnęło mi śniegiem za kołnierz. Czekałem w bezruchu, aż w końcu ucichnie odgłos wirników. Na przodzie snajperzy zaczęli przecierać szlak – na szczęście pamiętali o wzięciu rakiet śnieżnych – i po ubitym śniegu mogliśmy oddalić się od lądowiska.

Chciałem po prostu iść. Z czasów dzieciństwa spędzonego na Alasce wiedziałem, że ruch jest najlepszą metodą na pokonanie zimna. Gdy wreszcie dotarliśmy do drogi, zaczęło mi się robić cieplej. Spojrzałem przez ramię i przed oczami ukazała mi się długa linia ciemnych sylwetek, odcinających się od świeżego białego śniegu, skrycie przenikająca ku drodze. Oprócz grupy bojowej mieliśmy ze sobą Rangersów i kilku afgańskich komandosów.

Księżyc jeszcze nie schował się zupełnie, więc dzięki jego światłu w naszych goglach noktowizyjnych krajobraz był bardzo jasny. Nad sobą widziałem niezliczoną ilość gwiazd. Czy tak się czuła garstka spod Chosin w Korei?

Byli to żołnierze sił Organizacji Narodów Zjednoczonych, głównie z amerykańskiej piechoty morskiej, którzy brali udział w bitwie o zbiornik Chosin podczas wojny koreańskiej. W naszych kręgach było to legendarne

wydarzenie. Chińczycy okrążyli wojska ONZ, które przez siedemnaście dni walczyły w lodzie i śniegu, aby wreszcie wyrwać się z kotła.

Pogoda oraz teren powodowały czasem większe straty niż przeciwnik. Nocą temperatury spadały do minus trzydziestu siedmiu stopni, w ciągu dnia ledwie sięgając zera. Racje żywnościowe zamarzały. Silniki pojazdów nie chciały odpalać. Marines cierpieli z powodu odmrożeń.

Nasz marsz w porównaniu do tamtego był dużo łatwiejszy.

W trakcie wojny w Korei żołnierze nie mieli wypasionego sprzętu Arc'teryx z najwyższej półki. W ten sposób próbowałem racjonalizować sytuację. Wiedziałem, że nie mogę narzekać – w przeszłości inni żołnierze mieli dużo gorzej.

Kryształowe powietrze sprawiało, że noc wydawała się jeszcze zimniejsza. Nie było żadnych chmur, które zatrzymywałyby chociaż odrobinę ciepła. Na zmianę chowałem ręce do kieszeni. Moje palce sięgały do okrągłego chemicznego podgrzewacza do dłoni, który nosiłem w kurtce.

Trzy godziny zajęło nam pokonanie trasy przez dolinę w kierunku celu. Marsz okazał się porażką – pogoda była jeszcze gorsza niż podczas najgorszych dni na Alasce, kiedy jeździłem na tylnym siedzeniu skutera śnieżnego ojca. Nie było żadnej możliwości, aby jakoś uniknąć zimna. Palce sztywniały za każdym razem, gdy tylko wyciągałem je z kieszeni. Powiewy wiatru smagały mnie śniegiem po twarzy.

Przed sobą widziałem, jak potężne podmuchy zwiewają śnieg z gór na końcu doliny. Przy każdym powiewie musiałem ponownie skupiać się na zadaniu i nie dać się rozproszyć zimnu. Byliśmy głęboko na terenie doliny kontrolowanej przez znacznie liczniejszego przeciwnika, a wszystko wskazywało, że są to prawdziwi zawodowcy.

W radiostacji słyszałem, jak operatorzy dronów wciąż meldują o trzech strażnikach. Pozostali partyzanci nadal przebywali wewnątrz budynków.

Ogrzewana chata, pomyślałem.

Zatrzymaliśmy się na krótki postój, podczas którego kolega poczęstował mnie cukierkiem cynamonowym. Stopy miałem odrętwiałe z zimna i nie byłem zbyt skory do wyciągania dłoni z kieszeni, nawet w rękawiczce, żeby wziąć cukierek.

Może trochę mnie rozgrzeje, pomyślałem, kiedy wylądował już ustach. Ostatecznie mój umysł zaczął się skupiać na ostrym pieczeniu na końcu języka zamiast na zmarzniętych stopach. Jeśli jest kiepsko, zwłaszcza tak bardzo, najlepszym rozwiązaniem jest śmiech. Trasa była oblodzona i śliska. Co pięć minut ktoś z ekipy upadał w śnieg. Śmiałem się za każdym razem, aż w końcu sam trafiłem na śliskie podłoże. Moja stopa błyskawicznie zaczęła się przesuwać i już wiedziałem, że lecę.

Bum!

Tyłek wypiął się ku gwiazdom i czułem, jak spodnie przemakają od śniegu. Usłyszałem rżenie kolegów, gdy próbowałem ponownie stanąć na nogi. Karma to suka!

Dotarliśmy do punktu obserwacyjnego trzysta metrów od celu, gdzie zatrzymaliśmy się, żeby dokonać ostatnich poprawek planu, i rozpoczęliśmy przygotowania do szturmu na obiekt. Niechętnie wyciągnąłem łapska z grubych zimowych rękawic i przełożyłem je do cienkich rękawic strzeleckich. Przez materiał czułem zimny metal karabinu. Nachuchałem na końcówki palców i zacząłem je na przemian zginać i rozprostowywać, żeby pobudzić krążenie. Palec spustowy musi być sprawny.

Dołączyłem do dowódcy grupy, szefa, Steve’a i pozostałych dowódców sekcji, żeby upewnić się, że nie będzie żadnych zmian w planie. Za moim plecami nasza ekipa, Rangersi i afgańscy komandosi przykucnęli w oczekiwaniu. Było z nami również dwóch żołnierzy z najbliższej bazy sił amerykańskich, pełniących funkcję obserwatorów pola walki, którzy mieli przeprowadzić rozmowy z miejscową starszyzną po naszym odlocie. Wbili się na pokład śmigłowców w ostatniej chwili, w przydziałowych ciuchach na zimną pogodę – widziałem, jak się trzęsą z zimna i tylko czekają na rozkaz do wymarszu. Jeśli mnie było tylko zimno, to oni musieli zamarzać.

Czuliśmy, że ruszyć trzeba jak najszybciej. Kiedy potwierdziliśmy szczegóły planu, dostaliśmy informację, że budynek, w którym przebywają partyzanci, rzeczywiście jest meczetem. A to wymuszało zmianę całej koncepcji. Słyszałem, jak dowódca grupy próbuje przez radio ustalić, czy uda się uzyskać zgodę na wejście do meczetu dla nas, czy tylko dla Afgańczyków. Wiedzieliśmy, że przeciwnicy są w środku i celowo wybrali

meczet jako miejsce postoju, świadomi, że Amerykanom nie wolno wkroczyć do środka.

Po trzech godzinach marszu byłem przepocony, a teraz pot zaczął mnie wychładzać. Przed szturmem pozbyłem się najcieplejszych ciuchów. Nie chciałem ich teraz ponownie zakładać, obawiając się, że zaraz dostaniemy sygnał do ataku i będę musiał znowu je ściągnąć.

Oczekiwanie się wydłużało. Ludzie zaczęli schodzić się w miejscu, gdzie spotkali się dowódcy. Najpierw pojawili się Afgańczycy, których dowódca przyszedł na punkt obserwacyjny razem z oficerem SEALs wyznaczonym do nadzorowania afgańskiej jednostki. Wyglądał na poirytowanego.

– Nie mogłem go powstrzymać. Chcą wiedzieć, co się dzieje – powiedział oficer.

– Usiądź i uspokój się. Damy ci znać, kiedy wszystko będzie gotowe. Wracaj na swoją pozycję i czekaj na sygnał – odparł dowódca grupy bojowej.

Kolejny przybył kapitan dowodzący Rangersami i przykucnął obok mnie.

– No, co się dzieje? Co robimy? – spytał.

– Goście siedzą w meczecie. Cierpliwości. Próbujemy ustalić, co da się zrobić. Damy ci znać, jak wszystko będzie gotowe – usłyszał w odpowiedzi od dowódcy grupy bojowej.

Dowódca plutonu Rangersów wrócił do swoich bez słowa. Zacząłem się wkurzać. Wszystkim było zimno – mnie też. Ale teraz, trzysta metrów od celu, nie było czasu na zadawanie zbędnych pytań. Dowódca i szef naszej grupy bojowej siedzieli na radiu i próbowali otrzymać zgodę na przeprowadzenie kolejnego etapu operacji.

Z myśli o gorącej tropikalnej plaży wyrwał mnie głos operatora drona, który usłyszałem w radiu.

– Mamy poruszające się obiekty. Właśnie wyszli z meczetu i kierują się na północ wioski.

– Zrozumiałem. Możesz potwierdzić, że są uzbrojeni? – spytał dowódca grupy bojowej.

Skoro przeciwnicy opuszczali teren wioski, może uda się spuścić im na głowy nalot bombowy? Przez niemal całą noc szliśmy w cholernym zimnie,

ale pojawiła się okazja na łatwiejsze rozwiązanie problemu i może nie trzeba będzie wszczynać strzelaniny.

– Nie, nie widzę broni – odpowiedział operator bezzałogowca.

Spojrzałem na Steve'a i niemal parsknąłem śmiechem.

Czy poza wrogiem ktoś jeszcze mógłby się poruszać szykiem patrolowym o trzeciej w nocy?

Widać było, że Steve się gotuje.

– Właśnie wyszli z meczetu. Wcześniej ustalili, że to grupa związana z tym dowódcą talibów. Trzech gości stało na warcie przez całą noc. Co jest, kurwa, nie tak?

Pomimo że cholernie chcieliśmy dorwać tamtych typów, wiedzieliśmy, czym grozi wdanie się w strzelaninę. Podejmowaliśmy duże ryzyko, dlatego że nie było zgody na bombardowanie.

Nie mieliśmy nawet pewności, co spowodowało, że wyszli z meczetu. Czyżby jakaś sieć wczesnego ostrzegania dała im znać? Jasne, wylądowaliśmy wiele kilometrów od celu, aby uniknąć hałasu, ale kto wie, czy gdzieś w dolinie nie było więcej talibów, którzy usłyszeli lądowanie i dali znać swoim kumplom? Jedynym plusem było to, że już nie musieliśmy się zamartwiać o uzyskanie zgody na wejście na teren meczetu.

Krew zaczęła mi krążyć w żyłach, tak że już nie czułem zimna. Sto procent mojej uwagi skoncentrowałem na kontrolowaniu, czy moja sekcja się przemieszcza, jest czujna i znajduje się na dobrych pozycjach. Świadomość nadchodzącego starcia potrafi rozgrzać. Długi marsz w zimnie właśnie się skończył i nadeszła chwila, aby skupić się na polowaniu.

Padło hasło do wymarszu. W niemal całkowitej ciszy ostrożnie wyruszyliśmy w kierunku wioski. Nie było potrzeby, aby w ostatniej chwili obudzić wszystkich jej mieszkańców. Brama do meczetu była otwarta. Afgańczycy weszli do środka i zaczęli sprawdzać pomieszczenia. Amerykanie zostali na zewnątrz i czekali.

Przeszukanie trwało kilka minut, ale nic nie znaleziono. Szczerze mówiąc, nie spodziewaliśmy się, żeby ktoś został w środku, ale tak czy inaczej budynek trzeba było sprawdzić.

Krążący nad nami dron wciąż śledził partyzantów, którzy zaczęli się wspinać na zbocze pobliskiego wzgórza. Ponownie odmówiono zgody na

atak pociskiem rakietowym albo bombą. Wciąż nie mogli dostrzec broni. Nie pozostawało nam nic innego, jak dalej ich ścigać i reagować na rozwój sytuacji.

Po prawie czterech godzinach marszu byliśmy nie tylko wychłodzeni, ale też zmęczeni. Szczególnie dało się to zauważyć wśród afgańskich komandosów, którzy nam towarzyszyli – przestali wykazywać chęć działania, więc rozkazano im pilnować rejonu. Nie skupiali się na zadaniu – chcieli już tylko wrócić do domu.

Nasi snajperzy dostrzegli szlak, którym podążał przeciwnik, i powoli ruszyli w pościg. Po mniej więcej półgodzinie operator drona zameldował, że talibowie dotarli do kolejnego budynku i się zatrzymali. Chyba wreszcie szykowali się do snu.

Co najmniej jeden wartownik zajął pozycję na niewielkiej przełęczy górującej nad doliną. Jedyna droga podejścia do celu prowadziła między przełęczą a pagórkiem. Kiedy dotarliśmy na miejsce, skąd ruszyliśmy dalej w stronę celu, zostaliśmy dostrzeżeni przez strażnika. Szedłem na czele kolumny – partyzant się podniósł i przez chwilę patrzył w naszym kierunku. Mogłem dostrzec przewieszony przez jego pierś karabinek AK. Błyskawicznie się odwrócił i wyrwał w kierunku chaty, gdzie spali jego kumple.

W słuchawce usłyszałem trzask.

– Wiele ruchomych obiektów! Powtarzam, wiele ruchomych obiektów – powiedział operator bezzałogowca.

Byliśmy akurat na dole przełęczy – musieliśmy dostać się wyżej tak szybko, jak tylko było to możliwe. Biegnąc pod górę po ośnieżonym zboczu, prowadziłem sekcję w kierunku budynków znajdujących się naprzeciwko miejsca, do którego biegli partyzanci. Już nie czułem zimna. Nie miałem wątpliwości – zaraz będziemy mieć kontakt ogniowy.

Snajperzy na przodzie szyku już zajęli pozycje. Gdy wszedłem na pagórek, słyszałem wystrzały ich karabinów. Zauważyłem też dwóch partyzantów biegnących w dół sąsiedniego pagórka. Sprzątnęli ich nasi strzelcy z odległości około stu pięćdziesięciu metrów – goście padli jak szmaciane lalki. Reszta się zatrzymała i zaczęła szukać osłony.

Wraz z moją sekcją ruszyłem jeszcze nieco bardziej w górę pagórka, w poszukiwaniu sposobu na oskrzydlenie przeciwnika. Nasi snajperzy przygwoździli go ogniem, talibowie nie mieli więc możliwości ucieczki. Rangersi właśnie wchodzili na wzgórze i ustawiali się na pozycjach po drugiej stronie, tuż za budynkami.

Dorwałem ich kapitana.

– Chcesz, żeby twoi mieli trochę zabawy?

Zabrałem go na szczyt i powiedziałem, żeby jego ludzie rozstawili tutaj karabiny maszynowe, skąd mogliby prowadzić ogień osłonowy w kierunku przeciwnika. Rangersi mieli ze sobą karabiny maszynowe zasilane taśmowo i sporo amunicji – na pewno chcieli nieco zmniejszyć niesiony ciężar i wziąć udział w walce.

Kiedy rozstawili broń, podniosłem karabin i wycelowałem promieniem lasera w pozycję przeciwnika, tak aby pluton Rangersów mógł ją zlokalizować.

– Podejdziemy do nich z prawego skrzydła. Po radiu dam wam znać, kiedy macie przerwać ogień. A do tego czasu dopierdolcie im! – powiedziałem.

Zanim jeszcze zszedłem z pagórka, usłyszałem kanonadę z karabinów maszynowych i granatników. Nikt nie lubi targać wielkich strzeladeł, dopóki nie okazują się potrzebne. Dawno nie słyszałem czegoś wspanialszego. Przeciwnik będzie zajęty unikaniem ostrzału, a moja sekcja w tym czasie okrąży go z prawej.

– Mamy zbiegów po twojej lewej – powiedział operator bezzałogowca.

Snajperzy zostali na swojej pozycji i skupili się na przeciwnikach przed nami, a sekcja Steve’a ruszyła, aby przechwycić zbiegów z lewej. Moja sekcja, z psem bojowym, czyli Kudłatym Pociskiem, a także dowódcą grupy, dalej próbowała podejść od prawej strony, by zlikwidować punkt oporu w budynku. Ustawiliśmy się w idealny szyk w kształcie litery L.

Przez głęboki śnieg i pofałdowany teren dotarcie na pozycję trwało kilka minut. Skradaliśmy się w kierunku zabudowań, licząc, że uwaga przeciwnika skupiona jest teraz na ostrzale prowadzonym przez Rangersów oraz snajperów i wróg nie zauważy naszego podejścia od lewej flanki. Przed nami widziałem pociski smugowe przelatujące przez dolinę

i uderzające w małe krzaki oraz drzewka. Bez gogli noktowizyjnych wyglądało to jak lasery w filmie science fiction.

Nasz Kudłaty Pocisk pobiegła przodem, kiedy zeszliśmy ze zbocza i zaczęliśmy podejście do celu. Wyglądało to tak, jakbyśmy zaraz mieli się znaleźć w polu rażenia Rangersów, ale szef grupy bojowej w porę wydał przez radio rozkaz wstrzymania ognia.

Nad głową usłyszałem znajomy pomruk silników AC-130. Byliśmy „w kontakcie”, co jest delikatnym określeniem na bycie pod ostrzałem przeciwnika. Załogi wszystkich samolotów, które wcześniej nie mogły prowadzić ostrzału, teraz chciały się włączyć do akcji.

Sposób działania tego wszystkiego jest jednak dość zabawny.

Sekcja Steve’a wykorzystywała wsparcie AC-130 do zlikwidowania grupy zbiegów – w radiu słyszałem jego głos wzywający ostrzał. Chwilę później huk dział samolotu odbił się echem o ściany doliny.

Już nie było w niej cicho i spokojnie. Panował ogłuszający hałas strzałów z broni maszynowej i artylerii. Na naszej pozycji panowała cisza – nikt nic nie mówił, wszyscy byli skoncentrowani na tym, co przed nami. Pies zygzakiem pobiegł naprzód, wąchał śnieg w poszukiwaniu tropu. Po prawej szef grupy koordynował przez radio działania z dowódcą grupy bojowej.

Do tej chwili nie napotkaliśmy żadnego partyzanta. Śnieg był głęboki i utrudniał poruszanie się. Przez gogle noktowizyjne próbowałem dostrzec jakiś ruch – na nic nie patrzyłem dłużej niż sekundę, najpierw na bardziej odległe obiekty, a potem na te tuż przede mną, aby niczego nie ominąć. Po raz pierwszy w trakcie tej operacji poczułem się dobrze.

Nagle po prawej usłyszałem serię z wytłumionej broni. PAF! PAF! PAF!

Odwróciłem się i uchwyciłem tylko ostatnie strzały szefa, który cofał się z zajmowanego miejsca. W śniegu tuż przed nim dostrzegłem coś, co wyglądało na martwego partyzanta. Szef był zaskoczony.

– Skurwysyn – wymamrotał, próbując złapać oddech. Zazwyczaj nie znajdował się na czele zespołu szturmowego, ale w związku z tym, że wiele rzeczy działo się równocześnie, poruszał się razem z nami. Jego robota polega głównie na koordynowaniu całej akcji i wydawaniu poleceń przez radio, kiedy więc gość wyrósł tuż przed nim, mógł być nieco zaskoczony.

Według mnie wyglądało na to, że partyzant mógł zostać ranny w początkowej fazie starcia, ukrył się i czekał, aby zaatakować tego, kto się pierwszy nawinie. Leżał nieruchomo, więc szef nie dostrzegł go, dopóki prawie na niego nie nadepnął.

Kontynuowaliśmy sprawdzanie pagórka krok po kroku, brnąc w głębokim śniegu. Gdy zbliżyliśmy się do niewielkich zabudowań, dostrzegłem ciało następnego partyzanta. Powoli szedłem w jego kierunku, cały czas mając broń wycelowaną w jego plecy – kolejny operator odwrócił ciało, podczas gdy ja go osłaniałem. Gość był martwy – w klatce piersiowej miał dziury wydarte przez pociski wystrzelone z karabinu maszynowego.

W krzakach obok znaleźliśmy jeszcze jedno ciało, wbite twarzą w śnieg, z karabinkiem Kałasznikowa leżącym nieopodal. W miejscu, gdzie spodziewaliśmy się pięciu gości, mieliśmy już trzy ciała. Nawała ogniowa snajperów i ogień osłonowy Rangersów zrobiły swoje.

Kiedy sekcja Steve'a zaprzestała wzywać wsparcie z powietrza, wokół nastała cisza. Słyszałem głos Steve'a w radiu – jego ekipa załatwiła dwóch kolejnych partyzantów. Teren dookoła nas zaczęli zabezpieczać Rangersi, a my zajęliśmy się przeszukiwaniem ciał, licząc na znalezienie jakichś cennych informacji. Sprawdzaliśmy, czy w kieszeniach nie mają czegoś, co zaprowadzi nas do kolejnego celu.

Każdy z partyzantów miał na sobie kamizelkę wypełnioną magazynkami, granatami, a nawet wyposażeniem medycznym. Nie byli to typowi partyzanci, czyli „rolnik w dzień i talib w nocy". Mieli porządny sprzęt i wyglądało na to, że potrafili z niego korzystać. Musiały być z nich niezłe zakapiory, wyszkolone i dobrze wyposażone.

Kiedy mieliśmy pewność, że rejon celu został zabezpieczony, wzięliśmy ze sobą obserwatorów pola walki z wojsk lądowych i pokazaliśmy im każdego zabitego oraz należącą do nich broń. Była to formalność narzucona przez aktualnie obowiązujące zasady zaangażowania – podczas gdy oni robili zdjęcia i notatki, my zgarnęliśmy broń oraz sprzęt, aby je zniszczyć na miejscu materiałami wybuchowymi.

Powrót do lądowiska zajął dużo mniej czasu niż dotarcie do celu. Teraz wszyscy w kontrolowanej przez talibów dolinie byli już na nogach, nie mieliśmy więc ochoty zostawać tam ani minuty dłużej, niż było to

konieczne. Przybycie znacznej liczby partyzantów, żądnych zemsty za śmierć kolegów, było wyłącznie kwestią czasu.

Wciąż panował straszny ziąb, a każdy z nas był przepocony po walce. Moja bluza przesiąkła do suchej nitki, natomiast spodnie przywarły do skóry. Czułem się inaczej niż podczas wymarszu z doliny, byłem zajęty rozmyślaniem o tym, że udało się nam skutecznie rozbić komórkę talibów. Już nikt nigdy nie zginie z ich ręki.

Włożyłem zimowe rękawice i wcisnąłem czapkę mocniej na uszy, a dopiero potem założyłem na głowę hełm. Kiedy szef grupy rzucił rozkaz do wymarszu, ruszyliśmy bez słowa. Stawiałem nogę za nogą, myśląc o gorącym prysznicu, który czeka na mnie w bazie. Miałem nadzieję, że załapię się na ciepłą wodę.

Zadania nigdy nie czekają na słoneczny dzień i dwadzieścia stopni na plusie. Nieważne, czy cel znajduje się w śniegu głębokim po pas, pośrodku Oceanu Indyjskiego pełnego rekinów, czy też gdzieś na kozim szlaku pomiędzy najwyższymi szczytami Afganistanu – my jesteśmy szkoleni, by koncentrować się na misji. Nie potrzebujemy wygód do tego, by być skuteczni.

Dla osób z zewnątrz kurs BUD/S wygląda jak chory sen sadysty, ale właśnie podczas niego nie tylko uczymy się adaptacji do trudnych warunków, ale też zaczynamy je doceniać.

W piątkowe wieczory instruktorzy ustawiali nas w szeregu na piasku tuż nad krawędzią wody.

– Każdy chce być SEALsem w piątek. Jest piątek i wszyscy macie wolny weekend. Pójdziecie do barów i się wyluzujecie. Pytaniem pozostaje, kto z was będzie chciał być SEALsem, kiedy sytuacja będzie do dupy?! Który z was będzie tego chciał, kiedy będziecie mokrzy, zmęczeni, zmarznięci i źli, a wciąż trzeba będzie jeszcze wykonać zadanie?! – wrzeszczał instruktor.

Nikt nie odpowiedział. Nikt się nie uśmiechał. Wszyscy chcieliśmy mieć już wolne.

– Spójrzcie w lewo, spójrzcie w prawo. Czy oni będą tam, kiedy sytuacja się spierdoli?

Cały czas instruktorzy chodzili przed szeregiem.

– Panowie, jedyny łatwy dzień był wczoraj. Pomyślcie o tym przez weekend, a kiedy w poniedziałek zaczniecie trening, wiedzcie, że będzie na nim większy wpierdol niż dziś.

Przyznam szczerze, że potem nieraz byłem w większym chłodzie i w znacznie gorszych warunkach niż podczas szkolenia BUD/S. Motto jest prawdziwe: jedyny łatwy dzień był wczoraj.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Zawsze patrz na buty

Ewolucja

Wcześnie rano dostałem wiadomość na pager.

W trakcie zmiany dowódcy sekcji w zespole bojowym zawsze mają przy sobie mały pager, tak aby sztabowcy mogli w każdej chwili powiadomić nas o możliwym zadaniu. Wytoczyłem się z powyginanego wyrka, które wbudowano w drewnianą ściankę pokoju, i poszedłem do centrum operacyjnego.

Byliśmy jak wampiry. Dla nas był to wczesny poranek, ale w rzeczywistości w Afganistanie było już późne zimowe popołudnie – spaliśmy bowiem cały dzień, a nocą wyruszaliśmy na akcje bojowe. Wszystko szło powoli. Siedzieliśmy przez kilka miesięcy w bazie na południe od Kabulu, skąd przeprowadziliśmy kilka operacji. Dokuczliwe zimno spowodowało obniżenie aktywności bojowej przeciwnika – talibowie byli za pakistańską granicą albo ukrywali się w Afganistanie. Właściwie to żadnej ze stron nie chciało się walczyć.

Podczas spaceru do centrum operacyjnego wcisnąłem ręce do kieszeni kurtki. Nie wiedziałem, co się stało, więc jeszcze nie chciałem budzić mojej paki. Wykonywaliśmy takie roboty od wielu lat i wiedziałem, że często z dużej chmury spadał mały deszcz. Wielokrotnie budziliśmy wszystkich, planowaliśmy coś, a cel w międzyczasie potrafił po prostu zniknąć. Niech się chłopaki wyśpią, ile mogą.

Wszedłem do centrum operacyjnego mieszczącego się w przysadzistym budynku z prefabrykatów. Podłoga była ubłocona z powodu ogromnych ilości piachu wnoszonych na podeszwach butów. Od drzwi prowadziła wydeptana ścieżka do ekspresu z kawą. Ruszyłem nią po gorący kubek czarnego płynu. Upiłem dwa szybkie łyki i dalej pozwoliłem już działać kofeinie.

W pokoju dało się wyczuć pewne poruszenie. Sztabowcy i wywiadowcy z większą niż na co dzień energią pochylali się nad danymi, próbując je zebrać przed nocną operacją. Na ekranie leciały czarno-białe nagrania z predatora krążącego nad zabudowaniami. Z tyłu, przy długim biurku, stali

dowódca grupy bojowej i jej szef. Gdy mnie zobaczyli, skinęli głowami. Wrzuciłem trzy saszetki cukru do kawy i dołączyłem do nich.

– Co jest?

– Dron wytropił paru partyzantów – powiedział szef.

W trakcie patrolu bezzałogowiec wyśledził grupę złożoną z pięciu albo siedmiu typów, którzy krążyli od domu do domu w poszukiwaniu ciepłego wyrka i jedzenia. Chodzili przez prawie cały dzień, ale teraz się zatrzymali. W sztabie doszli do wniosku, że grupka zatrzymała się na nocny odpoczynek. Robiło się ciemno, a przez większość dnia łazili.

– Z tego, co widać z drona, można wnioskować, że przechodzili przez wioskę i przypadkowo wybrali chatę, w której spędzą noc. Widzieliśmy, jak pukają do drzwi, a gdy ludzie w środku otworzyli, weszli do środka. Za ogrodzenie wprowadzili też swoje pojazdy – powiedział szef grupy bojowej.

Byłem jednym z trzech dowódców sekcji. Spojrzałem na Steve'a, który tylko kiwał głową, gdy szef wyjaśniał mu szczegóły położenia budynków mieszkalnych.

Po wstępnej odprawie dowódca sekcji rozpoznawczej zaczął rozpracowywać trasy podejścia do zabudowań. My ze Steve'em skupiliśmy się na domu.

– Jak dla mnie nie wygląda jakoś szczególnie – powiedziałem.

– Zgadzam się. Budzisz swoją pakę? – spytał Steve.

– Taa, obudzę ich zaraz, żeby zdążyli się ogarnąć, zanim zacznie się coś dziać.

Błotnistą ścieżką podreptałem w stronę drzwi, a potem wróciłem do miejsca, gdzie spała moja sekcja. W namiocie panowały egipskie ciemności, jedynie cienki sznur białych lampek wskazywał drogę przez korytarz do naszego tymczasowego salonu. Ścianki ze sklejki rozdzielały namiot na małe pokoiki, w których stały łóżko i biurko. W każdym mieszkał jeden operator. Było ciasno, ale przynajmniej zapewniały odrobinę prywatności.

Na samym końcu namiotu znajdował się salon – był dość spory, a na jego środku ustawiono stadionową ławkę i pięćdziesięciocalowy telewizor z płaskim ekranem. Do wysuniętej bazy operacyjnej Shank

przylatywaliśmy od lat i każdy zespół bojowy, który w niej mieszkał, starał się poprawiać warunki mieszkaniowe. Poprzednia zmiana wybudowała miejsce na ognisko i zewnętrzny ogródek. Inna stworzyła siłownię. Jeśli mieliśmy zabijać czas, to w Afganistanie trzeba było robić to z klasą.

Włączyłem światło w salonie i telewizor. Mogliśmy oglądać American Force Network, w której puszczano amerykańskie programy, filmy i sport. Ale wpięliśmy telewizor do tego samego kanału, na którym pokazywano transmisje wideo z dronów, te same, co w centrum operacyjnym. Włączyłem nagranie. Dostrzegłem, że chłopaki zaczynają się wiercić i powoli wstają z łóżek.

Zaparzyłem dzbanek kawy. Jeden po drugim, z kubkiem w dłoniach, zasiadali przed telewizorem – nie było widać nic poza budynkami i otaczającym je murem. Nie było żadnego ruchu, bo partyzanci już dawno schowali się do środka.

– Pięknie. Inny dzień, ten sam szajs – powiedział Walt.

Przetarł oczy i przez kilka sekund wpatrywał się w czarno-biały obraz.

– Mam nadzieję, że nie będzie to kolejna pomyłka. Jeśli jest tam mniej niż dwudziestu gości, to w taką pogodę nie mam zamiaru ruszać stąd dupy – rzucił typową dla siebie uwagę prawdziwego mądrali.

Kiedy wszyscy mieli coś do picia, przedstawiłem sytuację, mówiąc o celu i partyzantach. Szturm nie zapowiadał się trudny. Setki razy dopadaliśmy przeciwników śpiących w chatach takich jak ta. Pod wieloma względami ta misja była po prostu powtórką z rozrywki. Każdy dokładnie wiedział, jaką funkcję będzie pełnił.

Nasze plany zazwyczaj były proste, ale zawsze pozwalałem znaleźć chłopakom jakieś luki. Zacząłem od serii podstawowych pytań:

Czego brakuje?

Czy to, co mówi nam wywiad, przekłada się na to, co widzimy?

Czy wszyscy znają swoje zadania podczas roboty?

Która sekcja przeprowadza szturm?

Każdy z członków ekipy mógł zabrać głos, nawet najmłodszy. Doskonale wiedziałem, że nie jestem jedyną mądrą osobą w pokoju, i dawno temu nauczyłem się pytać innych o zdanie.

Niemal godzinę trwało zebranie wszystkiego do kupy. Kiedy plan był już gotowy, poszedłem ze Steve'em do szefa grupy bojowej, żeby mu go streścić. Siedział wraz z dowódcą grupy w centrum operacyjnym i z uwagą słuchał, gdy przedstawialiśmy drogi podejścia do celu oraz powrotu z rejonu celu i plan szturmu.

Choć analitycy wywiadu przekonywali nas, że partyzanci nigdzie dalej już się nie ruszą, wciąż woleliśmy obserwować zabudowania. Dron pełnił stałą wartę nad obiektem.

Zaplanowaliśmy lądowanie w odległości około pięciu kilometrów od celu i przemarsz w jego kierunku. To pozwalało nam zachować element zaskoczenia, bo nic tak nie zdradza planów jak wielkie śmigłowce przelatujące po niebie. W długich dolinach otoczonych wysokimi szczytami górskimi echo hałasujących łopat wirników niosłoby się na wiele kilometrów i wszyscy w okolicy wiedzieliby, że się zbliżamy. Czasem, żeby wytłumić hałas, musieliśmy lądować w dolinie obok. Jedyną wadą tego rozwiązania było to, że należało się przedostać przez góry na piechotę.

Uważnie patrzyłem na dowódców podczas przedstawiania im naszej propozycji. Kiedy skończyliśmy, przytaknęli głowami. Plan był prosty i nie spodziewaliśmy się żadnych problemów. Dowódca go pobłogosławił i parę godzin później byliśmy już w powietrzu, lecąc w stronę celu.

Byłem podekscytowany, siedząc na pokładzie chinooka i próbując myśleć o czymś ciepłym. Gdzieś z tyłu głowy nie czułem żadnego zdenerwowania. Byłem pewny siebie, ale nie butny, i wiedziałem, że w trakcie akcji poradzę sobie z niemal wszystkim. To była moja trzynasta zmiana, od pierwszej operacji minęły lata świetlne. Przeszedłem długą drogę od czasów, gdy byłem szczylem w T-shircie marzącym o karierze SEALsa. Podczas pierwszej zmiany, na ulicach Bagdadu, odebrałem solidną szkołę życia.

Owszem, zawsze mógł się trafić czyjś szczęśliwy strzał albo dobrze ustawiony ajdik obok drogi, ale podczas trzynastej zmiany już niewiele rzeczy mnie zaskakiwało. Raz wysłano mnie do budynku, który miał wylecieć w powietrze. Wpadałem do licznych domów w Iraku i Afganistanie, gdzie trafiałem na gości, którzy z niezmiennym uporem próbowali mnie zabić. Roboty wcale nie stawały się prostsze wraz z upływem czasu, ale miałem już bagaż doświadczeń.

Jednym z powodów, dla których moi koledzy i ja umiemy tak wiele, jest stała chęć rozwijania się. Przeciwnik regularnie zmieniał taktykę, jeśli więc my nie zmienialibyśmy swoich metod, zostalibyśmy z tyłu, co wiązałoby się z dużym ryzykiem.

[redacted]

[redacted]

Kiedy zaczęła się wojna w Afganistanie, zaledwie kilku z nas miało doświadczenie bojowe. Byliśmy świetnie wyszkoleni w warunkach pokojowych, ale po dziesięciu latach wojny niemal dziewięćdziesiąt procent stanu osobowego jednostki miało solidne doświadczenie wyniesione z walk i dwucyfrowe liczby odsłużonych tur bojowych.

Podczas każdej zmiany staraliśmy się zmieniać taktyki i techniki tak szybko, jak robił to przeciwnik. Nie zostawaliśmy wyłącznie przy sprawdzonych wzorcach – cały czas opracowywaliśmy nowe rozwiązania, które potem wykorzystywaliśmy.

Zamknąłem oczy i pozwoliłem, żeby mój umysł wtopił się w szum silników śmigłowca. Część mojej ekipy już kimała. Odprężyłem się i w głowie jeszcze raz powtórzyłem szczegóły zadania. Wcisnąłem dłonie między brzuch a kamizelkę kuloodporną, próbując je ogrzać. Było zimno, czułem ich chłód przez rękawice, ale nie tak zimno, jak bywało na Alasce.

Przywykliśmy do tego wszystkiego, stało się to naszą rutyną. Na tym etapie wojny i naszej służby wojskowej staliśmy się niemal nieczuli na ból i zmęczenie. Próbowałem to sobie zracjonalizować jako „po prostu część tej roboty”. Ludzie wybierają różne zawody, nasz był akurat taki i byliśmy cholernie dobrzy w tym, co robimy.

Poczułem, że śmigłowiec obniżył lot, i usłyszałem zmianę pracy silników, kiedy zaczęliśmy lądować. Kiedy schodziliśmy po tylnej rampie, powitała nas chmura śniegu i pyłu. Przeszedłem jakieś czterdzieści metrów i wysikałem się na piach. Przez godzinę się wstrzymywałem i wiedziałem, że od momentu wymarszu nie będę już miał szansy się odlać. Reszta paki robiła dokładnie to samo. Kiedy ucichł warkot wirników śmigłowca, ustawiliśmy się w szyku patrolowym i wystartowaliśmy w kierunku celu.

Nie padło ani jedno słowo. Nie padła ani jedna komenda. Kolejny dzień w pracy. Każdy wiedział, co ma robić, gdzie ma iść i czego się od niego oczekuje. Owszem, w międzyczasie zawsze dochodziły biurokracja i bzdurne zasady określane przez wyższe dowództwo, ale zawsze staraliśmy się działać w ich ramach, jakoś je obchodzić albo w inny sposób zapomnieć o ich istnieniu.

W zielonej poświacie gogli noktowizyjnych widziałem, jak sekcja się rozproszyła. Patrol trwał już prawie godzinę, gdy nagle odezwało się radio:

– Mamy dwóch dorosłych mężczyzn wychodzących przez drzwi po zachodniej stronie zabudowań. Idą w kierunku drzwi na wschodniej stronie – oznajmił głos.

Kurwa, goście jeszcze nie śpią. Jeśli nadal są na nogach, będziemy musieli przeprowadzić szturm w inny sposób. Teraz nie damy rady po cichu otworzyć zamka w drzwiach i powoli przedostać się do sypialni, gdzie moglibyśmy dorwać ich z zaskoczenia.

Bazując na najświeższych raportach z drona, będziemy musieli wezwać ich do poddania się, czyli automatycznie stracimy przewagę, jaką byłby element zaskoczenia, i damy przeciwnikom czas na przygotowanie się do walki. Chodziłem już po tym świecie dostatecznie długo, żeby wiedzieć, że ludzie, którzy ustanawiali zasady – według których musieliśmy działać – nie mają krzty pojęcia o tym, co się dzieje tutaj, na samym dole hierarchii.

Ale przed nami wciąż było jeszcze dalekie podejście. Miałem nadzieję, że do czasu, gdy dotrzemy na miejsce, partyzanci jednak pójdą spać. Skupiłem się na długim patrolu i na wyszukiwaniu zagrożeń. Kiedy byliśmy już bliżej celu, ponownie odezwał się operator drona.

– Dwóch facetów wróciło tam, skąd przyszli i weszło do środka chaty.

Pokonaliśmy kilka pagórków i wkroczyliśmy między gęste drzewa tuż obok zabudowań. To był ostatni punkt na trasie przed rozpoczęciem ataku. Pomiędzy drzewami udało mi się dostrzec budynki – w nocy, w ciemnościach nie różniły się od innych afgańskich chat. Otaczały je wysokie gliniane mury z ciężką drewnianą bramą.

Od ostatniego meldunku panowała cisza.

Żadnego ruchu.

Żadnych lunatyków.

Odczekaliśmy jeszcze parę minut, żeby mieć pewność, że nikt się znów nie obudzi. Wreszcie dowódca grupy bojowej wydał rozkaz kontynuowania operacji. Z powodu mrozu podjął decyzję, żeby przedostać się przez mur, zamiast wzywać podejrzanych do poddania się, ponieważ to drugie zmusiłoby kobiety i dzieci do wyjścia na zewnątrz, na przenikliwe zimno. Na dodatek jeśli talibowie zaczęliby stawiać opór, cywile znaleźliby się w ogniu krzyżowym.

W ciszy ruszyliśmy na wyznaczone pozycje. Moja sekcja podążała tuż za snajperami i szła w kierunku bramy wjazdowej. Strzelcy wspięli się na szczyt murów i zajęli pozycje obserwacyjne.

Brama wykonana była z drewna i miała starą żelazną zasuwę, która służyła do jej otwierania. Operator idący na szpicy próbował ją otworzyć, ale była zamknięta od środka. Wezwał jednego z nowych gości, który niósł na plecach składaną drabinę. Oparliśmy ją o ścianę i czujka powoli zaczął pokonywać wielki mur. Kiedy siadł okrakiem na szczycie trzymetrowej ściany, podaliśmy mu kolejną drabinę. Trochę się zachwiał, ale przysiadł niżej na nogach i szybko złapał stabilną pozycję.

Mieliśmy na sobie prawie trzydzieści kilogramów sprzętu, a jeden z naszych uprawiał właśnie akrobatykę na trzymetrowym murze, dziesięć metrów od pokoju pełnego śpiących talibów.

Szczebel po szczeblu podawaliśmy ku górze drabinę. Panowało spore napięcie, bo nie szybkość była teraz najważniejsza, lecz zachowanie ciszy. Na zewnątrz panowały nieprzeniknione ciemności. Wiatr wiał coraz mocniej, co powodowało chybotanie się drabiny. Parokrotnie miałem obawy, że czujka straci równowagę i zaraz wpadnie na teren podwórza.

Jedyne, o czym myślałem, to nocne marki – meldunek mówił o dwóch spacerowiczach, ale dron wytropił przecież ekipę złożoną z pięciu albo siedmiu ludzi. Dobrze wiedzieliśmy, zza których drzwi wyszli ci dwaj i gdzie wrócili, ale nadal nie było wiadomo, gdzie znajdują się pozostali. Jeśli jeszcze raz wyjdą na zewnątrz, sprzątną ich snajperzy, ale to pewnie obudzi resztę partyzantów. Miałem nadzieję, że wpadniemy do środka budynku, zanim tamci uświadomią sobie naszą obecność.

Drabina wreszcie znalazła się w rękach operatora na murze, który powoli zaczął delikatnie opuszczać ją na ziemię. Kiedy była już na dole, wraz z partnerem ostrożnie po niej zeszli. Czekałem przy bramie, gotowy do wejścia. Kilka sekund później usłyszałem dźwięk odsuwanej metalowej zasuwy i ciężkie drewniane drzwi powoli się uchyliły.

Czujka stał przy wejściu z kwaśną miną na twarzy.

– Zbyt łatwo poszło – szepnął.

Główna brama była otwarta i nadeszła pora, żeby się zabrać do właściwej roboty. Cichcem minęliśmy wejście i skierowaliśmy się na podwórze, przechodzące w dziedziniec okrążony budynkami. Wszyscy poruszali się w absolutnej ciszy – bieganie na wariata nigdy nie ma sensu. No i życie to nie gra komputerowa – nie ma się kolejnego.

Kiedy wkradaliśmy się na teren celu, przede mną szło kilku nowych. Zauważyłem, że ostro zmieniają kierunek – szli przeszukać zwierzęcą zagrodę oraz północną i wschodnią część celu. Młodzi buzowali energią, ale robili wszystko, co w ich mocy, aby nieco ją przytłumić.

Ale najważniejsze, co trzeba było teraz zrobić, to trafić we właściwe miejsce – dzięki raportom z drona wiedziałem, gdzie będą spać partyzanci. Słuchając meldunków, przypominałem sobie plan obiektu. Skierowałem się prosto w stronę zachodnich drzwi. Jeśli operator bezzałogowca miał rację, za drzwiami po zachodniej stronie chaty spali talibowie.

Nie biegłem.

Chciałem iść wolno, w naprawdę ślimaczym tempie. Śpiesz się powoli. Przeszedłem na zachodnią ścianę i czekałem przy zachodnich drzwiach. Po drugiej stronie stanął jeden z nowych, dla którego była to pierwsza tura z naszą grupą bojową. Wysunąłem rękę i nacisnąłem klamkę. Drzwi były otwarte.

Otworzyły się do wewnątrz, w stronę niewielkiego przedpokoju. Po obu stronach znajdowały się drewniane drzwi, natomiast na wprost nas – schody prowadzące na piętro. Ponieważ ja otwierałem drzwi, pierwszym wchodzącym do pomieszczenia był nowy. Powoli wkroczył do środka, a ja tuż za nim.

Dostrzegłem, że we wnęce przy drzwiach po prawej stronie leży sterta butów – przemieszanych dużych skórzanych sandałów i czarnych trampek na grubej podeszwie. Żartowaliśmy nawet, że nikt z nas nie widział jeszcze niewinnej osoby chodzącej w takich butach. Czarne trampki niemal we wszystkich przypadkach oznaczały obecność talibów.

We wnęce po drugiej stronie leżało damskie i dziecięce obuwie. Po wejściu w korytarz od razu wiedziałem, gdzie śpią partyzanci. Nowy, który na dodatek był nieco nakręcony, nie zauważył butów i poszedł w lewo. Ja ustawiłem się przy tych właściwych drzwiach i kiedy naciskałem klamkę, miałem stuprocentową pewność, że goście są w środku. Miałem nadzieję, że wciąż śpią.

Wysłużone i pokryte rdzą stare zawiasy otworzyły się z długim skrzypnięciem. W zupełnej ciszy zabrzmiało to jak trąbiący pociąg towarowy pędzący przez środek korytarza. W pokoju było cholernie zimno i zupełnie ciemno. Przez gogle noktowizyjne dostrzegłem okryte kocami kształty zbliżone do ludzkich.

Kiedy skanowałem pomieszczenie wzrokiem, jeden z partyzantów otrząsnął się i usiadł. Był może metr ode mnie – musiał usłyszeć skrzypnięcie drzwi i próbował mnie dostrzec w ciemnościach. Tuż obok niego leżał zasilany taśmowo karabin maszynowy PKM. Jego wzrok musiał już się dostosować do braku światła i wtedy zauważył, że ktokolwiek stoi w drzwiach, nie ma wobec niego przyjaznych zamiarów. Błyskawicznie wyciągnął ręce po karabin, ale pechowo dla niego lufa była obrócona w drugą stronę.

Przez ułamek sekundy patrzyłem, jak mocuje się z bronią, próbując skierować ją w moją stronę. Nie miał na to szans. Wycelowałem i strzeliłem dwa razy prosto w jego twarz.

Na lufie mojego karabinka zainstalowany był tłumik, ale nawet wytłumione strzały w pomieszczeniu są głośne. Gość opadł do tyłu, jakby znów położył się spać, znikając mi z pola widzenia. Skierowałem broń na inną część pomieszczenia i zauważyłem kałasznikowy oparte o ścianę, z której zwisały kamizelki wypełnione magazynkami. Kształty skryte pod kocami momentalnie zmieniły się w ruchome cienie, gdy pozostali partyzanci obudzili się i zaczęli szukać swojej broni.

Nie wahałem się.

Zacząłem strzelać. Przenosząc broń z jednego cienia na drugi, pakowałem po dwa lub trzy pociski prosto w klatkę piersiową, na ułamek sekundy zatrzymując się i oceniając, czy gość jest już martwy. Żadnych jęków, żadnych krzyków – tylko odgłosy wytłumionych pocisków wbijających się w ciała nieprzyjaciół.

Talibowie uginali się albo gwałtownie odchylali w tył, upadając tam, gdzie spali. Każdy strzał przechodził przez ciemny wełniany koc, co przypominało falę łamiącą się na jeziorze. Wszystko skończyło się tak szybko, jak się zaczęło. Wszedłem do pokoju – z partnerem za plecami – sprawdzając po kolei wszystkich partyzantów, czy na pewno nie stanowią już dla nas zagrożenia.

W sumie było ich sześciu. Naliczyłem pięć kałasznikowów i karabin maszynowy PK. Oprócz tego mieli ze sobą dwa granatniki przeciwpancerne RPG i nieco pocisków. Ogólnie byli nieźle uzbrojeni, a ich broń była w dobrym stanie. Mieli też lepszy sprzęt w porównaniu do większości partyzantów. Znaleźliśmy przy nich również zestawy pierwszej pomocy oraz afgańskie i pakistańskie pieniądze.

W innych pomieszczeniach, które sprawdziliśmy, nie padły żadne strzały. Wszyscy talibowie spali w jednym pokoju. Mieszkająca tu rodzina najprawdopodobniej nie miała innego wyjścia, jak pozwolić partyzantom spędzić noc w ich domu.

Kiedy zacząłem zbierać broń, usłyszałem kobiety i dzieci płaczące po przeciwnej stronie korytarza – tak jak przewidziałem, młody wszedł do

kobiecej sypialni, czym je przestraszył, a w momencie gdy zacząłem strzelać, one zaczęły krzyczeć. Po wyjściu z pomieszczenia, które wyczyściłem, zajrzałem do drugiego i zobaczyłem, że młody pilnuje teraz pokoju pełnego niezadowolonych kobiet. Nie wyglądał na zbyt przejętego.

Zanim ruszyliśmy w kierunku lądowiska śmigłowców, skąd liczyliśmy na podwózkę do domu, podszedł do mnie.

– Kurwa, wiedziałem, że powinienem pójść w prawo – powiedział.

W trakcie zmiany, podczas której prawie nic się nie działo, utrata szansy na wpakowanie paru kulek w przeciwnika była bolesna.

– Nie wściekaj się na mnie, pierwszy wybrałeś drzwi – odpowiedziałem.

– Nie jestem zły na ciebie, tylko na siebie, że nie zauważyłem ich wcześniej.

– Zawsze, powtarzam, zawsze patrz na buty.

W temacie butów dostałem bolesną nauczkę jeszcze podczas zmiany w Iraku. Kiedy jesteś nowy, nakręcony i się spieszysz, często nie zwracasz uwagi na szczegóły, właśnie takie jak buty, które na pierwszy rzut oka nie mają znaczenia, a w rzeczywistości są istotną wskazówką. Kiedy nabierzesz doświadczenia i milion razy weźmiesz udział w „wypadku samochodowym”, wyciągasz wnioski z popełnionych błędów, wszystko zaczyna zwalniać i coś takiego jak buty już zwraca twoją uwagę.

Tym razem perfekcyjnie ogarnąłem sytuację. W naszej robocie można liczyć wyłącznie na to, że uda ci się przeżyć pierwszą pomyłkę i już nigdy więcej jej nie popełnisz. Myśląc o tym teraz, stwierdzam, że była to jedna z nauczek, z których korzystam do dziś. W praktyce chodziło o wykrycie przeciwnika, ale w nieco bardziej uniwersalnym znaczeniu – o zwrócenie uwagi na szczegóły w sytuacji podwyższonego stresu. W tym przypadku sukces decydował o życiu lub śmierci.

Była to moja trzynasta zmiana. Spędziłem wiele lat na misjach w Iraku, Afganistanie i innych zapalnych miejscach na świecie. Nie była to już teoria czy trening. Po raz pierwszy w trakcie mojej służby poczułem, że osiągnąłem swój cel – zostałem operatorem SEALs, o czym marzyłem jako nastolatek na Alasce.

Osiągnąłem taki poziom przez lata treningów. Żaden z SEALsów, z którymi pracowałem, nie zadowalał się byciem przeciętniakiem. Pracy w zespole uczyliśmy się na szkoleniu BUD/S, a każdy z nas był ekspertem w taktyce działań specjalnych. Po ponad dziesięciu latach spędzonych w boju nasze umiejętności osiągnęły szczytowy poziom. Wystrzeliliśmy miliony pocisków, wysadziliśmy setki kilogramów materiałów wybuchowych, byliśmy szkoleni i walczyliśmy w każdej sytuacji i środowisku. Potrafiliśmy błyskawicznie zorganizować operację, nieważne jak skomplikowaną – planowanie akcji było dla nas proste, bo robiliśmy to setki razy. Ufaliśmy sobie i w trakcie działań niemal czytaliśmy sobie w myślach.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Zabijanie

Szufladkowanie

Choć po powrocie z ostatniej misji dowództwo dało nam kilka wolnych dni, wciąż byłem w robocie. Potrzebowałem wrócić do tej samej rutyny, zgodnie z którą żyłem podczas wcześniejszych zmian.

Chciałem mieć nad czymś kontrolę. Pocieszałem się, że zaraz wejdę do budynku, udam się do swojej klitki, rozpakuję graty i na chwilę wyluzuję. Potrzebowałem trochę czasu dla siebie.

Nigdy nie miałem lęków po akcji – zawsze potrafiłem poradzić sobie ze stresem, ale tym razem coś mnie męczyło. Nie mogłem zasnąć. Byłem na skraju. Nie chciało mi się z nikim gadać, unikałem nawet telefonów od rodziny.

Usłyszałem, że kumpel, który też był na robocie, otworzył drzwi do swojego pomieszczenia po drugiej stronie korytarza. W części mieszkalnej było dość cicho, więc odczekałem chwilę i poszedłem za nim. Wypakowywał właśnie swój sprzęt i robił dokładnie to samo, co ja – próbował zająć się pracą. Powoli odkładał graty, ale spojrzał na mnie, gdy wszedłem do jego pokoju.

– Siema, brachu. Co robisz? – spytałem.

– Nic szczególnego. Pomyślałem, że wyczyszczę trochę sprzęt – usłyszałem w odpowiedzi.

Dostrzegłem wielkie worki pod jego oczami – facet wyglądał na steranego. Nasza Firma to nie miejsce dla mięczaków. W pewnym sensie jesteśmy jak wataha wilków – grupą samców alfa nauczonych nigdy nie okazywać strachu. Znałem gościa od wielu lat i razem przeszliśmy przez mnóstwo gównianych sytuacji. Ufałem mu bezgranicznie, ale przyznanie się do chwili słabości było czymś zupełnie innym.

– Mogę cię o coś spytać? – powiedziałem cicho.

– Jasne, o co chodzi?

– Możesz spać? – niemal wyszeptałem.

Wciąż rozpakowywał torby ze sprzętem i po długiej pauzie ponownie spojrzał na mnie.

– Nie.

Gdy to mówił, potrząsnął głową i zaraz się odwrócił.

– Ja też nie, od powrotu kimałem może z godzinę – odpowiedziałem.

Była to chyba najbardziej osobista rozmowa o stresie pola walki, jaką kiedykolwiek odbyłem.

Przeszedłem liczne kursy strzeleckie. Umiałem się wspinać po skałach, jeździć motocyklem w terenie, sterować łodzią i wykorzystywać materiały wybuchowe. Rząd wydał miliony dolarów na szkolenia przygotowujące mnie do walki w dżungli, na pustyni i w Arktyce. Zaliczyłem kursy językowe, potrafiłem skakać w nocy ze spadochronem i lądować w wyznaczonym miejscu. Ale nigdy nie uczono mnie, jak radzić sobie ze stresem na polu walki. Miesiące poświęcaliśmy na naukę bycia SEALsem i codziennie godzinami podnosiliśmy swoje kwalifikacje. Ale nikt nas nigdy nie nauczył radzić sobie ze sprawami emocjonalnymi.

Zanim wstąpiłem do morskich sił specjalnych, zastanawiałem się, czy w ogóle będę w stanie pociągnąć za spust. Czy potrafię się obronić? Myślałem o tym wyłącznie wtedy, zanim zostałem SEALsem, bo w trakcie akcji nie miałem już na to czasu. Zasada małego świata.

Wszystko, co robiliśmy w trakcie działań zagranicznych, traktowaliśmy jak pracę. W nocy zakradałem się do domów śpiących ludzi – jeśli zdybałem ich z bronią, zabijałem. Tak jak wszyscy w jednostce. Brałem udział w zaciekłych strzelaninach i bez wahania strzelałem do przeciwnika. Nie żałuję niczego, co zrobiłem w boju. Wszystko to robiłem bowiem, żeby ochronić kolegów oraz dla ojczyzny. Postępowałem zgodnie z wyznaczonymi zasadami zaangażowania i nigdy nie strzelałem do niewinnych osób.

Ale oczywiście nie mam złudzeń, że to nie miało na mnie wpływu. Do dziś, spytany o „koteczka”, Phil opowie wam historię, która wydarzyła się w Iraku w 2006 roku.

Operator bezzałogowca przelatującego nad celem zameldował o sześciu ludziach śpiących na zewnątrz. Trwało irackie lato i nawet nocą było tak gorąco, że nie dało się spać bez klimatyzacji. Wioska była w zasadzie skupiskiem około dziesięciu przysadzistych glinianych chatek. W trakcie

patrolu nie dostrzegliśmy żadnych kabli elektrycznych i spodziewaliśmy się, że ludzie będą na zewnątrz.

O trzeciej w nocy powoli zbliżyliśmy się do wsi. Dwie godziny wcześniej wysadziły nas śmigłowce i przemarsz zajął nieco czasu. Pustynia była płaska i tak rozległa, że w goglach noktowizyjnych niemal nie widziałem linii horyzontu. Wioska mogłaby się znajdować nawet na Księżycu – w promieniu wielu kilometrów, poza piaskiem i skałami, nie było nic innego. Nad sobą widziałem w pełni rozgwieżdżone niebo. Teraz, w tak niedużej odległości od naszego celu, marsz przerodził się w stąpanie krok po kroku.

Był rok 2006 – trzeci rok walk w Iraku. Nasza grupa bojowa operowała na zachodzie kraju. Do wioski doprowadził nas cynk od informatora. Z pokładu drona dostrzeżono partyzantów i wysłano nas w tamto miejsce. Do tego momentu cały proces był banalnie prosty – znajdź, namierz i wykończ.

Było piekielnie gorąco, czułem, jak pot zbiera się w miejscu, gdzie kończyła się kamizelka kuloodporna. Szef grupy bojowej wydał komendę i podchodząc do wioski, rozwinęliśmy się w szyk o kształcie litery L.

Pozioma część szyku miała zająć pozycje na zewnątrz wsi i w razie sytuacji awaryjnej zapewnić nam osłonę ogniową. Pionowa zaś – ruszyć do wsi i odnaleźć ukrywających się partyzantów. Moje miejsce było w tej drugiej ekipie.

W słuchawce radiostacji słyszałem komunikaty pozostałych sekcji szturmowych. Wiedziałem, że nad nami krążą – same pozostając poza zasięgiem ludzkiego słuchu – drony, które miały być naszymi oczami, oraz samolot AC-130, który miał nam zapewnić wsparcie lotnicze, gdyby zaszła taka potrzeba. Spojrzałem w miejsce wskazane przez operatora bezzałogowca, gdzie widział śpiących. Doliczyłem się około dziesięciu materacy.

Dwóch mężczyzn stało i wpatrywało się w pustynię – nie rozmawiali ze sobą albo nie dało się tego zauważyć. Wyglądało na to, że próbują coś dostrzec w mroku pustynnej nocy.

Czy coś usłyszeli?

Byłem pewien, że nie mogą nas zobaczyć, ale być może usłyszeli krążący nad nami AC-130. Wreszcie jeden z nich udał się do miejsca, gdzie spała reszta, i zaczął ich budzić. Jego kumpel wciąż patrzył na pustynię. Pozostali przeciwnicy zaczęli się powoli podnosić i rozglądać dookoła.

Kiedy zaczęli się kręcić, dwóch pierwszych ruszyło w kierunku najbliższej chaty, a pozostali ostatecznie do nich dołączyli. Żaden z mężczyzn nie miał broni, nie mogliśmy więc otworzyć ognia, wydawało się to nam jednak bardzo podejrzane, że grupa facetów śpi na dworze, gdzieś na skraju wsi. A gdzie są kobiety i dzieci?

Grupka była gdzieś w połowie drogi do ostatniego budynku we wsi, gdy nagle wszyscy się zatrzymali, odwrócili i ponownie pomaszerowali w stronę legowiska. Byliśmy mniej więcej dwieście metrów od nich i przez noktowizory widzieliśmy tak wyraźnie jak za dnia.

Gdy już dotarli z powrotem na miejsce, dostrzegłem, jak sięgają po kałasznikowy, granatniki RPG, a nawet karabin maszynowy PKM zasilany taśmą. W ułamku sekundy liczne punkty wskaźników laserowych widocznych w noktowizji pojawiły się na klatkach piersiowych partyzantów – nasi snajperzy wzięli się do roboty. Chwilę później trzech pierwszych padło na ziemię trafionych pociskami. Pozostali spanikowali i biegiem rzucili się w stronę wsi. Wytłumione kule po kolei wbijały się w ich ciała.

Doliczyłem się pięciu zabitych. Na tym etapie działań wojennych byliśmy bardzo ostrożni i nikt z nas nie miał zamiaru zarobić kulki w biegu, więc nie ruszaliśmy się jeszcze przez moment. Podstawa szyku L została na miejscu – liczyliśmy, że przeciwnik nie dostrzegł reszty naszej ekipy, znajdującej się na jego prawym skrzydle. Nie strzelaliśmy, żeby nie ujawnić naszej pozycji.

Po kilku minutach usłyszałem w radiu głos szefa grupy bojowej.

– OK, panowie! Osłona trzyma pozycję, a szturm idzie na chatę!

Oznaczało to, że nasza grupa ma powoli ruszyć przez zabudowania. Robiliśmy to miliony razy, a sama taktyka nie była niczym odkrywczym – szyk L był wielokrotnie używany w zasadzkach i szturmach.

Szybko sprawdziłem sprzęt i przykucnąłem na kolanie, oczekując na rozkaz do wymarszu.

– OK. Naprzód! – usłyszałem szefa w radiu.

Nasza grupa powstała i powoli, parami ruszyliśmy w stronę celu. Dwóch, trzech operatorów, z bronią gotową do strzału, wolno szło naprzód, zatrzymując się w niewielkiej odległości od kolejnej. Przyklękali i trzymali sektory ognia, a reszta grupy przechodziła obok ich.

Nie było to szybkie, nie było to ładne, ale była to najbezpieczniejsza metoda podejścia do przeciwnika. Zwłaszcza gdy wiedzieliśmy, że straciliśmy element zaskoczenia.

Dostrzegłem kilka laserów przemykających po wnękach drzwiowych. Instynkt podpowiadał, żeby przemknąć jak najszybciej, ale my poruszaliśmy się w żółwim tempie, gotowi do otwarcia ognia w każdej chwili. Niemal byliśmy już w wiosce, gdy nagle dostrzegliśmy czterech typów biegnących kłusem w stronę legowiska.

– Chyba panowie o czymś zapomnieli – usłyszałem w radiu.

Ci goście musieli mieć jaja ze stali, żeby biec po swoje gnaty, zwłaszcza że teraz przykrywały je zwłoki ich martwych kumpli.

Byłem mniej niż sto metrów od nich. Uniosłem broń i wycelowałem w pierwszego w grupie. Biegnący wyglądał na przerażonego – oczy miał szeroko otwarte. Zatrzymał się niemal ślizgiem i w pośpiechu zaczął grzebać w zwiniętych kocach. Pierwszy dotarł do swojego materaca i przyklęknął. Widziałem, jak wyciąga kałasznikowa.

Naprowadziłem wskaźnik lasera na jego pierś i strzeliłem. Moi kumple również otworzyli ogień – dostał serią, odwinął się i upadł. Pociski wzbiły w powietrze niewielką chmurę kurzu w miejscu, gdzie stał jeszcze przed chwilą. Przerzuciłem lufę na kolejnego partyzanta i po chwili dostrzegłem, jak upada. Przeniosłem laser na kolejny cel, aż cała czwórka leżała bez ruchu na ziemi.

I znów – zatrzymaliśmy się i oceniliśmy sytuację.

Przyklęknąłem i spojrzałem w stronę pobliskich budynków, oczekując kolejnych „bohaterów”. Dowodzący moją sekcją Phil przykucnął obok mnie i usłyszałem jego szept.

– To było ciekawe. Oni chyba chcieli się bić. Zróbmy to teraz powoli i ostrożnie. Chyba znają się na robocie – powiedział.

– Dalej, naprzód! – przerwał mu głos szefa grupy w słuchawce.

Razem z Philem ruszyliśmy w kierunku najbliższej chaty. Zatrzymaliśmy się przy drzwiach i czekaliśmy. Phil ucisnął moje ramię, dając sygnał, abym wszedł do środka. Budynek był mały – przedsionek prowadził do jednego pokoju. Wewnątrz było parno i sprawdzając pomieszczenie, niczego nie mogłem dostrzec. Na podłodze z kafelków znajdował się dywan, a w tyle stała rozklekotana kanapa. Słyszałem, jak kumple z ekipy wchodzą do kuchni tuż obok przedsionka.

Szybko przeszedłem salon i wkroczyłem do sypialni. Nikogo nie było w środku, ale na podłodze zauważyłem poduszki i prześcieradła. Dom był opuszczony.

Pierwszy budynek czysty. Zostało jeszcze z piętnaście, pomyślałem, kiedy ruszyliśmy do następnego.

Być może dom był pusty, bo mieszkańcy go opuścili, gdy pojawili się partyzanci. A może miał z nimi coś wspólnego, a ci goście uciekli gdzieś dalej i czyhają na nas w ciemnościach? Ogarnąłem się i próbowałem skoncentrować na robocie, która była jeszcze przed nami.

Przez następne pół godziny moja sekcja sprawdzała dom po domu. Szedłem później w górę drogi za Philem. Wioska stanowiła istny labirynt, ale nie trafiliśmy już na innych partyzantów. Wiedzieliśmy jednak, że nie mogli tak po prostu zniknąć – gdzieś przecież musieli być. Obserwowałem każde okno i każdą wnękę, próbując ich zauważyć.

Gdzieś z przodu dostrzegłem faceta wychylającego się zza drzwi. Stał nieco w głębi, ale nie tak daleko, żebym nie dostrzegł lufy jego kałasznikowa. Czekał na nas, żebyśmy podeszli bliżej. Dzięki Bogu było ciemno. Dla niego. My mieliśmy noktowizory.

Nie byłem pewien, czy Phil go zauważył, ale gdy koleś błyskawicznie się schował, zauważyłem wskaźnik laserowy Phila celujący dokładnie w to miejsce, gdzie przed chwilą była głowa przeciwnika. Gość powoli pochylił się do przodu, próbując nas zobaczyć, ale gdy to zrobił, punkt lasera znalazł się dokładnie na środku jego czoła.

Usłyszałem tylko kilka wytłumionych strzałów z MP7 Phila i partyzant zniknął mi z pola widzenia.

Ubezpieczałem drogę i okoliczne chaty, gdy Phil z pozostałymi członkami sekcji wszedł we wnękę, w której jeszcze przed chwilą stał

partyzant. Chata znajdowała się najdalej od budynków, które przed chwilą przeszukaliśmy.

Ponownie spojrzałem na drzwi, gdy sekcja już weszła do środka, i zobaczyłem stopy partyzanta wystające przez próg. W radiu usłyszałem, jak koledzy próbują, razem z załogą AC-130, namierzyć dwóch zbiegów.

Dwóch partyzantów przebiegło przez wioskę i pojawiło się dosłownie znikąd na jej drugim końcu, próbując szukać ocalenia na otwartej pustyni. Błyskawicznie zostali zauważeni przez kamery termowizyjne dronów i samolotu. Czterech SEALsów z psem bojowym ruszyło za nimi w pościg. AC-130 zmienił kurs i ruszył w stronę grupy. Przysłuchiwałem się rozwojowi sytuacji, gdy wreszcie usłyszałem huk działa samolotu.

Kiedy grupa pościgowa dotarła do ciał, widok był szokujący. Jeden z partyzantów w wyniku wybuchu został kompletnie zmasakrowany. Musiał go trafić pocisk kaliber 105 mm wystrzelony z haubicy pokładowej – pocisk ten ma rozmiar dwóch piłek do futbolu amerykańskiego i powoduje ogromne spustoszenie.

W wiosce wciąż trzymałem sektory obserwacji, gdy w słuchawce usłyszałem głos Phila:

– Tu Alpha 2, Alpha 1, potrzebuję cię – powiedział, używając naszych znaków wywoławczych.

Włączyłem radio.

– Przyjąłem, idę do ciebie.

Przeszedłem nad ciałem martwego partyzanta i zobaczyłem Phila oraz dwóch innych operatorów przeszukujących salon. Karabin, który jeszcze przed chwilą należał do trupa, oparty był o ścianę korytarza. Phil wyjął z niego magazynek i opróżnił komorę nabojową.

Jeszcze raz spojrzałem na zwłoki – głowa leżała daleko od drzwi prowadzących do salonu. Gdyby partyzant nie wychylił się zza wnęki, prawdopodobnie żaden z nas by go nie dostrzegł. Jeśli miałby nieco więcej cierpliwości, miałby okazję nas dopaść.

Phil trafił go naprawdę celnie – pocisk przeszedł tuż nad nosem, uderzając w podstawę czoła. Połowa twarzy była oderwana – zostało tylko oko gapiące się w sufit. Krew spływała, tworząc kałużę za leżącą głową.

Chciałem już spojrzeć dalej, gdy kątem oka dostrzegłem mignięcie. Wychudzony, po prostu skóra i kości, kolorowy kociak stał nad kałużą krwi. Nie miałem pojęcia, skąd się wziął, ale widok błąkającego się kota nie był niczym niezwykłym w Iraku. Zwierzak powąchał plamę krwi, a potem zobaczyłem jego różowy język, którym zaczął ją zlizywać.

Spodziewałem się widoku martwych ciał i w pewien sposób nawet do tego przywykłem, ale w widoku chudego kota pijącego krew było coś bardzo nie w porządku. Tego się nie spodziewałem. Masakra.

Odwróciłem się i zacząłem przeszukiwać chatę – dostrzegłem wnękę odchodzącą od przedsionka i przeszedłem przez nią. Prowadziła do kolejnego korytarza, przez który trafiłem do kuchni.

Na kuchennym blacie stały garnki ustawione w chaotyczne sterty, a w całym pomieszczeniu unosił się zapach oleju do smażenia i przypraw. W jednym rogu znajdowała się dziura w podłodze przeznaczona na kuchenkę. Zacząłem przesuwać gary w poszukiwaniu broni i innych rzeczy, które mogli zostawić partyzanci. Budynek był zabezpieczony, więc nie musiałem zachowywać się cicho. Kiedy przekopywałem się przez zawartość szafki obok drzwi, usłyszałem coś za plecami.

Brzmiało jak szlochanie albo skamlenie.

Odwróciłem się, wciąż trzymając rękę na chwycie karabinka, i zobaczyłem małe dziecko skulone w rogu. Dzieciak siedział wciśnięty za stertę koców i najwyraźniej moi koledzy go nie dostrzegli w trakcie wstępnego przeszukania. Przykucnąłem, aby lepiej mu się przyjrzeć – nie miałem pojęcia, czy chłopczyk jest ranny. Miał zmierzwione włosy, a łzy zmyły mu nieco brudu z twarzy. Wyglądał prawie tak źle jak kot zlizujący krew z podłogi.

Spojrzałem za siebie i zdałem sobie sprawę, że z tego miejsca musiał widzieć, jak facet w sieni dostaje kulkę. Nie miałem pojęcia, czy był to jego ojciec, czy partyzant ukrywający się w tym domu. Niezależnie od tego dzieciak widział, jak zastrzeliliśmy tamtego gościa, i prawdopodobnie kota liżącego krew.

Wow, różne dziwne rzeczy już widziałem, ale ten dzieciak będzie miał przejebane do końca życia, pomyślałem.

Chłopak trząsł się ze strachu – chyba myślał, że zabijemy też jego. Przypomniałem sobie o broni i tym całym sprzęcie, który miałem na sobie. Musiałem wyglądać całkiem groźnie.

Dzieciak dalej cicho płakał. Powoli wyciągnąłem z kamizelki światło chemiczne i przełamałem je. Kiedy nim potrząsałem, powoli zaczęło rozświetlać pokój zieloną poświatą. Wyciągnąłem cukierka i podałem go w otwartej dłoni. Na początku nie chciał na mnie patrzeć.

Potrząsnąłem jeszcze raz światłem.

– Hej, kolego, nic ci nie zrobię – powiedziałem.

Domyślałem się, że nie ma bladego pojęcia, co do niego mówię, ale liczyłem, że dobrze odczyta mój łagodny ton. Powolutku podniósł głowę i zmierzył mnie wzrokiem, próbując się upewnić, czy nie stanowię dla niego zagrożenia. Starałem się do niego uśmiechnąć, ale w tych wszystkich gratach mogło to nie wystarczyć.

Spojrzał na mnie i błyskawicznie chwycił światło oraz cukierka. Ale nie zjadł go od razu, tylko schował w dłoni. Przez radio zapytałem, gdzie zbieramy kobiety i dzieci. Kiedy się okazało, że miejsce docelowe jest kilka chat dalej, wstałem i pomachałem do niego, żeby poszedł ze mną, ale z początku się nie ruszył.

– Kolego, chodź ze mną. Zabiorę cię do innych.

Nie zrozumiał mnie, więc chwyciłem go za rękę i wyprowadziłem z domu. Próbowałem zasłonić przed nim widok martwego partyzanta i kota, wciąż chłepczącego krew z podłogi.

Ale to pojebane, ten dzieciak nie ma nawet pięciu lat i widział coś takiego, pomyślałem.

Przeszliśmy przez wioskę. Kiedy doszedłem do właściwego budynku, usłyszałem szlochanie kobiet i dzieci. Przed drzwiami stał mój kumpel i trzymał wartę. Gdy dzieciak dostrzegł znajomą gromadę, puścił moją dłoń i wszedł do środka. Nie mogłem zostać, miałem jeszcze robotę do wykonania, ale wiedziałem, że mały jest już bezpieczny.

Gdy wracałem do chaty, aby kontynuować przeszukanie, wciąż miałem przed oczami widok kota pijącego krew z podłogi oraz dzieciaka patrzącego z pokoju, jak facet obrywa w głowę. Ale szybko wypchnąłem ten obraz z pamięci i zająłem się robotą.

Nie było czasu na zastanawianiem się nad takimi sprawami. Po zadaniu po prostu je wymazywałem. Znam paru gości, którzy robią z zabijania innych wielką sprawę. Strzelałem do ludzi z dalekiego dystansu i strzelałem do nich niemal z przyłożenia. Ale zawsze racjonalizowałem to w jeden sposób – jeśli ja nie zastrzelę przeciwnika, on zabije mojego kolegę lub mnie. Nie potrzebowałem innego wytłumaczenia.

Ale to niczego nie ułatwiało, kiedy wracałem do domu, do normalnego życia.

Pierwsze tury bojowe mógłbym porównać do picia z węża strażackiego – nie znałem całego procesu i nie wiedziałem, czego się spodziewać. Ale po odbyciu trzynastu tur byłem już dobry w wyłączaniu i włączaniu przełączników w głowie. Potrafiłem zaszufladkować stres w zakamarkach mózgu i trzymać go z dala od cywilnego życia.

Pamiętam, jak z bazy wracałem samochodem do domu, zaraz po przylocie z Iraku. Przede mną był korek i mało brakowało, a ominąłbym go, wjeżdżając na pas rozdzielający jezdnię. Podczas pierwszych dni wojny w Iraku, jeśli jakiś kierowca zablokował nam drogę, po prostu taranowaliśmy jego samochód. Utknięcie w korku było samobójstwem – samochody pułapki były stałym zagrożeniem. Stanie w miejscu czyniło z nas łatwy cel, więc staraliśmy się nieustannie przemieszczać. Inne samochody musiały się trzymać z dala od naszego konwoju – rzucaliśmy w nie kamieniami, tłukliśmy szyby i przestrzeliwaliśmy koła.

Ale w domu musieliśmy zapomnieć o tym wszystkim, co pozwalało nam przetrwać w strefie wojny. Jak udawało mi się tego dokonać? Nie mam pojęcia. Wiem jednak, że coraz lepiej radziłem sobie z szufladkowaniem wszystkiego w głowie. Po prostu blokowałem emocje. W zasadzie prowadziłem podwójne życie – to w kraju i to w trakcie misji. Nie było to łatwe.

Musiałem podjąć świadomą decyzję o kontroli mojego życia. Była to nieustanna szarpanina, którą wygrywałem dzięki naukom wyniesionym ze szkolenia. Po prostu nie pozwalałem, aby skutki walki przejęły nade mną władzę. Trochę jak w haśle reklamującym Las Vegas[40] – wszystko, co dzieje się w Afganistanie, zostaje w Afganistanie. Kiedy wracałem do kraju, nie rozmawiałem o robocie z nikim oprócz kolegów z ekipy.

Ale po operacji w [redacted] nie mogłem sobie poradzić ze stresem. Myśli o ostatniej akcji nie dawały o sobie zapomnieć. Kiedy wyszedłem z pokoju po rozmowie z kumplem, było mi lepiej. Czułem się pewniej, wiedząc, że inni też uprawiają podobną psychiczną gimnastykę w głowach. Nie byłem jedynym, który miał problem z ogarnięciem tego całego gówna, które zdarzyło się podczas akcji.

Kilka lat wcześniej marynarka wojenna próbowała znaleźć sposoby na przeciwdziałanie stresowi na polu walki. Pierwszym pomysłem było przymusowe spędzenie kilku dni więcej w Niemczech, które były na trasie powrotu ze zmiany. Chcieli, abyśmy mogli tam nieco odetchnąć i dać upust emocjom. Było to tuż po tym, gdy o sprawach związanych z PTSD[41] zaczęto głośno mówić w wiadomościach i oficjele musieli znaleźć jakieś rozwiązanie.

Przed tym pomysłem z postojem w Niemczech często bywało tak, że wracaliśmy do domu zaledwie dobę po ostatniej operacji. Prosto ze strzelaniny w ciągu jednego dnia wracałem do Stanów i szedłem do Taco Bell po tacos i burrito. Brzmi to może dziwnie, ale przystanek w knajpie stanowił coś w rodzaju ściany kolejnej szuflady w mojej głowie, która pozwalała mi oddzielać te wszystkie sprawy.

Po zmianie zasad najpierw trafialiśmy do Niemiec, gdzie psycholog z jednostki przylatywał na spotkanie z nami i uczył, jak radzić sobie ze stresem oraz reintegrować się ze środowiskiem cywilnym. Szkolenie dla chłopaków z rodzinami skoncentrowane było na powrocie do rodzinnych obowiązków. Zabawne, bo w domach bywaliśmy kilka tygodni tylko po to, żeby wyruszyć na szkolenie, które trwało kolejne tygodnie.

Cała idea „niemieckiej dekompresji” ostatecznie upadła, bo irytowała nasze rodziny i dziewczyny czekające na nasz powrót, który teraz wydłużał się o kolejne trzy dni. Nie wspominając o tym, że wracaliśmy, pachnąc jak dobre niemieckie piwo.

Dowództwo zdecydowało się zastąpić międzylądowanie w Niemczech czymś innym – od teraz wszyscy musieliśmy się spotykać z psychologiem. Po każdej zmianie wymagano od nas odbycia półgodzinnej rozmowy, podczas której mieliśmy opowiedzieć o wszystkich naszych problemach. Raz poszedłem na taką rozmowę z kumplem Gerrym, tylko po to, żeby ją odbębnić. Nie kupiliśmy tego pomysłu i stał się dla nas kolejnym punktem

do odhaczenia na liście po powrocie ze zmiany. Półgodzinna sesja musiała zostać zaliczona, bo w przeciwnym wypadku nie dostalibyśmy zgody na przepustkę albo urlop. Starsi stopniem to olewali, ale my nie mogliśmy tego zrobić. Wiedzieliśmy, że chodzi o to, by marynarka mogła powiedzieć, że jesteśmy pod opieką psychologiczną i przechodzimy szkolenia z radzenia sobie ze stresem pola walki.

Zbliżał się już koniec dnia, kiedy poszliśmy do gabinetu psychologa – nie pamiętam, czy była to wizyta moja, czy Gerry'ego, ale kiedy weszliśmy do środka, pani psycholog wydawała się zaskoczona. Była w ciąży, a termin wyznaczono za trzy tygodnie, wyglądała więc na tak samo zmęczoną jak my.

– Słuchaj, też nie masz zbyt dużo czasu, więc zaoszczędzimy ci pół godziny i odbędziemy nasze sesje równocześnie – powiedział do niej Gerry, wskazując palcem na jej brzuch.

Pomyślała przez chwilę i machnęła do nas, żebyśmy weszli do gabinetu. Gerry walnął swoje niemal dwumetrowe ciało na kanapę, a ja spocząłem naprzeciwko pani psycholog, siedzącej w fotelu biurowym i trzymającej notatnik.

– Porozmawiamy teraz o dość drażliwych sprawach. Na pewno chcecie wziąć w tym udział razem? – zapytała.

– Gerry wie wszystko o mnie, a ja wiem wszystko o nim. Damy radę.

Zgodziła się i wzięła do ręki długopis, po czym zaczęła wypełniać formularze. Przez większość z tych trzydziestu minut zadawała nam pytania o to, jak radzimy sobie ze stresem i czy mieliśmy jakieś objawy zespołu stresu pourazowego. Pamiętam, jak podała nam kartkę z wyszczególnionymi symptomami syndromu. Wziąłem ją i przeleciałem listę wzrokiem. Wśród objawów znalazły się problemy ze snem, unikanie tłumów i siedzenie plecami do ściany w restauracji.

Ledwie zdusiłem śmiech, gdy dotarłem do końca listy.

O kurwa, wydaje mi się, że mam chyba wszystkie z powyższych, pomyślałem.

Nie prowadziłem jakoś szczególnie innego życia niż wcześniej, ale z całą pewnością odczuwałem niemal każdy z opisanych symptomów.

Uśmiechnąłem się do lekarki i nie powiedziałem ani słowa.

Kiedy Gerry skończył, przyszła kolej, abym to ja zadał kilka pytań.

– Czemu nie jesteśmy bardziej pojebani? Dlaczego nic innego nam nie dolega, pomimo tego całego gówna, które widzieliśmy? Mówisz nam o zespole stresu pourazowego. Gerry i ja byliśmy szkoleni do radzenia sobie w niemal każdej sytuacji, jaka może nas spotkać na polu walki, ale nigdy nie przeszliśmy choćby jednosekundowego szkolenia, jak radzić sobie ze sprawami emocjonalnymi.

Przytaknęła.

– Jedyna odpowiedź na te pytania, jaka przychodzi mi do głowy, to BUD/S – odpowiedziała.

Hartowanie psychiki, determinacja i parcie naprzód – wszystko, czego uczysz się podczas kursu BUD/S, pomaga potem w sytuacji realnego starcia. W trakcie tego szkolenia przekraczamy fizyczne i psychiczne bariery – byłem w stanie wykonywać czynności znacznie powyżej poziomu, którego się po sobie spodziewałem. Psycholog powiedziała, że to właśnie dlatego byliśmy dużo silniejsi niż przeciętny człowiek.

– Tak więc to mentalna twardość, którą zdobyłem w trakcie BUD/S i która pozwalała mi przetrwać szkolenie, teraz pomaga mi pokonać stres pola walki? – spytałem.

Lekarka tylko się uśmiechnęła.

– To nie takie proste. Ale BUD/S pomaga, ponieważ większość szkolenia opiera się na wysiłku psychicznym. To nie problem, że wszyscy SEALsi mają jednakowe nastawienie, bo każdy z was jest ochotnikiem i za każdym razem do walki idzie z własnej woli.

Miała rację – już od początku służby pragnąłem znaleźć się w boju. Zgadzałem się na ryzyko, ale byłem świadom wyzwania i podejmowałem je z podniesioną głową. Czy będę w stanie zmierzyć się ze stresem i nie będę się kulił ze strachu? Idąc tym tokiem myślenia, wydaje mi się, że umiejętność pokonywania własnych ograniczeń jest nie tylko kluczowa w karierze operatora, ale jest też kluczem do udanego życia.

– Mówisz więc, że dzięki BUD/S jesteśmy silniejsi, czy może BUD/S po prostu wyplenił z nas słabości? – spytałem i chyba nieco ją zaskoczyłem.

Zanim odpowiedziała, wtrącił się Gerry.

– Wydaje mi się, że mamy po prostu silniejszą psychikę niż pozostali ludzie na tej planecie – oznajmił z uśmiechem na twarzy. Oczywiście robił sobie jaja.

Patrząc z perspektywy czasu, uważam, że zademonstrował wtedy pani doktor, że ze stresem radzimy sobie za pomocą humoru. Kiedy sprawy nabierały złego obrotu, zawsze skutecznie zmienialiśmy temat. Wymazywaliśmy pewne sprawy z pamięci albo umniejszaliśmy je i robiliśmy dalej to, co do nas należało. Nie było innego sposobu, aby rozumem objąć to wszystko, co widzieliśmy i robiliśmy. Prościej było z tego żartować i to ignorować.

Gabinet opuściliśmy po naszych obowiązkowych trzydziestu minutach i już nigdy więcej o tym nie rozmawialiśmy. Obowiązkowy punkt na liście został odhaczony i teraz mogliśmy już udać się na przepustki. Dostaliśmy tylko dwa tygodnie wolnego, zanim znów wskoczyliśmy do odjeżdżającego pociągu i rozpoczęliśmy kolejny cykl szkoleniowy.

Wraz z upływem czasu zacząłem coraz lepiej sypiać. Świadomość tego, że jestem na tyle silny psychicznie, iż mogę szufladkować traumatyczne doświadczenia wyniesione z pola walki, działała uspokajająco. Wciąż mam listę, którą dostałem od pani psycholog, i od czasu do czasu ją sobie czytam – nadal mam wszystkie wyszczególnione na niej objawy. Od katastrofy śmigłowca podczas operacji [redacted], aż do małego chudego kotka w Iraku pijącego krew wyciekającą z głowy martwego partyzanta – każde z tych doświadczeń ma swoją malutką szufladkę. Symptomy stresu nie przeminęły nawet po odejściu z marynarki. Po prostu je wymazywałem ze świadomości.

Każdy z nas radzi sobie ze stresem pola walki na różne sposoby. Ten, którego się trzymam, nie jest może doskonały, ale już na pewno nie jest dla wszystkich. Kariera SEALsa to ciężka służba i trudne życie. Poświęciłem dla niej więcej, niż byłem to sobie w stanie wyobrazić, ale gdy ktoś zadałby mi pytanie, czy zrobiłbym to wszystko raz jeszcze, moja odpowiedź byłaby prosta.

Bez wahania powiedziałbym: tak.

EPILOG

Ostatni przystanek pędzącego pociągu

Ostatniego dnia służby w amerykańskiej marynarce wojennej musiałem się sporo nabiegać po jednostce, żeby mieć pewność, że załatwiłem całą papierologię.

Był piękny wiosenny dzień. Zdążyłem już posprzątać szafkę i pożegnać się z ekipą. Przez ostatnie kilka miesięcy długo wahałem się przed podjęciem ostatecznej decyzji. Przez trzynaście tur bojowych, bez żadnej przerwy, zapieprzałem. Po raz pierwszy w trakcie mojej służby poczułem, że jestem zmęczony. Ba, czułem się wykończony. Tempo nieustających misji bojowych, szkoleń, kolejnych misji i kolejnych szkoleń zaczynało zbierać swoje żniwo. Zawsze myślałem, że dam radę odsłużyć dwadzieścia lat jako operator morskich sił specjalnych albo umrę, próbując. Odejście było poważną decyzją, która nie brała się z niczego.

Dokonałem wyboru w ten sam sposób, w jaki podjąłbym decyzję na polu walki. Na początek poszedłem z tym do kumpli, żeby wyczuć sprawę. Każdy z nich powiedział, że mnie porąbało. Przesłużyłem w marynarce czternaście lat i brakowało mi tylko sześciu kolejnych do pełnej emerytury, ale mój kontrakt się kończył i musiałem coś zrobić. Mogłem podpisać kolejny i służyć jeszcze cztery lata, podczas których odbyłbym jeszcze jedną turę bojową, a następnie przesunięto by mnie do służby administracyjnej. Mogłem odejść i zobaczyć, jak to jest być zwykłym cywilem.

Niemal zakończyłem swoją kadencję dowódcy sekcji bojowej, co jest chyba najlepszą fuchą w jednostce. Od teraz jedyną formą awansu byłoby objęcie etatu dowódcy grupy bojowej, ale potem musiałbym spędzić jeszcze przynajmniej dwa lata w szkoleniówce. Wojna w Afganistanie spowalniała tempo, a przy kolejnej zmianie zasad zaangażowania czasy „prawdziwego komandosowania” wyłącznie z ekipą z twojej sekcji, kiedy człowiek cały czas był w akcji, właśnie się kończyły. Tury bojowe zaczęły się dłużyć, coraz mniej się na nich działo, a ja wstąpiłem do marynarki po to, by brać udział w walce, a nie siedzieć na ławce.

Szef jednostki wezwał mnie do swojego biura – dowiedział się o mojej decyzji o nieprzedłużaniu kontraktu i chciał o tym porozmawiać. Był wspaniałym liderem, który wszystkimi sprawami zajmował się bez zbędnego gadania. Wszyscy w jednostce darzyli go ogromnym szacunkiem i byłem mu winien wyjaśnienie.

– Słyszałem, że odchodzisz – powiedział, gdy siadałem.

Przytaknąłem.

– Mam już dość. Czuję, że jak zatrzymam się w miejscu, to utknę na kolejne cztery lata, a nie jestem pewien, czy ta robota wygląda tak samo jak wtedy, gdy się do niej zgłaszałem.

– Rozumiem. Służę już przeszło dwadzieścia lat i parę razy już myślałem o odejściu. Zostało ci tylko sześć lat, a poza tym jesteś cennym członkiem naszego zespołu. Nie chciałbym cię stracić – powiedział starszy chorąży marynarki.

Podziękowałem mu za miłe słowa, ale decyzję już podjąłem. Właściwie to nie mógł powiedzieć niczego, co by mnie od niej odwiodło.

– Dobrze przemyślałem powody, dla których odchodzę. W tej robocie nigdy nie chodziło o kasę. Nigdy nie chodziło o tę gównianą emeryturę, którą dostałbym po dwudziestu latach wysługi. Kocham tę fuchę bardziej niż cokolwiek na świecie i przez niemal czternaście lat była dla mnie życiowym priorytetem – odpowiedziałem.

Przytaknął głową ze zrozumieniem.

– Wojna zwolniła tempo, a po kolejnej zmianie zostanę przeniesiony z zespołu bojowego i nie będzie już więcej zabawy. Głęboko czuję, że to

właściwy czas, żeby ruszyć naprzód i podjąć kolejne życiowe kroki. Pomysł wakacji i możliwość sterowania własnym życiem brzmią ekscytująco.

Wszyscy przez lata zasuwaliśmy jak dzikie osły, ale szef jednostki nie miał zamiaru wypuścić mnie ze swojego gabinetu, dopóki nie przedstawię mu pomysłu na nowego siebie.

– Masz jakiś dupochron? Nie chcę, żebyś został żulem. Nie będę ci wciskał jakiejś żałosnej gadki, żebyś został w Firmie. Rozumiem, o co chodzi, i chcę, żeby wszystko się ułożyło po twojej myśli. Odwaliłeś kawał dobrej roboty. A teraz wypierdalaj z mojego biura i powodzenia!

Następny przystanek miałem zaplanowany u byłego dowódcy zespołu bojowego – jako „pierwszy” czekał na nas po powrocie z ostatniej zmiany. Podbiegł do samolotu tuż po lądowaniu i z każdym przywitał się uściskiem dłoni. Po akcji objął stanowisko dowódcy jednostki.

Teraz miałem udać się na piętro, na którym urzędowali oficerowie – trzeba było włożyć mundur i obwiązać nogawki spodni wokół butów. Zdjąłem spodenki i koszulkę, przeczesałem włosy. Poszedłem na górę na spotkanie z dowódcą jednostki.

Wezwał mnie do gabinetu. Siadłem na krześle stojącym naprzeciwko jego biurka i rozejrzałem się po ciężkich mahoniowych meblach oraz ścianach obwieszonych tablicami i innymi pamiątkami. W rogu biura dostrzegłem wciśnięty niebieski materac do spania.

– Co mogę zrobić, aby cię zatrzymać? Jesteś jednym z liderów w jednostce, kiedyś będziesz rządził Firmą – powiedział.

Byłem zaszczycony, ale pokręciłem głową.

– Czas, żebym ruszył dalej. Tak jak powiedziałem starszemu chorążemu: mam już dość.

Dowódca nie chciał tego słyszeć. Nie miał zamiaru mnie wypuścić bez moralizującej gadki. Trochę jak sprzedawca, który za wszelką cenę chce doprowadzić do transakcji.

– Rozejrzyj się. To twoje życie. Jesteś taki jak ja. Śpię w biurze. Jestem kapłanem wojownikiem.

Nie robił sobie jaj. Nie brał urlopów ani wolnych dni. Codziennie potwierdzał i demonstrował, jaki jest twardy i oddany służbie. Rozumiałem, o co mu chodziło, ale już od czternastu lat poświęcałem się dokładnie tak

samo. Nie miałem tylko takiego fajnego biura, w którym mógłbym spać. Kurwa mać, każdy w Firmie robił tyle samo, albo i więcej.

– Sir, proszę mi zaufać, w pewien sposób czuję, że po raz pierwszy w życiu z czegoś rezygnuję – odezwałem się.

Nie odpowiedział. Wtedy chyba dotarło do niego, dlaczego chcę odejść. Nie mógł nic zrobić, aby zatrzymać mnie w jednostce.

– Przez długi czas kierowałem się instynktem i teraz ten sam instynkt mówi mi, że czas już wysiąść z tego pędzącego pociągu.

– OK. Nie możemy cię na siłę odwodzić od tej decyzji. Rozumiem. Powodzenia w przyszłości – powiedział dowódca. Przestał mnie przekonywać. Dla niego byłem po prostu kolejnym, który wysiadł z pociągu.

Wstałem, uścisnąłem jego dłoń i poszedłem ponownie do szatni. Po drodze wpadłem na paru kumpli. Rozmawiałem już z nimi o swojej decyzji, a oni jak prawdziwi bracia, którymi przecież byli, rozumieli mnie i życzyli mi szczęścia. Ale w tej samej sekundzie, w której podjąłem decyzję o nieprzedłużeniu kontraktu, stałem się po prostu byłym członkiem zespołu.

– Ej, dupku! Czy ty nie powinieneś od jakiegoś czasu robić za biurkiem? – powiedział któryś z nich.

– Taaa, powodzenia w pisaniu raportów, grubasie – dorzucił kolejny.

Ich wizja mojej smutnej cywilnej kariery oparta była na scenariuszu filmu *Życie biurowe*[42], który w trakcie zmiany oglądaliśmy przynajmniej tysiąc razy. Już widzieli mnie w korporacyjnym kubiku, w koszuli, pod krawatem. Na kilka dni przed swoją ostatnią wizytą w jednostce otrzymałem tablicę pamiątkową z podziękowaniami za służbę w SEALs i w zespole bojowym. W moim nazwisku była literówka.

Czułem jednak pustkę.

Nie z winy moich kolegów. Oni cieszyli się razem ze mną i liczyli, że będę zadowolony, ale wiem też, że tak naprawdę byli już myślami na następnej operacji lub szkoleniu. Przez ponad dziesięć lat nieustannie podnosiłem swoje kwalifikacje, aby zostać jak najlepszym komandosem. Kiedy po raz ostatni przekroczyłem bramę wjazdową, wszystko to zostawiłem za sobą.

Myślę teraz o tym wszystkim jak chirurg, który po latach nauki i pracy przy stole operacyjnym staje się wreszcie jednym z najlepszych specjalistów w kraju. Wtedy, nagle, po czternastu latach rezygnuje i zaczyna wszystko od nowa. Przekręca klucz w drzwiach sali operacyjnej i bierze się do czegoś innego.

Gdy wsiadałem do półciężarówki, żeby pojechać do domu, poczułem coś, co przez lata uczyłem się kontrolować – strach. Byłem przerażony. Wszystkie pytania, które do tej pory pozostawiłem bez odpowiedzi, zaczynały się kotłować w mojej głowie.

Co zrobię z resztą życia?

Jak stworzę siebie na nowo?

A jeśli mi się nie uda?

Kurwa mać, co ja właśnie zrobiłem?

Decyzja o rezygnacji ze służby w marynarce wojennej była najtrudniejszą z do tej pory podjętych. Wszyscy moi kumple wciąż w niej służyli. Nadal będą brać udział w operacjach bojowych i nadal będą poświęcać się dla tego, co robią. Czułem, że się poddałem, a przecież wpajano nam, że nigdy nie wolno tego robić. Poczułem, że właśnie zawodzę kumpli. Było mi ciężko, ale miałem świadomość, że była to trudna, lecz właściwa decyzja. Trudniejszym zadaniem będzie pogodzenie się z nią.

Byłem zajechany jak koń po westernie.

Do tej pory stawiałem jednostkę oraz kraj ponad wszystko – związki, rodzinę, urlopy, czas wolny i zwykłe życie. Od lat nie byłem na prawdziwych wakacjach. Miałem potężne luki z popkultury. Nie miałem pojęcia, kto wygrał ostatnie Super Bowl ani ile powrotów na scenę zaliczyła Britney Spears.

Zamiast tego mogłem powiedzieć, jaka jest najlepsza taktyka zlikwidowania pozycji opanowanej przez talibów. Byłem świetny w skokach spadochronowych z dużej wysokości, strzelaniu i wielu innych umiejętnościach wyniesionych z sił specjalnych, ale tylko na niewiele z nich istnieje zapotrzebowanie w codziennym życiu. Nie miałem pojęcia, jak moje zdolności przełożą się na tę nową egzystencję po wysiadce z pędzącego pociągu o nazwie SEALs. Właśnie przestałem podążać za

swoim życiowym celem, a wszystkie umiejętności, których potrzebowałem, aby przetrwać w służbie, stały się zbędne. Musiałem na nowo zastanowić się nad życiem i wyznaczyć sobie nowe cele. W pewnym sensie byłem znów na Alasce, ale tym razem nie miałem planu.

Pierwszym krokiem była książka *Niełatwy dzień*.

Jedną z pierwszych spraw, o których zacząłem rozmawiać ze współautorem, Kevinem Maurerem, w trakcie prac nad *Niełatwym dniem*, była książka byłego SEALsa Gene'a Wentza *Men in Green Faces*[43], która mnie zainspirowała, by zostać morskim komandosem. Uważam ją, podobnie jak kilka innych, za ważny element w mojej drodze do służby. Książki są znacznie lepsze niż reklamy lub plakaty werbunkowe, ponieważ opierają się na relacjach z pierwszej ręki. Tak samo mieli niemal wszyscy moi kumple w robocie – każdy z nas czytał w młodości książki o oddziałach SEALs.

Phil, jeden z moich mentorów i najlepszych przyjaciół, przeczytał kiedyś książkę *Delta Force: The Army's Elite Counterterrorist Unit* autorstwa pułkownika Charlesa Beckwitha, pierwszego dowódcy jednostki. Po jej lekturze napisał list do Beckwitha o tym, że marzy o wstąpieniu do Delta Force. Minęło kilka miesięcy i Phil otrzymał odpowiedź. Ręcznie napisany list przekonywał go do mierzenia wysoko i że jeśli naprawdę będzie czegoś pragnął, może osiągnąć wszystko. To właśnie ten list skłonił Phila do podążania za własnymi marzeniami, a Beckwith popchnął go na ścieżkę wspaniałej kariery wojskowej.

Niełatwy dzień napisałem, aby przekonać młodych ludzi do realizowania swoich marzeń i podzielić się ze światem codzienną ofiarnością naszych żołnierzy i żołnierek. Chciałem, aby czytelnicy lepiej zrozumieli nasze środowisko, które składa się z ludzi codziennie narażających własne życie. Chciałem też pokazać ludzką twarz SEALsów – a nie taką, która została wykreowana po miesiącach ubóstwiania nas przez polityków.

Siedząc w domowym biurze ozdobionym pamiątkami ze służby, pod zdjęciem przedstawiającym moją grupę z kursu BUD/S zawieszonym na ścianie, pracowałem nad książką aż do chwili, gdy poczułem, że we właściwy sposób opisuję samą akcję oraz społeczność morskich sił specjalnych. Pisałem ją tak, jak mnie szkolono – korzystając z pomocy: przyjaciół, rodziny i kolegów ze służby. Bliscy przyjaciele udzielili mi

wielu cennych rad. Przekonywali mnie do napisania jej tak, żeby nie była to kolejna pozycja z gatunku wojennych wspomnień skupiająca się wyłącznie na mnie.

– Nie bądź dupkiem, który myśli, że jest superbohaterem. Pamiętaj, aby była o zespole – doradził mi przyjaciel.

Kolejny zaśmiał się, gdy usłyszał o moich planach.

– Kolego, jeśli SEALsi mogli dać dupy i wziąć udział w napakowanym akcją hollywoodzkim hicie, takim jak *Act of Valor*, to jestem pewien, że twoja książka przywróci nam trochę szacunku – powiedział.

Zrobiłem wszystko, co w mojej mocy, aby *Niełatwy dzień* był o zespole i o ludziach, z którymi służyłem ponad dwanaście lat. Kiedy wreszcie była gotowa, czekałem na opinię wydawcy. Znów byłem tym nowym w zespole i zaufałem specjalistom, którzy pomogli mi ją wydać. Gdy po premierze we wrześniu 2012 roku dostałem pierwsze informacje od wydawcy, byłem zaskoczony jej przyjęciem. Popyt na książkę przekroczył nasze oczekiwania i musieliśmy zrobić dodruk.

W trakcie przygotowań do charytatywnej imprezy spadochronowej w San Diego stałem akurat na pasie lotniska z ludźmi, którzy chcieli przekazać pieniądze na fundację SEALs, a ja miałem wykonać z nimi skoki tandemowe. Dla nich była to okazja do skoku z prawdziwym operatorem. Wtedy dostałem tę wiadomość.

Byłem w wielu stresogennych sytuacjach, ale informację o tym, że moje nazwisko jednak wypłynęło, zaliczam do pierwszej dziesiątki. Przez ułamek sekundy czułem, jak zżera mnie strach. Z perspektywy czasu wydaje mi się, że byłem zbyt naiwny, myśląc, że uda mi się zachować anonimowość – zasadniczo niezbyt się tym przejmowałem. Do tej pory.

Kurwa, stało się, pomyślałem.

Oddaliłem się od ekipy szykującej się do skoków, ponieważ potrzebowałem chwili dla siebie. Wyszkolenie wzięło górę i zrobiłem sobie listę priorytetów. Umiejętności, które – wydawałoby się – dawno zostały przeze mnie zapomniane, nagle stały się znów ważne. Czułem się tak jak wtedy, kiedy miałem kaptur na głowie w trakcie zadania na strzelnicy. Znów musiałem zmierzyć się z trudną sytuacją. Błyskawicznie stworzyłem listę spraw do załatwienia. Po skoku planowałem ją zrealizować.

Co mogłem zrobić? Moje nazwisko ostatecznie wyszło na jaw. Mediów nie mogłem już powstrzymać. Nie wepchnę przecież słów z powrotem do gardła prezentera, aczkolwiek chciałbym mieć kiedyś okazję spotkać tego typa z Fox News i spróbować tego stopą.

Po pierwsze, musiałem mieć pewność, że moi rodzice trafią do bezpiecznego miejsca, poza wszędobylskimi oczami mediów. Po drugie, musiałem ograniczyć wyciek informacji na swój temat. Byłem zaskoczony, jak dużo danych było dostępnych, głównie w sieci. Wkrótce przestałem się przejmować przeciekami, były poza moją kontrolą, a ja musiałem skupić się na sprawach, na które miałem wpływ.

Jeden z organizatorów imprezy pomachał do mnie – samolot był gotowy do startu, a ja miałem zaplanowany skok. Zobowiązałem się wobec fundacji i nie mogłem ich teraz zostawić. Odłożyłem sprawy związane z książką oraz sytuacją w mediach – miałem robotę do wykonania. Kłopoty wokół mojej publikacji musiały poczekać.

Kiedy drzwi się wreszcie otworzyły i wyskoczyłem w kryształowo czyste błękitne niebo nad San Diego, nagle poczułem błogi spokój. Czułem się dobrze, przechodząc przez wszystkie procedury w trakcie skoku, bo nie pozwalały mi myśleć o niczym innym.

Nauczyłem się, niemal natychmiast po pierwszych wiadomościach w mediach, w których padało moje nazwisko, że umiejętności, które doskonaliłem przez ponad dekadę, rzeczywiście mają jakieś znaczenie w cywilu. Kiedy się na nich skupiałem, cała szopka związana z *Niełatwym dniem* i przejściem do cywila nie stawała się wprawdzie łatwiejsza, ale przynajmniej zacząłem sobie z nią radzić.

Wciąż wracałem pamięcią do wniosków wyciągniętych z nauczek ze służby wojskowej. Moje zdolności do panowania nad stresem, umiejętność koncentracji oraz trzymania problemów w odpowiednich szufladkach chroniły mnie przed postradaniem zmysłów. Teraz te umiejętności musiał też posiąść cały zespół wydawniczy. Pomysły, takie jak kontrola małego świata, stały się częścią ich słownika.

Jednak najcenniejszym wynagrodzeniem za *Niełatwy dzień* było przyjęcie książki przez czytelników, a chyba największym zaskoczeniem to, że ci, którzy się ze mną skontaktowali po publikacji, nie chcieli rozmawiać

o [redacted], lecz o pozostałych szczegółach służby, które nie znalazły się w książce.

Wiele osób nadesłało mi inspirujące historie o wyzwaniach w ich życiu i o tym, jak je pokonywali, czasem czerpiąc do tego inspirację z *Niełatwego dnia*. Mówiąc zupełnie szczerze, nigdy się nie spodziewałem, że SEALsi, których opisałem, staną się natchnieniem dla innych ludzi, ale jestem szczęśliwy, że tak się stało. Dla mnie ma to sens, ponieważ sam znajdowałem inspirację w zespole. To dzięki ludziom, z którymi służyłem, mogłem stać się lepszym żołnierzem i lepszym człowiekiem.

Wciąż szukam dla siebie miejsca, ale z dnia na dzień ścieżka, którą podążam, staje się coraz wyraźniejsza. Polegam na tym, czego się nauczyłem, i dlatego zdecydowałem się napisać tę książkę. *Zwykły bohater* jest częścią tego procesu, jakim jest ponowne tworzenie mnie samego, i sposobem, który mi to umożliwia. Przeznaczony jest zarówno dla nie-SEALsów, jak i dla braci ze społeczności morskich sił specjalnych.

To nie tylko moje wnioski. To wnioski wyciągnięte z wszystkich błędów, jakie popełniłem ja i jakie popełnili wszyscy inni, którzy zechcieli przekazać mi swoje doświadczenia. Nieraz coś spieprzyłem, bo nie jestem idealny. Próbowałem za to zebrać wszystkie porażki i nauczki w jednym miejscu, aby inni mogli ich uniknąć.

Wysiadka z jadącego pociągu nie była łatwa. Z bocznej ławki patrzyłem, jak moi kumple, moi bracia, wciąż walczą podczas zagranicznych zmian. Czytałem newsy i śledziłem rozwój sytuacji w Somalii i Iraku. Gdy usłyszałem o odbiciu Al-Falludży przez Al-Kaidę, poczułem ucisk w żołądku – sam też tam przecież walczyłem. Czasami myślę, że mogłem zrobić coś więcej.

Teraz mam przed sobą nowe zadanie, to, które sam sobie postawiłem. Przez długi czas myślałem, że metody stosowane w wojsku nie są przydatne w cywilu. Wiele osób, z którymi rozmawiam, myśli, że pomiędzy wojskowymi a cywilnymi umiejętnościami przywódczymi, motywacją i twardą psychiką są zasadnicze różnice.

Mówiłem im więc, że teraz już się z tym nie zgadzam.

Od zakończenia służby i odejścia do cywila odkryłem, że wnioski wyciągnięte z kariery wojskowej mogą dotyczyć znacznie szerszego

spektrum spraw, nie tylko naszej społeczności.

Wnioski są podstawą.

Nie ma żadnego tajnego przepisu na stworzenie operatora, choć jeśli chciałoby się takiego zbudować, należałoby zacząć od podstaw. Kiedy jesteś zestresowany, na przykład w trakcie walki, najprostsze czynności są najłatwiejsze do opanowania. Rozumienie tych najbardziej elementarnych zasad w doskonałym stopniu i praca w celu wykonywania ich bezproblemowo w każdych warunkach spowoduje, że zawsze będziesz przed tymi, którzy nie opanowali podstaw. Wszystko, co robią SEALsi, prezentuje mistrzowski poziom opanowania podstaw i wykonywanie zadań w sposób zbliżony do perfekcji. Odkryłem, że jeśli pamięta się o małych rzeczach, reszta wychodzi sama.

Po opuszczeniu szeregów marynarki wojennej mam więcej czasu na interakcje z ludźmi i widzę szansę w inspirowaniu ich przez opowieści o sprawach, których nauczyliśmy się z partnerami w trakcie nieustannego dążenia do bycia jak najlepszymi operatorami. Zanim napisałem *Niełatwy dzień*, myślałem, że opowiadanie historii jest ważne. Teraz wiem, że jest bardzo ważne.

Mam nadzieję, że przyszłe pokolenie żołnierzy sił specjalnych przeczyta tę oraz poprzednią książkę i znajdzie w nich inspirację, by obrać własną drogę życiową, tak jak zrobili to inni, nieco starsi żołnierze przed nimi. Może część z nich zapamięta wnioski z mojej książki i dzięki nim będzie bezpieczniejsza oraz skuteczniejsza na polu walki. Wiem, że nie wszyscy marzą o tym, by znaleźć się w boju, ale wydaje mi się, że nie ma znaczenia, jakie stawiamy sobie wyzwania – zawsze znajdzie się coś cennego w historiach o ludziach, z którymi służyłem, tych, którzy wciąż walczą, i tych, którzy stracili życie.

Liczę, że *Niełatwy dzień* oraz *Zwykły bohater* dają czytelnikom coś więcej niż większość książek o tematyce wojennej – bardziej intymny obraz ludzkich słabości i starań oraz tego, co z nich wynika. Jestem przekonany, że byłoby to nieodpowiedzialne z mojej strony, gdybym nie podzielił się najbardziej osobistymi fragmentami swojej kariery wojskowej – mam nadzieję, że inni nie popełnią tych samych błędów co ja. Książka jest jednym ze sposobów, w jaki próbuję się odwdzięczyć za to, co otrzymałem. Do końca mojego życia będę szukał kolejnych, coraz to nowych form

przekazywania wiedzy, którą zdobyłem od kolegów, abym mógł inspirować innych, tak jak SEALsi inspirowali mnie. Kończąc służbę wojskową, nie skończyłem mojej służby innym.

MARK OWEN jest byłym członkiem elitarnego oddziału amerykańskiej marynarki wojennej U.S. Naval Special Warfare Development Group (NSWDG), powszechnie znanego jako SEAL Team Six lub DEVGRU. Przez lata służby w oddziałach SEAL wziął udział w licznych operacjach na całym świecie, włącznie z akcją odbicia kapitana Richarda Philipsa z rąk somalijskich piratów na Oceanie Indyjskim w 2009 roku. Owen był dowódcą sekcji szturmowej podczas operacji Neptune Spear (Włócznia Neptuna) przeprowadzonej 1 maja 2011 roku w pakistańskim Abbottabadzie, która zakończyła się śmiercią Osamy bin Ladena. Był jednym z pierwszych operatorów, którzy przeszli do pokoju na drugim piętrze kryjówki przywódcy terrorystów – tam widział, jak bin Laden został zastrzelony. Wspomnienia Marka Owena z tej operacji, opisane w książce *Niełatwy dzień*, wciąż pozostają najdokładniejszym świadectwem tamtych wydarzeń.

KEVIN MAURER od dziewięciu lat zajmuje się tematyką sił specjalnych. W Afganistanie sześciokrotnie towarzyszył amerykańskim Siłom Specjalnym. W 2006 roku spędził miesiąc z jednostką specjalną w Afryce Wschodniej, towarzyszył również amerykańskim jednostkom w Iraku i na Haiti. Jest autorem czterech książek, w tym poświęconych siłom specjalnym.

ZDJĘCIA

Rozniecanie ogniska za szczenięcych czasów na Alasce. W trakcie działań bojowych w ekstremalnie niskich temperaturach zawsze nosiłem ze sobą czapkę z futra bobra, którą zrobiła dla mnie moja mama.

Moje pierwsze spotkanie z prawdziwym SEALsem. Mój wspaniały „Foczy” T-shirt założyłem wtedy po raz ostatni w życiu.

Razem z partnerem nurkowym czekamy w pokoju hotelowym na sygnał do zapakowania się do półciężarówki. Zdjęcie wykonane w trakcie ćwiczeń w Ketchikan.

Nurkowie na nabrzeżu portowym w Ketchikan na Alasce, niedaleko miejsca, gdzie tego samego poranka zabójcza orka spożywała śniadanie.

Przygotowanie do skoku w technice HAHO (High Altitude High Opening), czyli skoku spadochronowego z dużej wysokości, z wczesnym otwarciem spadochronu, umożliwiającej daleki przelot od miejsca zrzutu do lądowania. Pierwszy skok z SEAL Team 6 i pierwsze awaryjne odcięcie spadochronu.

Treningowy skok w tandemie. Skoki spadochronowe z dużej wysokości wymuszają wykorzystywanie aparatów tlenowych, a w trakcie nocnego desantu, gogle noktowizyjne są po prostu niezbędne.

Co za porażka! Przyglądając się uważnie tej fotografii, można zauważyć na ziemi długie ślady hamowania.

Kudłaty Pocisk i jego opiekun w trakcie zmiany w Afganistanie.

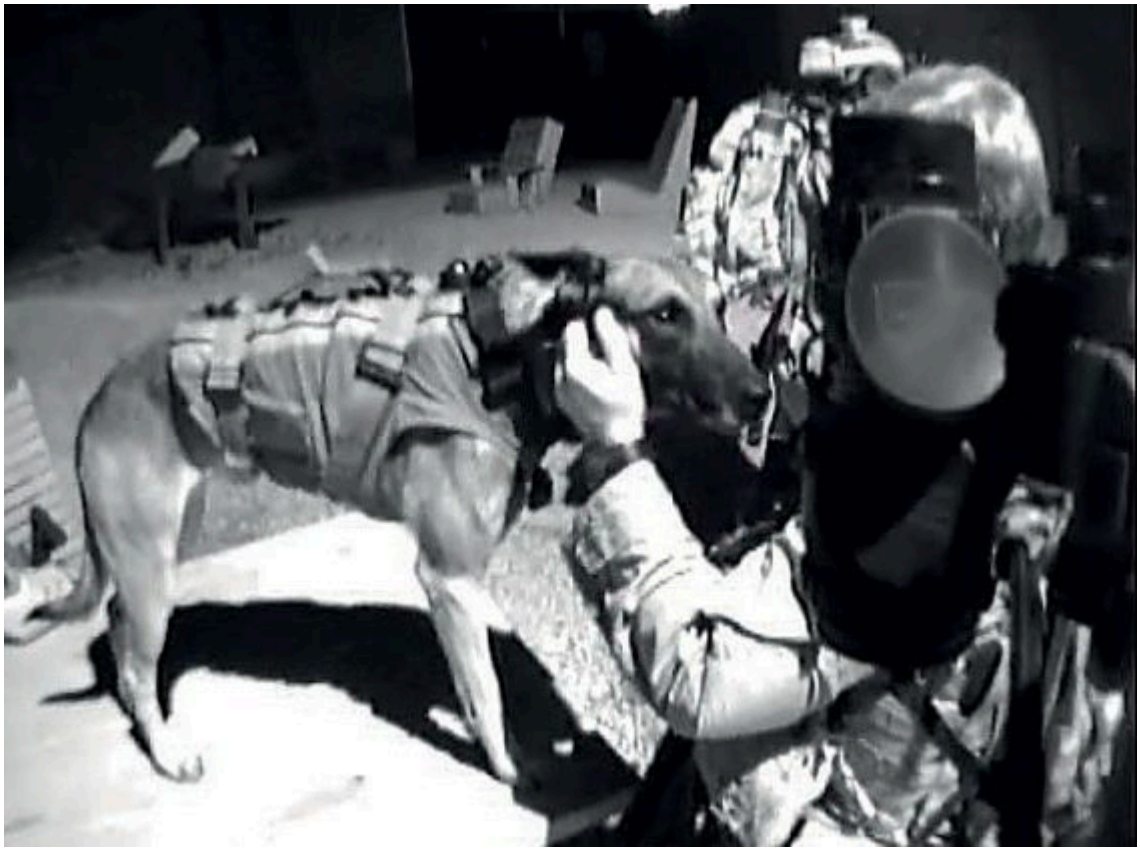

Kudłaty Pocisk podczas jednej z naszych operacji w Iraku.

Szkolenie gdzieś na wybrzeżu Virginii. Większość jednostek nigdy nie miała i nie będzie mieć do dyspozycji takich środków jak my – śmigłowców TF160 czy lotniskowca.

Zrywanie kontaktu albo, jak kto woli, bieganie i strzelanie za moich czasów w SEAL Team 5.

Szkolenie z użyciem quadów i pojazdów terenowych.

Afganistan. Resztki MiG-a przypominały nam o tym, że Rosjanie również tutaj walczyli przez wiele lat.

Nasi afgańscy partnerzy.

Z kumplem, tuż przed wyruszeniem do zasypanej śniegiem doliny, gdzie spędziliśmy chyba najzimniejszą noc w życiu.

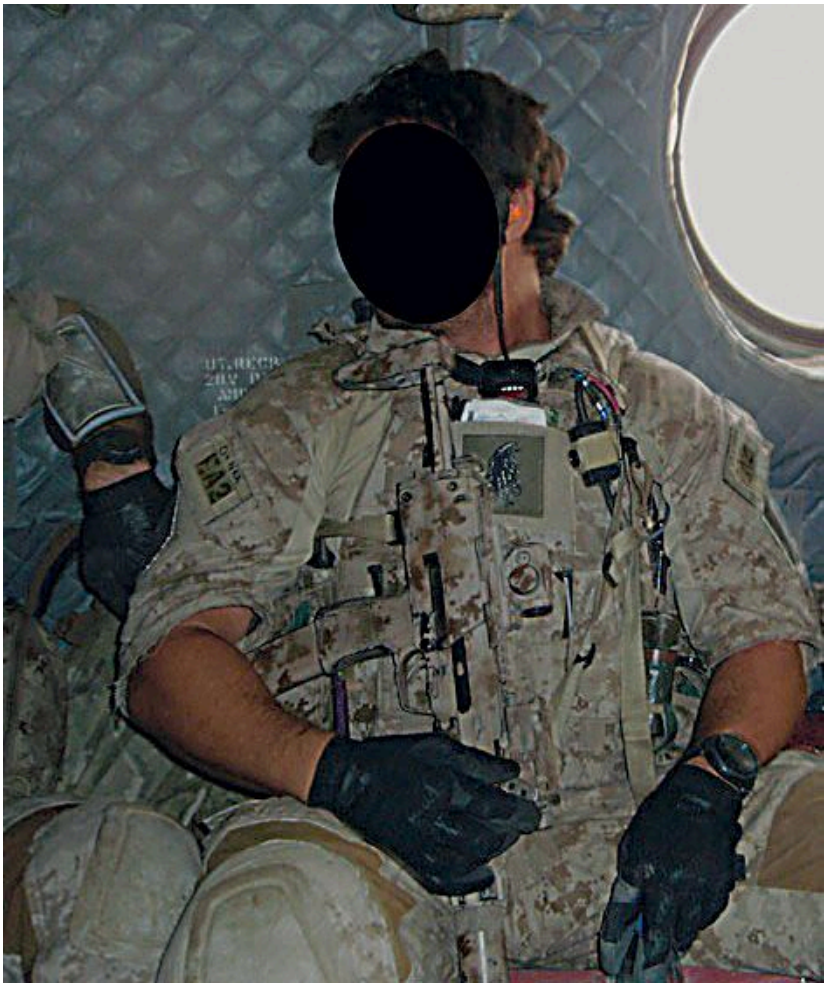

Z pistoletem maszynowym MP7. Wracamy do domu po misji, gdzie trafiliśmy na zaminowany dom.

Goście z Delty i ja, po tym, jak niemal wylądowaliśmy pod niewłaściwym adresem.

Moja paka tuż przed operacją opisaną w rozdziale EWOLUCJA. Zawsze zwracaj uwagę na buty!

Phil i ja podczas przerwy w szkoleniu. To nie tylko wspaniały przyjaciel, ale i mentor.

Poranek tuż po odbiciu kapitana Phillipsa z okrętu Maersk Alabama.

Nóż Emersona, który miałem ze sobą podczas operacji zlikwidowania Osamy bin Ladena, podarowałem organizacji charytatywnej. Pieniądze przez nią zebrane trafiły do rodziny poległych kolegów.

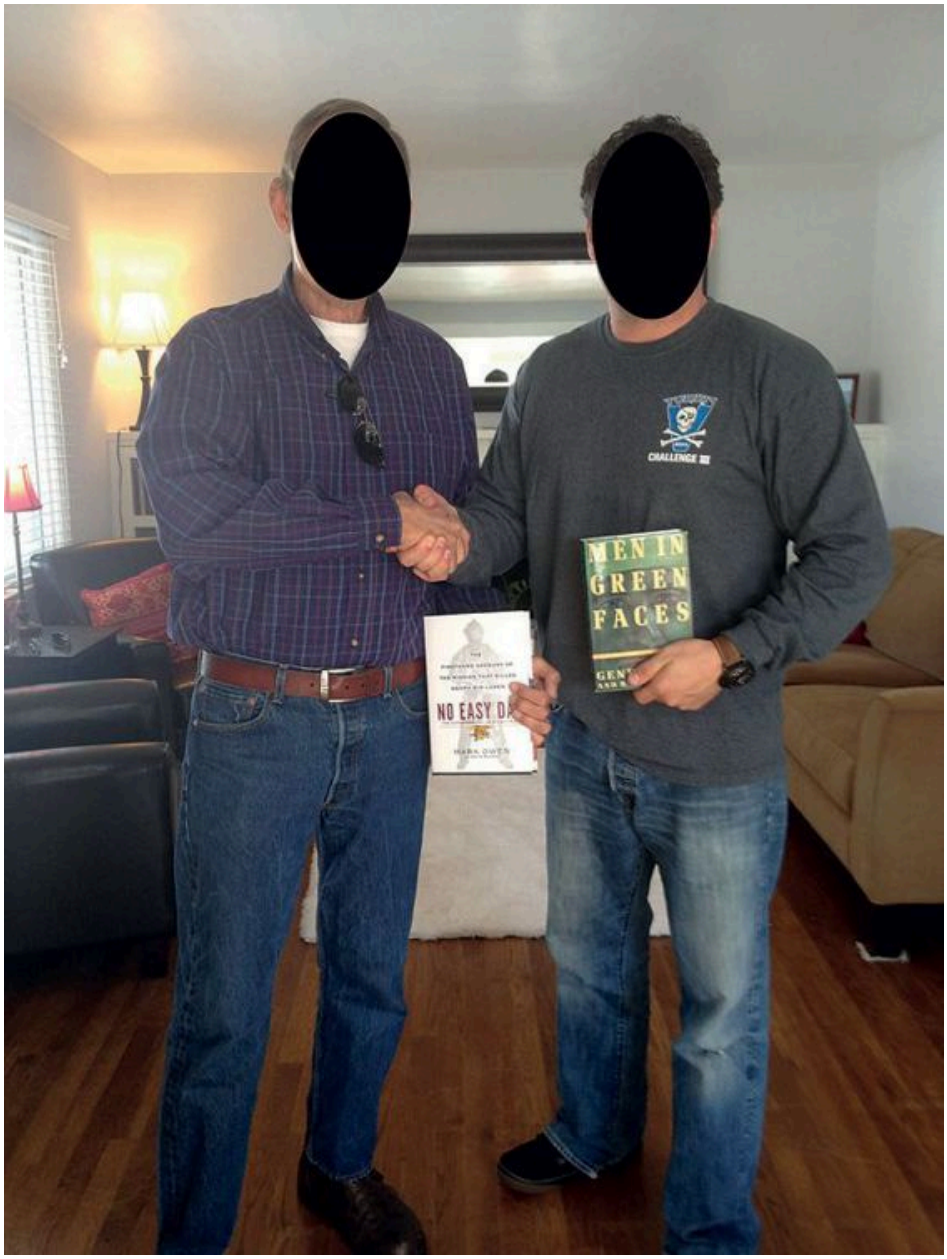

Spotkanie autorów. Wymieniamy się książkami z Genem Wentzem. On daje mi *Ludzi o zielonych twarzach*, pierwszą publikację o SEALS, którą przeczytałem i która wpłynęła na moje życie.

Mój mundur tuż po powrocie z rajdu na dom bin Ladena. Plama krwi widoczna po lewej stronie powstała, kiedy zostałem trafiony odłamkiem w ramię.

PRZYPISY

[1] RUMINT – skrót od słów *rumours* (plotki) oraz *intelligence* (wywiad), prześmiewczo nawiązujący do innych rodzajów działań wywiadowczych, takich jak HUMINT (pozyskiwanie danych wywiadowczych od osób) czy SIGINT (pozyskiwanie danych przez przechwytywanie transmisji danych). (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

[2] Struktura organizacyjna SEAL Team Six/DEVGRU nie jest oparta na plutonach, kompaniach czy batalionach. Najmniejszą formacją jest kilkuosobowy *team* (polskim odpowiednikiem jest sekcja bojowa lub sekcja szturmowa), kilka teamów tworzy *troop* (odpowiednik grupy bojowej), natomiast kilka troopów tworzy *squadron* (szwadron, odpowiednik zespołu bojowego sił specjalnych). Szwadrony są oznaczone kolorami.

[3] BUD/S – Basic Underwater Demolition/SEAL – 24-tygodniowy „podstawowy kurs niszczenia podwodnego”, wstępny proces selekcyjny do jednostek SEAL. Podzielony jest na fazę wstępną oraz trzy fazy główne.

[4] *Selection & Training* – selekcja i trening, pierwszy etap rekrutacji do Naval Special Warfare Development Group.

[5] AAR (*After Action Report*) – raport podsumowujący przeprowadzoną operację.

[6] Nazywany również Tridentem lub Budweiserem.

[7] Słowo „seal” w języku angielskim oznacza fokę.

[8] W oryginale „Rogue Warrior”.

[9] Demo – skrót od słowa *demolition*. Przezwisko można przetłumaczyć jako „Rysio Demolka”.

[10] Delty Mekongu.

[11] United States Army Special Forces, popularnie zwane zielonymi beretami od charakterystycznego koloru nakrycia głowy.

[12] UDT – Underwater Demolition Teams, zespoły płetwonurków dywersantów marynarki wojennej, sięgające tradycjami do czasów drugiej wojny światowej.

[13] ROTC (*Reserve Officers' Training Corps*) – kursy dla przyszłych oficerów rezerwy prowadzone w ramach studiów.

[14] *U.S. Navy Marine Mammal Program*.

[15] The Strip lub Las Vegas Strip – odcinek Las Vegas Boulevard o długości około 7 kilometrów, wzdłuż którego znajdują się największe i najbardziej znane kasyna oraz hotele Las Vegas.

[16] Friend albo cam – przyrząd wspinaczkowy znany też jako krzywka, służący do zakładania punktów asekuracyjnych w szczelinach o różnej szerokości (w zakresie od 1 do 30 cm). W przeciwieństwie do haków ich zakładanie i zdejmowanie nie niszczy skały.

[17] Członek załogi lub grupy desantowanej odpowiadający za kierowanie zrzutem na pokładzie samolotu.

[18] BAAS, Al-Ba'th, Partia Socjalistycznego Odrodzenia Arabskiego, Hizb al-Ba's al-Arabijj al-Isztirakijj – panarabskie ugrupowanie polityczne głoszące hasła nacjonalizmu arabskiego w połączeniu z ideami socjalizmu. Irackim odłamem partii Baas od 1989 roku kierował Saddam Husajn.

[19] Pas szahida – kamizelka samobójcy wypakowana materiałami wybuchowymi.

[20] 22. Pułk Special Air Service – czołowa jednostka specjalna Wielkiej Brytanii. Jej odpowiednikiem w USA jest Delta Force, a w Polsce Jednostka Wojskowa GROM.

[21] 160th Special Operations Aviation Regiment – wyspecjalizowana jednostka lotnicza zajmująca się transportem sił specjalnych.

[22] Diszdasz – rodzaj długiej koszuli noszonej przez Arabów.

[23] 75. Pułk Piechoty Rangers – jednostka o charakterze lekkiej piechoty, w strukturze amerykańskich sił specjalnych najsilniej uzbrojona w broń ciężką. Jej odpowiednikiem w Polsce jest Jednostka Wojskowa AGAT.

[24] Camelbak – zbiornik na wodę mocowany na plecach kamizelki lub w plecaku. Dzięki rurce z ustnikiem pozwala na picie płynów bez użycia rąk.

[25] JTAC (Joint Terminal Attack Controller) – specjalnie wykwalifikowany żołnierz wyznaczony do koordynowania działań wsparcia lotniczego z wysuniętej pozycji.

[26] GBU-39 Small Diameter Bomb zawierające ładunek wybuchowy o masie 250 funtów (110 kilogramów).

[27] ROE (*Rules of Engagement*) – zasady podejmowania działań z użyciem siły lub zasady zaangażowania określające warunki użycia siły – kiedy, gdzie i jaka siła może zostać wykorzystana wobec konkretnych zagrożeń.

[28] ANA – Afghan National Army – afgańska armia narodowa.

[29] BSO (*Battle Space Owners*) – w dosłownym tłumaczeniu: właściciel terenu walk.

[30] *Micromanagement* – zasada zarządzania, gdzie bezpośredni przełożony angażuje się w kompetencje pracowników i wszelkie, nawet najdrobniejsze decyzje wymagają jego zatwierdzenia.

[31] Karabin maszynowy Mk48 kaliber 7,62 mm – zasilany taśmą amunicyjną karabin maszynowy FN Minimi kaliber 7,62 mm, zmodyfikowany zgodnie z wymaganiami amerykańskich sił specjalnych.

[32] Karabinek maszynowy Mk46 kaliber 5,56 mm – zasilany taśmą wariant belgijskiego karabinka maszynowego FN Minimi, opracowany zgodnie z wymaganiami amerykańskich sił specjalnych.

[33] *Close Air Support* – wsparcie lotnicze wojsk lądowych.

[34] Kudłaty Pocisk.

[35] FIM-92 Stinger – ręczna wyrzutnia pocisków przeciwlotniczych produkcji amerykańskiej, odpalana z ramienia.

[36] Lockheed Martin M142 HIMARS (*High Mobility Artillery Rocket System*) – samobieżna artyleryjska wyrzutnia pocisków rakietowych kaliber 227 mm, o maksymalnym zasięgu 300 kilometrów, osadzona na kołowym podwoziu ciężarówki 6x6.

[37] Master Chief Petty Officer, skrótowo nazywany Master Chief – najwyższy stopień oficerski w amerykańskiej marynarce wojennej. Odpowiednik starszego chorążego sztabowego marynarki w Wojsku Polskim.

[38] National Rifle Association – amerykańskie Narodowe Stowarzyszenie Strzeleckie, działające na rzecz propagowania prawa do posiadania broni palnej, bezpieczeństwa jej użytkowania, a także prawa do polowania i samoobrony. Za główny cel działania ta jedna z najbardziej wpływowych grup lobbystycznych uważa ochronę drugiej poprawki do Konstytucji Stanów Zjednoczonych, gwarantującej obywatelom USA prawo do posiadania broni.

[39] *Improvised Explosive Device* – improwizowany ładunek wybuchowy. W Polsce nazywany „ajdik”.

[40] What happens in Vegas, stays in Vegas – Co się dzieje w Vegas, zostaje w Vegas.

[41] *Posttraumatic Stress Disorder* (Zespół stresu pourazowego) – rodzaj zaburzenia lękowego będący efektem przeżycia traumatycznego wydarzenia.

[42] *Życie biurowe* (*Open Space*) – amerykański film z 1999 roku opowiadający o trzech pracownikach biurowych nienawidzących swojej pracy i buntujących się przeciwko szefowi.

[43] *Men in Green Faces* – ludzie o zielonych twarzach.

This file was downloaded from Z-Library project

zlibrary

Your gateway to knowledge and culture. Accessible for everyone.

www

z-library.sk z-lib.gs z-lib.fm go-to-library.sk

Official Telegram channel

Z-Access

W

https://wikipedia.org/wiki/Z-Library